

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Jacek Żakowski

ANATOMIA SMAKU
czyli rozmowy o losach zespołu
Tygodnika Powszechnego
w latach
1953–1956

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

w gruncie rzeczy była to sprawa smaku
Tak smaku
w którym są włókna duszy i chrząstki sumienia...

(Zbigniew Herbert „Potęga smaku”)

Czytelnikom tego zbioru należy się kilka zdań wyjaśnienia. Otóż, zawarte w nim rozmowy nie były zrazu przeznaczone do publikacji. Przeprowadziłem je zbierając materiały do reportażu o losach zespołu „Tygodnika Powszechnego” w latach 1953–1956. Nagrywałem je na taśmę, a potem spisywałem *in extenso*, bo inaczej nie potrafiłbym rozeznaczyć się w często rozbieżnych relacjach rozmówców. Właśnie na skutek owych rozbieżności, które Czytelnik może sam zauważyć, nie czując się na siłach wyrokować o tym, jak było naprawdę, musiałem w reportażu pominąć wiele ciekawych i pouczających szczegółów. Bez trudu dałem się więc przekonać o celowości opublikowania zapisu samych rozmów, jako swoistego świadectwa tamtych czasów, a także jako przyczynku do odwiecznych utyskiwań na zawodność ludzkiej pamięci.

Moim rozmówcom winien jestem głęboką wdzięczność za to, że zgodzili się autoryzować rozmowy, wkładając w to nieraz wiele pracy, choć przecież jeszcze lepiej niż ja zdają sobie sprawę z niedoskonałości tych zapisów. Czytelników zaś proszę, aby przy lekturze zechcieli pamiętać, iż mają do czynienia z nieznacznie tylko opracowanym zapisem swobodnych rozmów, nie zaś z wywiadami, od których wymaga się przynajmniej świadomie skonstruowanej dramaturgii formalnej.

I jeszcze jedno. Spośród żyjących osób, które brały udział w opisywanych tu wydarzeniach, w zbiorze tym brakuje rozmów ze Zbigniewem Herbertem i Zygmuntem Kubiakiem. Otóż muszę wyjaśnić, że nie jest to efektem mojego zaniedbania, ani tym bardziej świadomej selekcji rozmówców. Mimo licznych starań, nie udało mi się bowiem przeprowadzić z nimi rozmów. Natomiast zamieszczona tu rozmowa z Jerzym Turowiczem została przeprowadzona w październiku 1986 roku, a więc już po opublikowaniu pierwszego wydania książki.

Jacek Żakowski

Rozmowa z Stanisławem Stomma

Przynajmniej od końca roku 1950 uważaliśmy, że nasz koniec jest nieunikniony, choć należy starać się odsunąć go możliwie jak najdalej.

– Panie Profesorze, chciałbym porozmawiać z Panem o latach 1953–1956. Interesuje mnie okres bezpośrednio poprzedzający rozwiązanie „Tygodnika Powszechnego”, kiedy staraliście się Państwo o jego zachowanie: trzy i pół roku, które przeżyliście bez „Tygodnika”; oraz okres, w którym pojawiły się pierwsze nadzieje na jego wznowienie, Państwo zaś podjęliście kontakty z nowymi – po Październiku – władzami. Pan, o ile wiem, w odróżnieniu od większości swoich kolegów, miał drugi, poza dziennikarstwem, zawód. Niemniej i Pana nie ominęły wstrząsy, które przeżył cały zespół ówczesnego „Tygodnika”.

– Był pan łaskaw powiedzieć, że miałem inny zawód. Otóż, do okresu, o którym mamy mówić, to się już w zasadzie nie odnosi. Na skutek mojej pracy jako redaktora naczelnego miesięcznika „Znak” już w 1950 roku zostałem zwolniony z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przed wojną pracowałem jako asystent przy katedrze prawa karnego Uniwersytetu Wileńskiego. Stamtąd przenieśliśmy się do Krakowa, gdzie w 1945 roku profesor Wolter przygarnął mnie i mianował adiunktem na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jednocześnie jednak zająłem się „Znakiem”, który redagowaliśmy wraz z Hanną Malewską oraz Jerzym Radkowskim, mieszkającym teraz we Francji. Początkowo formalnym redaktorem był Radkowski. Po jego wyjeździe, kiedy razem z Malewską przejąłem tę funkcję, moje dalsze funkcjonowanie na Uniwersytecie stało pod wielkim znakiem zapytania.

– Już wówczas?

– Tak, to już były bardzo nieprzyjemne czasy. Ministrem oświaty był wtedy, o ile dobrze pamiętam, Stanisław Skrzeszewski – późniejszy minister spraw zagranicznych i sekretarz Rady Państwa. Kiedy interweniowano u niego w mojej sprawie, odpowiedział: „nie wyobrażam sobie w Polsce Ludowej naukowca, który tak bardzo angażuje się w katolicyzm, żeby aż być redaktorem ideologicznego pisma”. Uznał, że tego rodzaju zaangażowanie jest absolutnie nie do połączenia z pracą na Uniwersytecie. W końcu 1950 roku otrzymałem więc wypowiedzenie, które chwilowo przerwało moją karierę naukową.

Jedynym moim zajęciem stała się wówczas praca w „Znaku”, mimo że z natury powinienem być raczej naukowcem niż żurnalistą. Pod każdym względem były to zresztą dla nas bardzo ciężkie lata, o które – muszę powiedzieć – mam trochę żalu do sfer kościelnych. „Znak” przynosił wówczas poważny deficyt, którego pokrycie trzeba było nieustannie wypraszać i wymadlać u kanclerza Kurii Krakowskiej – księdza Mazanka. Doszło do tego, że nasz miesięcznik zmienił się w kwartalnik, bo na wydawanie miesięcznika zwyczajnie nie starczało pieniędzy. I tak z trudem udawało nam się zbierać na pensje dla Hanki Malewskiej i dla mnie. Przed każdym numerem musiałem jeździć po kweście od biskupa do biskupa. Pieniądze w końcu się znajdowały, ale było to wszystko bardzo nieprzyjemne. A przecież Kościół nie miał tak wielu wydawnictw, żeby udzielenie im wsparcia materialnego przekraczać mogło jego możliwości. Sytuacja zmieniła się dopiero po wznowieniu „Znaku” i „Tygodnika Powszechnego” w 1956 roku, kiedy powstało wydawnictwo „Znak” i „Tygodnik” zaczął systematycznie pokrywać nasz deficyt. W każdym razie na jakiś czas przed likwidacją nasza sytuacja finansowa pogorszyła się do tego stopnia, że nie wiem, czy i tak „Znak” nie przestałby się ukazywać z braku funduszy. Dobił nas wówczas bardzo wysoki domiar, spowodowany zresztą zupełnie niefachowym prowadzeniem ksiąg i wymierzony zupełnie słusznie.

– Likwidacja uratowała Was zatem od plajty?

– Nieomal. W każdym razie z trudem dotrwaliliśmy do roku 1953, który przyniósł kryzys „Tygodnika”, co oczywiście oznaczało zarazem kryzys „Znaku”. Stanowiły one bowiem naczynia połączone – ideowo i środowiskowo, choć niestety nie finansowo. Kiedy przestał się ukazywać „Tygodnik”, automatycznie przestał również wychodzić „Znak”. Oboje z Hanią Malewską byliśmy przecież wciągnięci w kryzys „Tygodnika” jako stali jego współpracownicy. Ostatecznie warunkiem wznowienia go było nawet usunięcie z redakcji Turowicza i mnie. Władze ustąpiły z niemal wszystkich innych żądań, ale zespół nie chciał przyjąć naszej dymisji.

– Jak wyglądało podejmowanie decyzji w takiej sprawie?

– Takie decyzje podejmował wspólnie cały zespół. I muszę powiedzieć, że nie było żadnego wyłamania. Co więcej, ludzie nie należący do zespołu, ale stale współpracujący z „Tygodnikiem” – jak na przykład Jaś Szczepański czy Leopold Tyrmand – także byli z nami solidarni. Turowicz i ja zgłaszaliśmy gotowość odejścia. Nie chcieliśmy swoją obecnością wywoływać ogólnego kryzysu. Wszyscy jednak uważali, że nie należy się na to godzić, bo pierwsze wyłamanie, ugięcie się, będzie furtką dla dalszych nacisków, dalszego łamania redakcji.

– Zapewne odbyło się jakieś specjalne zebranie...

– Ciągłe odbywały się zebrania u nieżyjącej już dziś Zofii Starowieyskiej-Morstinowej. Zbieraliśmy się w jej salonie i debatowaliśmy nad tym, co robić. Jeździliśmy też do Warszawy i odbywaliśmy tam niezliczone spotkania z władzami. Zwłaszcza Gołubiew jeździł tam bardzo często. W czasie pertraktacji zaproponowano Zawieyskiemu, żeby objął redakcję naczelną. Zawieyski odmówił. Wtedy władze zwróciły się do Gołubiewa. Gołubiew pojechał do Warszawy i chyba ze dwa dni dyskutował z Mazurem – członkiem Biura Politycznego do spraw katolickich. Mazur proponował Gołubiewowi, żeby usunął nas i skompletował zespół, jaki tylko sobie życzy. Gołubiew też tej propozycji nie przyjął. Wtedy pismo przestało wychodzić.

– Czy także „Znak” dostał wówczas decyzję o likwidacji?

– Nie. Po prostu przestał wychodzić, bo cenzura nie reagowała już na wysyłane do niej numery. Zresztą rozmowy – co wydawało się oczywiste dotyczyły łącznie sprawy „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”. Dla wszystkich było jasne, że wyrok na „Tygodnik” jest zarazem wyrokiem na „Znak”.

– Wspomniał Pan o rozmowach z władzami. Jak one wyglądały?

– Pamiętam je dość dobrze. Decydującą rozmowę odbyliśmy z Mazurem. Bida, który nie mógł sobie z nami poradzić, zorganizował nam to spotkanie, podobnie zresztą jak spotkanie z Julią Bristigierową. Rozmowa z Mazurem trwała całe popołudnie. Braliśmy w niej udział we trzech z Turowiczem i Woźniakowskim. Podejmował nas Mazur i Bida. Mazur tłumaczył, że jesteśmy naiwni, że nikt nie może płynąć pod prąd historii, że każdy, kto tego próbuje, musi być zmieciony. Mówił, że komuniści proponują katolicyzmowi przedłużenie jego egzystencji aż do czasu, gdy zgodnie z nauką marksistowską, religia w ogóle wygaśnie. Mówił: „Nie jesteśmy doktrynerami, wiemy, że to potrwa, przewidujemy etap przejściowy, gotowi jesteśmy was tolerować. A wy się upieracie, chcecie zawrócić koło historii. Ja rozumiem – przekonywałem – że Armia Czerwona, kiedy tu wkraczała, była bardzo odrażająca, ale ona obiektywnie oznacza postęp”. Przypominał barbarzyństwo i dzikość Rewolucji Francuskiej w porównaniu ze zwalczającymi ją monarchiami reprezentującymi bardzo wysublimowaną kulturę. Mówił: „Rewolucja Francuska wygrała i to jej armia okazała się obiektywnie postępową. Podobnie – metody, które my stosujemy, mogą być nieprzyjemne, ale to co robimy jest obiektywnie postępowe, to jest właśnie przyszłość ludzkości”.

– A jak Państwo wyobrażaliście sobie wówczas przyszłość kraju i swoją własną?

– Odpowiadaliśmy wówczas Mazurowi, że nie wykluczamy, iż komunizm stanowi przyszłość Europy i może nawet świata, ale nie chcemy na ten temat dyskutować. Dla nas ważne było to, że z chwilą gdy komunizm wkroczył do Europy i do Polski, natrafił na inne niż w

Rosji podłoże kulturowe. Przede wszystkim na katolicyzm. Albo więc uszanuje katolicko-europejskie imponderabilia – co umożliwi naszą współpracę – albo też będzie się starał narzucić komunistyczny totalizm i uczynić z katolicyzmu swoje narzędzie, na co my zgodzić się nie możemy. Byliśmy gotowi potwierdzać nadzieję, że w nowym porządku Europy znajdzie się miejsce dla prawdziwego katolicyzmu. Nie chcieliśmy natomiast brać udziału w tworzeniu jakiejś karykatury katolicyzmu.

– Czy w tym okresie liczyliście się Państwo z możliwością rozwiązania „Tygodnika”, czy też raczej spodziewaliście się, że władze jednak się ugną, że dojdzie do zawarcia jakiegoś kompromisu?

– Przynajmniej od jesieni 1950 roku uważaliśmy, że nasz koniec jest nieunikniony, choć należy starać się odsunąć go możliwie najdalej. Przy ówczesnej totalizacji myślenia i zasad wychowawczych, przy narzucaniu polityki wszystkim płaszczyznom życia społecznego, nie mogło być miejsca dla takiego niezależnego jednak pisma, jakim był „Tygodnik Powszechny”. Doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że walczymy tylko o czas.

– A czy mieliście nadzieję, że w dalszej perspektywie znajdzie się jednak miejsce dla „Tygodnika”? Czy antycypowaliście coś takiego, jak Październik 1956 roku?

– O ile pamiętam, wydarzenia 1953 roku w Rosji i Październik 1956 roku w Polsce były ogromnym zaskoczeniem dla całego Kościoła Katolickiego i dla nas także. Nie spodziewaliśmy się, że w komunizmie może nastąpić tak gwałtowny kryzys i przełom. A już zdezwuowanie Stalina, wyrzucenie go z grobowca, było dla nas czymś nie do pomyślenia.

– A więc liczył się Pan z tym, że do końca życia nie będzie Pan już mógł wrócić do swego zawodu?

– Tak. Wie pan, ja zawsze miałem ogromną chęć podróżowania i poznawania świata, a przed wojną zdążyłem pojechać tylko do Francji. Pamiętam jak w okresie stalinizmu marzyłem sobie, że może za kilka lat – może za pięć, może za dziesięć – puszcza mnie do Bułgarii. Takie były ówczesne nasze perspektywy.

– A wznowienie „Tygodnika” wydawało się Panu zupełnie nierealne?

– W każdym razie, w jakiejś rozsądnej przyszłości zupełnie sobie tego nie wyobrażałem. Może za dwadzieścia lat, może za trzydzieści.. Na pewno nie wcześniej. Zresztą na to też nic nie wskazywało. Ja przynajmniej bardzo długo nie zauważałem żadnych optymistycznych symptomów.

– Taka perspektywa stanowi o randze Państwa decyzji.

– Ale muszę powiedzieć, że podejmowaliśmy ją niezwykle spokojnie. Mieliśmy absolutną pewność co do tego, że dopóki można, dopóki kompromisy są jeszcze znośne, należy przedłużać istnienie pisma. Mieliśmy też jednak pewność, że w jakimś momencie trzeba się zdobyć na to, żeby powiedzieć: nie. Jasienica mówił, że mamy w ręku butelkę tlenową, którą podajemy społeczeństwu, żeby nie udusiło się w zaduchu oficjalnej propagandy. Jeżeli więc ta butelka miała być sfałszowana, a zamiast tlenu mieliśmy podawać jakiś paskudny gaz, nasza działalność traciła sens.

– Chciałbym wrócić do sprawy pertraktacji. Wspominał Pan o spotkaniu z Julią Bristigierową...

– Te rozmowy odbywały się jeszcze zanim doszło do ostatecznego kryzysu. Było to może w 1950, a może w 1951 roku. W okresie przesilenia pojawił się Mazur, który stał wyżej niż ona, i Bida posyłał nas raczej do Mazura niż do Bristigierowej.

– Ale jednak Julia Bristigierowa jest chyba osobą na tyle ważną i „zasłużoną”, że warto poświęcić jej nieco uwagi...

– Rozmowy z nią zaczynały się zawsze od konkretnych problemów związanych z „Tygodnikiem Powszechnym”, lecz szybko skręcały na tory problematyki bardzo zasadniczej. Wy-

rażnie miała ochotę na poważne rozmowy, stawiała wnikliwe pytania o charakterze raczej ideologicznym i starała się nas przekonywać.

– Ideologicznie czy politycznie?

– Właśnie ideologicznie. Próbowaliśmy pokazywać nam dobre strony socjalizmu; tłumaczyła, że socjalizm jest nieuchronną przyszłością świata. Mówiła, że chcąc nie chcąc odgrywamy rolę awangardy, bo przecież socjalizm ogarnie Europę, a wtedy dzięki naszym obecnym doświadczeniom będziemy mogli pomóc przystosować się Włochom, Francuzom, Niemcom. Lubiła monologować. Opowiadała o sobie, o swoich doświadczeniach. Umiała też jednak słuchać. Gołubiew opowiadał, że świadomie sprowadził rozmowę na kwestie istnienia Boga i ona przyjęła to wyzwanie. Powiedział: „będę panią nawracał”, a ona odpowiedziała: „proszę spróbować”. Z kolei prymas Wyszyński mówił kiedyś, że lubił z nią rozmawiać, bo ona jest człowiekiem wierzącym. Powiedział o niej: *homo credens* – człowiek wierzący. Niewątpliwie była osobą bardzo ideową. Za młodu siedziała w polskim więzieniu razem z siostrą profesora Stefana Swierzewskiego, która nawróciła się wówczas na komunizm. To była zupełnie inna epoka, inne czasy. Wielu ludziom komunizm wydawał się wtedy ocaleniem, wyjściem z impasu, jedyną możliwością przezwyciężenia nacjonalizmu, niesprawiedliwości, nędzy. Uważano, że trzeba odrzucić stosunki antagonistyczne, uruchomić wszystkie obszary produkcji, porzuć spory i zlikwidować walkę klas, a wówczas dla wszystkich wystarczy tej nieskończonej ilości dóbr, jakie się będzie wytwarzać. Była to prawdziwa legenda o idealnym ustroju, najprawdziwsza utopia. Tej utopii bardzo łatwo było ulec i niezwykle wielu rozsądnych ludzi jej ulegało. Wierzyli w komunizm, siedzieli po więzieniach za tę utopię – zwłaszcza Żydzi, którzy byli wszędzie obcy i wszędzie źle traktowani. Otóż Bristigierowa, która też należała do Narodu Wybranego, bardzo mocno uwierzyła w tę utopię. Niewątpliwie była autentyczną reprezentantką pokolenia szczerze ideowych komunistów. Dlatego zapewne interesowali ją ludzie o innych przekonaniach, którzy mieli szczerze, głębokie ideały. Korciło ją to, chciała to wydobyć. Koniecznie chciała wiedzieć wszystko o rozumowaniu innych ludzi, których mogła szanować za wierność ideałom. A poza tym, zdaje mi się, że ona po prostu lubiła z nami dyskutować. Te rozmowy sprawiały jej przyjemność, chociaż bardzo mało z nich wynikało. Gołubiew próbował ją nawracać, a my dyskutowaliśmy z nią o motorach i hamulcach rozwoju w sytuacji polskiej, ale przecież ani ona, ani my nie mogliśmy liczyć na to, że się nawzajem przekonamy.

– Czy to ona inicjowała te rozmowy?

– Przeważnie proponował nam je Bida. Mówił: „To przekracza moje kompetencje. Pójdźcie z tym do Bristigierowej. W końcu jesteście jedynym takim pismem, polityczne zainteresowanie wami jest duże, a ona jest właśnie od spraw politycznych w MBP”. Jej ministerstwo wyglądało bardzo groźnie. Już samo wejście robiło dość niesamowite wrażenie. Przechodziło się przez różne kontrole, odbierali dowód osobisty, dokładnie każdego obszukiwali. Ona sama żartowała kiedyś, że wejść do niej łatwo, ale wyjść trudniej.

– Czy sądzi Pan, że to, iż Państwa później nie aresztowano, mogło być także efektem jej osobistej dla Państwa sympatii, której nabrała w czasie tych rozmów?

– Myślę, że w dużym stopniu tak było. Zresztą oni w ogóle uważali nas za katolickich maniaków, którzy jednak mają czyste ręce. Nie spodziewali się po nas dywersji ani konspirowania. Wiedzieli, że mówimy to, co myślimy. Nie było więc powodu, żeby nas zamykać, ale, jak pan wie, zamykano wówczas tak że bez specjalnego powodu. Ktoś musiał nas więc życzliwie osłaniać. Tym kimś mogła być Bristigierowa, ale też mógł to być Bida. Już po Październiku, wracając z Włoch, odwiedziłem Bidę, który był wtedy ambasadorem w Austrii. Bardzo go moja wizyta ucieszyła. „Ja myślałem – powiedział – że wy uważacie mnie za człowieka, który pracował na waszą zgubę”. „A ja myślałem – odparłem – że pan minister raczej był dla nas życzliwy i dlatego przychodzi”. Muszę przyznać, że Bida we wszystkich rozmowach był wo-

bec nas wyszukanie, osobiście uprzejmy. Powtarzał to, co mu kazali, ale robił wrażenie człowieka nam życzliwego. Potem mówiło się, że wpływał na to, żeby nie było wobec nas represji. Nie wiem, ile jest w tym prawdy, ale mam przekonanie, że nie żywił wobec nas wrogich uczuć, i że nie starał się pogorszyć naszej sytuacji bardziej niż było to z jego punktu widzenia konieczne. Jakie jednak były jego realne wpływy? Chyba więcej mogła Julia Bristigierowa. Tak czy inaczej, Bida wydaje się być człowiekiem, który nie zaszkodził nam wiele.

– Jacek Woźniakowski też wspomina go dość miło.

– Cóż, był on przed wojną skromnym urzędnikiem monopolu tytoniowego, który uwierzył w komunistyczną utopię. Ja w nią nigdy nie uwierzyłem i dzięki temu uniknąłem późniejszego bolesnego otwarcia oczu, które wielu komunistów przeżyło w połowie lat pięćdziesiątych.

– A nie dziwi Pana, że otwarcie oczu przyszło tak późno?

– Tak, tego długiego trwania przy komunizmie, mimo że praktyka była już przecież dobrze widoczna, nigdy nie potrafiłem zrozumieć. Jakaś dziwna wydawała mi się ta niewrażliwość na rzeczywistość u ludzi skądinąd bardzo przecież inteligentnych.

– Wróćmy do „Tygodnika”. W moim odczuciu najpoważniejszym kompromisem Państwa w okresie poprzedzającym rozwiązanie redakcji był udział Zofii Starowieyskiej-Morstinowej w paxowskiej Komisji Intelktualistów. Czy nie wywołało to żadnych polemik wewnątrz zespołu?

– W moim odczuciu nie było to wcale najdalej idące ustępstwo. O ile pamiętam, nasze (z Turowiczem) artykuły szły znacznie dalej. Poza tym, obecność Morstinowej w tej komisji była mało widoczna, a trudno jej było uniknąć, bo w tej sprawie wywierano na redakcję bardzo silne naciski. My zaś nie bardzo mieliśmy argumenty, mogące uzasadnić odmowę. Dużo bardziej bolesne było nasze uczestnictwo w zjazdach, które organizował PAX z najróżniejszych okazji. Ciągłe wymyślali jakieś głupstwa, żeby tylko podczepić się pod rządową propagandę. Przede wszystkim były to zjazdy w obronie pokoju – oczywiście – pokoju w sowieckiej wersji. Myślę o nich z prawdziwą awersją. Na szczęście braliśmy w nich udział tylko przez jakiś czas. Potem uznaliśmy, że dłużej już nie można i wkrótce „Tygodnik” przestał istnieć.

– A później nie wracaliście Państwo do tamtych spraw?

– Jeżeli wracaliśmy, to w formie jakiegoś westchnienia albo refleksji, ale nie odbywaliśmy na ten temat dyskusji ani nie roztrząsaliśmy kontrowersji. Uznaliśmy, że jeśli popełniliśmy jakiś poważniejszy błąd, to polegał on na tym, że nasze trwanie przeciągnęło się zbyt długo, że zbyt późno zaczęliśmy się buntować przeciwko zjazdom i podpisywactwu. PAX ciągle wymyślał jakieś listy do podpisywania – a to Korea, a to bomba. My wiele z tych listów podpisywaliśmy. Później mieliśmy o to sami do siebie pretensję, ale też nie wywołało to jakiś debat.

– Woleliście Państwo do tego nie wracać?

– Nie, po prostu wszyscy byliśmy w zasadzie jednomyślni, kiedy podpisywaliśmy i jednomyślnie powiedzieliśmy *non possumus*, kiedy zażądano od nas zmiany linii pisma. Dlaczego tak nalegano na usunięcie mnie i Turowicza? Właśnie dlatego, że chodziło o zmianę linii, a władze uważały, że właśnie my jesteśmy filarami linii dotychczasowej.

– Mimo że to Pan i Jerzy Turowicz podpisywaliście swoimi nazwiskami teksty, które miały odegrać rolę ręki wyciągniętej do zgody?

– Tak, bo uważano, że to było może dobre na poprzednim etapie, a wówczas trzeba już było pójść dalej. My dalej nie szliśmy. Uznano nas więc za ostatni symbol oporu w Polsce. W pewnym momencie staliśmy się jednym pismem, które nie zaakceptowało ówczesnej rzeczywistości. Władze zaś dostrzegały to – z czego doskonale zdawali sobie sprawę nasi czytelnicy – że z konieczności naginamy się do tego, do czego musimy się nagiąć, nie robimy jednak tego, co reszta prasy, to znaczy nie posuwamy się do gloryfikowania istniejącego systemu. Nie

krytykowaliśmy go wprawdzie, ale też nie opisywaliśmy jego okropności jako czegoś, o czym ludzkość marzyła od tysiącleci. Z czasem ta nasza inność stawała się coraz bardziej widoczna. Zaczęto nam więc otwarcie zarzucać inny od pozostałej prasy ton. Mówiono, że na nasz sposób traktowania spraw nie ma już miejsca, bo staje się on symbolem całej polskiej reakcji. Żądano od nas zrezygnowania z naszej odrębności i przyłączenia się do jednobrzmiącego chóru całej propagandy. Na to już nie mogliśmy pójść i nie poszliśmy, czym niektórym osobom sprawiliśmy niespodziankę. Prymas Wyszyński przyznał na przykład po powrocie z internowania, że oczekiwał, iż pójdziemy na kompromis z władzami, a nasza pryncypialność bardzo miło go zaskoczyła.

– Czy w 1953 roku był jakiś szczególny moment, który zdecydował o tym, że nie chcieliście już Państwo iść na dalsze kompromisy?

– Myślę, że taki moment przełomowy dla naszej świadomości stanowił udział w zjeździe obrońców pokoju we Wrocławiu, na którym wielki referat wygłosił Dobraczyński. Po powrocie z Wrocławia powiedzieliśmy sobie, że to już koniec, że więcej nie damy się w coś takiego wmanewrować.

– Kiedy przeglądałem roczniki ówczesnego „Tygodnika”, zaskoczyło mnie to, że Dobraczyński, który był przecież jednym z czołowych działaczy grupy Piaseckiego, w 1953 roku stał się autorem bodaj najczęściej przez Was drukowanym...

– Wtedy tak ostrych podziałów środowiskowych jeszcze nie było. Oczywiście, że po rozwiązaniu „Tygodnika Powszechnego” nie publikowaliśmy w paxowskiej prasie, ale po pierwsze – Dobraczyński nie był jeszcze wtedy formalnie członkiem ich grupy, a po wtóre – był jednak zasłużonym i niezłym pisarzem katolickim. Można mieć, oczywiście, wątpliwości co do jego kalibru, ale słusznie mawiał Gołubiew, że tacy popularyzatorscy pisarze, jak Dobraczyński, też są w literaturze potrzebni. Tyle tylko, że Dobraczyński miał niezrozumiałą dla nas aberrację, która polegała na tym, że nie dostrzegał tragicznych wymiarów rozgrywającego się w Polsce konfliktu. Zresztą, zdaje się, że nie dostrzega ich w dalszym ciągu, bo wydał ostatnio książkę, w której napisał, że nie rozumie dlaczego „Tygodnik” ma teraz do niego takie pretensje, skoro wówczas utrzymywaliśmy kontakty towarzyskie. No, musi pan przyznać, że jest to dziwny argument.

– Dziś nie jest on taki dziwny, bo rzeczywiście raczej nie utrzymuje się stosunków towarzyskich z ludźmi, do których postaw politycznych ma się zasadnicze zastrzeżenia.

– Ja nie podzielam tego stanowiska i wówczas też go nie podzielałem – podobnie zresztą jak wielu moich kolegów. Miewaliśmy kontakty z Dobraczyńskim, u Kisielea czasami pojawiał się Micewski, zabiegał o kontakty Wnuk. Nie odtrącaliśmy ich. Sprawę ułatwiało to, że byliśmy ludźmi zepchniętymi na margines spraw publicznych, nie reprezentowaliśmy żadnego czynnego ruchu, nie prowadziliśmy żadnej aktywnej działalności. Czemu mielibyśmy nie spotkać się od czasu do czasu ze starymi znajomymi?

– A co Państwo robiliście przez te przeszło trzy lata między czerwcem 1953 a grudniem 1956 roku, kiedy zostaliście pozbawieni „Tygodnika”?

– Każdy ratował się jak mógł. W najtrudniejszej sytuacji znaleźliśmy się Turowicz i ja. Gołubiew był pisarzem, wydawał „Bolesława Chrobrego”, z którego mógł żyć. Malewska i Szczepański chyba też coś drukowali. Inni dość szybko poznajdowali jakieś zajęcia. Natomiast my dwaj znaleźliśmy się bez żadnego zabezpieczenia. Przetrwaliśmy jakoś dzięki temu, że ostatecznie otrzymaliśmy pewną pomoc – bardzo dyskretną i miłą. Otóż dwaj księża – infulat Ferdynand Machay, proboszcz Kościoła Mariackiego w Krakowie, i ojciec Karol Popiel, jezuita – wypłacali nam za pośrednictwem księdza Bardeckiego miesięczne pensje. Robiono to tak dyskretnie, że długi czas nie wiedzieliśmy, kto jest ofiarodawcą. Ksiądz Bardecki, którego w tej sprawie indagałem, mówił, że wie kto jest ofiarodawcą, ale nam nie powie, bo

nasz mecenas sobie tego nie życzy. Jakiś czas po zamknięciu „Tygodnika” zaczęły też przychodzić z zagranicy paczki od życzliwych nam ludzi, którzy orientowali się w naszej sytuacji.

Po roku bezrobocia udało mi się znaleźć pracę. Ówczesny dyrektor Muzeum Narodowego mianował mnie na etacik w Bibliotece Czartoryskich. Rok później zostałem przeniesiony do gmachu głównego Muzeum Narodowego, gdzie otwierano właśnie osobną bibliotekę. Moje zadanie polegało na usystematyzowaniu i udostępnieniu zbiorów zmagazynowanych podówczas w pakach. Mianowano mnie nawet kierownikiem tej nowootwartej biblioteki.

Muszę przyznać, że z tamtego okresu bardzo miło wspominam ludzi, którzy zupełnie bezinteresownie pospieszyli nam z pomocą. Z jednej strony byli to ksiądz Machay i ojciec Popiel, a z drugiej dyrektor Dobrowolski, który zaryzykował, pojechał do Warszawy, wyklócił się o zgodę na zatrudnienie mnie. W nieco mniejszym stopniu pomagało nam także wiele innych osób. Zanim jeszcze trafiłem do Muzeum Narodowego, przez jakiś czas wypisywałem fiszki w pracowni łaciny średniowiecznej profesora Plezi. Także moja żona otrzymywała przejściowo różne zlecone prace w Bibliotece Jagiellońskiej, gdzie myślał o nas pan Piotr Grzegorzczak. Dzięki tym wzruszającym dowodom życzliwości ze strony wielu osób udało nam się przetrwać do 1956 roku, choć przecież głodowe niemal pensje, jakie dostawialiśmy w „Znaku”, nie pozwoliły nam wcześniej na zrobienie jakichkolwiek oszczędności. Zanim jeszcze pismo przestało wychodzić, nasza sytuacja materialna była już bardzo niedobra.

– A więc pod tym względem nie odczuwaliście Państwo likwidacji zbyt poważnie?

– Jednak odczuliśmy, bo „Znak” mimo wszystko gwarantował egzystencję, a po jego zamknięciu stała ona pod znakiem zapytania.

– Chciałbym teraz zapytać o to, co, prawdę mówiąc, najbardziej mnie interesuje. Mianowicie: jak układały się stosunki między ludźmi „Tygodnika” już po jego likwidacji?

– Przez cały czas niesłuchanie wzorowo. To było bardzo piękne, że w okresie niezwykle meczącego kryzysu, który ciągnął się całymi miesiącami, nie doszło wśród nas do żadnej próby załatwienia czegokolwiek dla siebie. Nie było żadnych wahań, żadnego wyłamania się ze wspólnego frontu. Wszyscy okazali się absolutnie solidarni. Żyliśmy w wielkiej przyjaźni, byliśmy ze sobą cały czas w bardzo serdecznych i bliskich stosunkach. Nie objawiły się najmniejsze tarcia. Nie pojawiła się nieufność. Natomiast inaczej zachowała się administracja, która – za wyjątkiem dwóch osób: nieżyjącej już pani Dobrowolskiej i Basi Bieleckiej, obecnie Buhardtowej – w całości przeszła na służbę PAX-u.

– A czy istniały jakieś formy pomocy wzajemnej między byłymi pracownikami redakcji?

– Nie, bo wszyscy klepaliśmy biedę i wszyscy ledwie mogliśmy uzbierać na swoje utrzymanie. Natomiast muszę bardzo mocno podkreślić bardzo miłe i serdeczne więzi, jakie nas wszystkich wówczas łączyły. Oboje z żoną wielokrotnie wspominaliśmy tamte czasy jako najładniejsze w naszym życiu. Nie było żadnego niepokoju, nie było niespokojnej politycznej działalności. Była bliska przyjaźń żytych ze sobą i absolutnie ufających sobie ludzi. Na przykład z Gołubiewami tworzyliśmy niemal jedną rodzinę. Żony nasze zarabiały robiąc wspólnie zabawki choinkowe. Pomagał im także Gołubiew, który, zdaje się, nawet wymyślał wzory. Stanowiliśmy prawdziwy kolektyw. Pod tym względem był to okres wspaniały – okres solidarności, przyjaźni, zupełnej pewności siebie i pewności, że wybraliśmy słuszną drogę, że właśnie tak należało postąpić, że trzeba było zamilknąć.

– I nie było w tym czasie między Państwem żadnych dyskusji, żadnych polemik związanych z reminiscencjami, z okresem bezpośrednio poprzedzającym rozwiązanie „Tygodnika”? Był to przecież okres, z jednej strony, wyraźnego szantażu i widocznego zagrożenia, z drugiej zaś strony, właśnie w tym okresie poczyniliście Państwo szczególnie duże ustępstwa wobec zadań władz. Myślę zwłaszcza o oświadczeniach, które, jak sądzę, niezupełnie odzwierciedlały prawdziwe stanowisko zespołu. Miały one stanowić, zdaje się, swego rodzaju parasol dla pisma, ale przecież nie zapobiegały jego likwidacji. Ustępstwa poczynione w kilku ostat-

nich miesiącach „Tygodnika” okazały się więc niepotrzebne. Czy nie próbowaliście Państwo rozważać taktyki tego okresu?

– Myślę, że nie wolno przenosić kryteriów jednego etapu na inny. Na tle tamtego etapu, na którym od wszystkich domagano się stalinizmu i absolutnego podporządkowania, pewne nasze taktyczne naginania się, mające przedłużyć istniejące pisma, były ustępstwami dopuszczalnymi. Taki sens miały też artykuły, które podpisywaliśmy wspólnie z Turowiczem, jak na przykład, przypominany i dziś tekst, „Katolicy w Polsce Ludowej”.

– Nie myślałem o tych artykułach. One nie zawierają niczego, pod czym i dziś nie można by się od biedy podpisać.

– Poza ogromnymi niedomówieniami!

– Ale zupełnie mieszczą się w „Tygodnikowej” formule – „nie kłamać”.

– W każdym razie mogę pana zapewnić, że przez te wszystkie lata nie było w całym zespole najmniejszych różnic ani tarć co do taktyki pisma. Wszystkie poważniejsze teksty miały akceptację naszych kolegów. Nigdy nie pisaliśmy ich wyłącznie we własnym imieniu. Zawsze przed drukiem czytali je: Starowieyska-Morskitowa, ksiądz Bardecki, Jacek Woźniakowski. Wszystko działo się u nas bardzo kolektywnie, co przychodziło tym łatwiej, że zespół był przecież nieduży.

– Wróćmy zatem do okresu zawieszenia. Spotkaliście się wówczas, o ile wiem, u Pani Morstinowej, pracował Pan w Muzeum Narodowym, ale przecież nie mogło to jeszcze pochłaniać całej Pańskiej aktywności. Zapewne robił Pan coś więcej.

– W pierwszym roku po zamknięciu „Tygodnika”, kiedy byłem jeszcze bezrobotny, PAX zaproponował mi tłumaczenie z niemieckiego książki Glisona-Bohnera „Historia filozofii chrześcijańskiej”. Można to uznać za oportunizm, ale przyjąłem tę pracę. Kiedy potem, w 1956 roku Polska, jak mówiono, weszła na nowy etap, stała się państwem innego rządu, kiedy zwrócono nam „Tygodnik” i założyliśmy Koło Poselskie „Znak”, kiedy wskoczyliśmy na wielką falę polityczną – zaczęły się gwałtowne ataki PAX i Piaseckiego. Ja nie brałem w nich udziału. Powiedziałem sobie, że skoro przyjąłem od paxowskiego wydawnictwa pracę w latach, w których było mi tak ciężko, nie mogę przyłączyć się do kampanii przeciwko PAX-owi. Nie podejmowałem wprawdzie wobec PAX-u żadnych zobowiązań ideowych ani politycznych. Uważałem jednak, że mimo wszystko byłoby nie fair, gdybym atakował Piaseckiego w chwili, gdy znalazł się w poważnych opałach. Dlatego nie zdarzyło mi się napisać żadnego artykułu przeciw PAX-owi.

– Tym bardziej, że przecież żadne inne wydawnictwo nie powierzyłoby Panu takiej pracy przed 1956 rokiem.

– Tak, zapewne było to nie do pomyślenia. A ja mógłbym może bez tego tłumaczenia przeżyć i wtedy nie miałbym żadnych zobowiązań, ale skoro je już przyjąłem, musiałem ponosić tego konsekwencje. Gołubiew, który także w tamtych latach wydawał w PAX-ie swoje książki, mówił, że oni nie robią nam łaski, bo też mają w tym swój interes, ale takie tłumaczenie nie zwalnia przecież z pewnej wdzięczności i może nawet solidarności. W każdym razie nie uważaliśmy ich za pariasów, którym nie można podać ręki wtedy, kiedy dawali nam zajęcie, więc nie mogliśmy napadać na nich, kiedy tylko zdobyliśmy się na niezależność.

– Myślę, że sprawa PAX-u jest niezwykle skomplikowana, bo obok działań niezaprzeczalnie szkodliwych, obok straszliwej destrukcji spowodowanej w polskim Kościele, ma też PAX dorobek pozytywny w sferze kulturowej, zwłaszcza wydawniczej.

– Tak, PAX popełnił fatalny błąd, a nawet grzech, włączając się w akcję rozbijania Kościoła. Piasecki sądził, że uratuje Kościół, jeżeli obejmie jego kierownictwo. Było to prawdziwe zaślepienie. Najpierw władze usuwały z diecezji prawowitego biskupa, a zaraz potem PAX proponował „odpowiedniego” człowieka. Tak długo wywierano najróżniejsze naciski, aż w końcu stłamszona i zastraszona kapituła godziła się wybrać kogoś, kto był manipulowa-

ny przez Piaseckiego. W ten sposób obsadzili szereg diecezji. Tylko Diecezja Krakowska wytargowała kompromis, dzięki czemu wikariuszem kapitulnym autentyczny biskup polecony przez Prymasa. I on jednak musiał dobrać sobie dwóch zastępców – wikariuszy generalnych, o których trudno było powiedzieć coś dobrego. Jeden był człowiekiem PAX-u. Drugi zaś związany był ze środowiskiem „księży-patriotów” zrzeszonych w ZBOWiD-zie. Nawet w Krakowie sytuacja nie była więc łatwa, chociaż na czele kurii stał nieskończenie dobry, życzliwy i wzorowy kapłan – ksiądz biskup Jop, późniejszy ordynariusz opolski.

– Chciałbym jeszcze wrócić do sprawy współpracy Państwa z PAX-em. W jaki sposób doszło do otrzymania przez Pana propozycji podjęcia tego tłumaczenia?

– Tego, muszę przyznać, nie pamiętam...

– Zależy mi na tym, żeby spróbował Pan zrekonstruować drogę, jaką to tłumaczenie do Pana trafiło, bo zauważyłem zastanawiającą prawidłowość. Otóż, wkrótce po zlikwidowaniu „Tygodnika” większość jego byłych pracowników otrzymało z PAX-u różnego rodzaju propozycje wydawnicze. Nie wiem, czy miał tu miejsce zwykły zbieg okoliczności (w końcu było to jedyne w tym okresie wydawnictwo katolickie, a więc wydające książki mogące się mieścić w Państwa emplotach), czy też próbowano Państwa tymi propozycjami jakoś uspokoić, zneutralizować, a może po prostu podratować, pomóc utrzymać się na powierzchni...

– Wydaje mi się, że ludzie Piaseckiego byli zażenowani i starali się pokazać, że nie niszczą nas osobiście, że po zniszczeniu pisma pozwalają nam jednak przetrwać – przynajmniej w sensie otrzymania jakiejś pracy intelektualnej. Dla nas był to kompromis. Wahaliśmy się, czy można stamtąd przyjmować tłumaczenia albo drukować tam książki. Ukuliśmy wtedy taką teorię, że w odróżnieniu od samego PAX-u, wydawnictwo spełnia pozytywną rolę i współpraca z nim jest dopuszczalna.

– A nie przypomina Pan sobie, jak doszło do złożenia Państwu tych ofert?

– Zawsze byli jacyś ludzie PAX-u, którzy z nami się stykali i starali się pośredniczyć. Takim człowiekiem był na przykład Włodzimierz Wnuk – ówczesny reprezentant PAX-u na Kraków, osoba bardzo urocza i sympatyczna. Micewski, który był w PAX-ie bardzo głęboko i przyjaźnił się z Piaseckim, też starał się z nami jakieś niteczki znajomości utworzyć, zwłaszcza, że zawsze miał dobre stosunki z Kisielem. Możliwe więc, że ta propozycja wyszła albo od Wnuka, albo od Mieczysława Kurzyny, z którym spotykaliśmy się od czasu do czasu.

– I utrzymywaliście Państwo te kontakty przez cały okres zawieszenia „Tygodnika”?

– Tak, ale były to raczej kontakty z ludźmi PAX-u niż samym PAX-em. Z Kurzyną na przykład spotykałem się czasami z kawiarni, żeby sobie pogadać.

– A jak wyglądały stosunki z Dobraczyńskim po zamknięciu „Tygodnika”?

– Po objęciu „Tygodnika”, Dobraczyński złożył wizytę Turowiczowi. Turowicz przyjął go i rozmawiał, a nawet, zdaje się, poczęstował herbatą, ale był kwaśny – nie mógł oczywiście aprobować tego, że Dobraczyński przejął „Tygodnik”¹. Ja też stykałem się czasami z Dobraczyńskim, ale nigdy w celu prowadzenia jakichś pertraktacji. Przypominam sobie, że w tamtych latach spotykaliśmy się na przykład u księdza Eugeniusza Dąbrowskiego – znanego tłumacza Pisma Świętego, zapraszającego do siebie nas i paxów, u których wydawał swoje tłumaczenia.

– Czyli wbrew temu, co napisał, nie mieliście Państwo towarzyskich kontaktów poza przypadkowymi spotkaniami i koniecznościami w rodzaju wizyty Grahama Green’a?

– Nie, osobistych kontaktów, na pewno nie było, ale słusznie pan przypomniał wizytę Green’a, którego Dobraczyński przyprowadził do nas, umożliwił mu kontakt z nami i był obecny przy rozmowie, która tym razem odbyła się w salonie Marii Morstin-Górskiej.

– A jaki był stosunek krakowskiej kurii do zespołu rozwiązanego „Tygodnika”?

¹ Jerzy Turowicz nie przypomina sobie tej wizyty.

– To była złożona sprawa. Ksiądz biskup Jop odnosił się do nas bardzo serdecznie, natomiast jego zastępcy, o których panu wspomniałem, byli zdecydowanie chłodni, urzędowi i nieufni.

– Czy biskup Jop okazywał w jakiś sposób tę swoją życzliwość? Czy był Państwu w jakiś sposób pomocny?

– Życzliwość naturalnie okazywał. Można było do niego przyjść i zawsze poczęstował herbatą.

– Ale na herbacie się kończyło?

– A cóż on biedny mógł nam więcej dać? Był osaczony przez własnych wikariuszy generalnych. Walczył z nimi o każdą piędź ziemi. Poza platoniczną serdecznością nie mogliśmy od niego niczego więcej oczekiwać. Zresztą w tym czasie sytuacja całego Kościoła była już naprawdę dramatyczna. Prymas był aresztowany. Jego funkcję sprawował Przewodniczący Episkopatu – biskup Michał Klepacz z Łodzi. Znałem go jeszcze jako profesora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W latach pięćdziesiątych szedł on jednak daleko w kompromisach z władzami. Kiedy przyjeżdżałem do Łodzi, odwiedzałem biskupa Klepacza i byłem przez niego przyjmowany nadzwyczaj serdecznie. Wielokrotnie żalił mi się wtedy, że musi iść na te kompromisy, ale uważał, że nie ma innej drogi.

– Wróćmy do spraw „Tygodnika”. Powiedział Pan, że przyjaźniliście się Państwo głównie z Gołubiewem, i że rodziny Państwa były niemal sfederowane. Ciekaw jestem, jak wyglądał układ stosunków towarzyskich wewnątrz całej redakcji. Musiały się przecież tworzyć bardziej ze sobą zżyte grupki, musiało się w tym kilkunastoosobowym środowisku narodzić trochę bliższych przyjaźni...

– Nie, chyba nie było wśród nas jakichś takich towarzyskich podziałów. Stanowiliśmy naprawdę jeden wielki kolektyw. Hania Malewska, ksiądz Bardecki, Gołubiewowie, Turowiczowie, Szczepańscy, Kisielowie, profesor Morczkowski z rodziną – to był nieustanny kolektyw. Zbieraliśmy się na rozmaitych imieninach – raz u tego, raz u tamtego, gadaliśmy, spędzaliśmy ze sobą czas. Stanowiliśmy wielką rodzinę. Było w tym coś bardzo ładnego, że nie doszło między nami do najmniejszych tarć, natomiast jeszcze bardziej się wszyscy skonsolidowaliśmy, zżyliśmy się ze sobą. Nasze stosunki z Gołubiewami miały charakter o tyle wyjątkowy, że ja z Antonim przyjaźniłem się jeszcze przed wojną. Tolo – podobnie jak ja – pochodził z Wilna. Byliśmy razem w szkole i na uniwersytecie. Razem wydawaliśmy też w Wilnie katolickie pismo, które nazywało się „PAX” i ukazywało się w latach 1933–1939. Zresztą wówczas też było nam bardzo ciężko i na każdy numer musieliśmy kwestować. 17 września 1939 roku razem z Tołem wzięliśmy plecaki i uciekliśmy z Wilna. Chcieliśmy iść na Litwę, ale trafiło się auto na Łotwę, więc pojechaliśmy na Łotwę. Przez rok byliśmy razem na tułaczce. Mieszkaliśmy w jednym pokoju, dzieliliśmy wszystkie swoje przeżycia. Nic dziwnego, że później w Krakowie nasze rodziny też żyły ze sobą niezwykle blisko. Taka aura objęła zresztą wszystkich i wkrótce całe środowisko „Tygodnika” stało się jakby jedną wielką rodziną, do której należeli nie tylko pracownicy, ale także niektórzy współpracownicy, a nawet sympatycy pisma. Na przykład do księdza Wojtyły, który był wówczas jeszcze wikarym, bardzo często bez zapowiedzi wpadaliśmy tylko po to, żeby sobie pogadać. Ale to już jest historia tak znana, że nie warto chyba o niej opowiadać.

– Wróćmy więc do stosunków panujących w zespole rozwiązanego „Tygodnika”. Czy chciałby Pan rozszyfrować skrót Ka-Ka-Du?

– To Kisiel wymyślił tę nazwę. „Ka-Ka-Du papuga, bardzo piękny ptak, jednym okiem mruga, przyspiewując tak...” Ka-Ka-Du to był Katolicki Klub Dyskusyjny, tworzony przez wspólny zespół tygodnikowo-znakowy – oczywiście zupełnie nieformalny – zbierający się w salonie pani Zofii Starowieyskiej-Morstinowej. Były to spotkania ludzi, którzy do niedawna

tworzyli redakcję i jej środowisko, a teraz spotykali się w prywatnym salonie, żeby dyskutować na rozmaite tematy.

– Czy te spotkania miały charakter periodyczny?

– Nie, było nas przecież nie więcej niż dwadzieścia osób, więc zawsze mogliśmy się wydzwonić, jeżeli była jakaś potrzeba. Karol Górski mówił nam wtedy: „Teraz macie czas, żeby się przygotować do następnego etapu. Nie macie w tej chwili żadnych społecznych obowiązków, więc powinniście studiować i studiować, żebyście byli gotowi, kiedy przyjdzie pora”.

– Czego dotyczyły dyskusje w salonie Pani Morstinowej?

– Bardzo różnie. Czasami jakiejś ciekawej książki, którą przeczytaliśmy, czasami jakiegoś ciekawego przedstawienia teatralnego, czasem przyszłości. Bywały też spotkania specjalne, na które zapraszaliśmy gości. Pamiętam, że przychodził na nie i opowiadał o swoich doświadczeniach były minister i były wiceminister w ostatnich rządach polskich, Eugeniusz Kwiatkowski – założyciel Gdyni, który w Polsce Ludowej też był przez pewien czas szefem Urzędu Morskiego. Kiedy zaczęło się zanosić na odwilż, odwiedził nas także, przybyły właśnie z emigracji, były premier rządu londyńskiego – Stanisław Mackiewicz. Czasem Zawieyski czytał nam swoje sztuki, które pisał wtedy do szuflady. Mieszkał w Warszawie, ale odwiedzał nas dość regularnie. Z Warszawy przyjeżdżał też Zygmunt Kubiak, który przystał do „Tygodnika” już w okresie likwidacji.

– I Tyrmand...

– Tyrmand rzadziej przyjeżdżał do Krakowa, ale razem z nami wyszedł z „Tygodnika”, był z nami absolutnie solidarny, i kiedy się zjawiał, to oczywiście zaraz zwołaliśmy u Zofii zebranie. „Przyjechał Tyrmand. Przyjdźcie porozmawiać z Tyrmandem”. Zdarzało się też, że ktoś z naszych krewnych i znajomych wracał z zagranicy. Wtedy również wszyscy się zbiegali. „Zagranica” była wówczas wielkim ewenementem. Od wojny nikt z nas nie wyjeżdżał przecież z Polski. Pierwszy po wojnie mój wyjazd nastąpił dopiero w roku 1957, kiedy już zostałem posłem.

– A czy przypomina Pan sobie może, kiedy pojawiła się myśl o wznowieniu „Tygodnika” i jak doszło do napisania już w maju 1956 roku listu do premiera Cyrankiewicza, w którym postulowaliście Państwo zwrócenie pisma i deklarowaliście poparcie dla zachodzących w Polsce – wówczas jeszcze bardzo ostrożnych – przemian?

– Zespół, jak panu mówiłem, trwał. Tymczasem w 1953 roku, kiedy nas dopiero zamknęli i wydawało się, że jesteśmy właśnie u szczytu totalitaryzmu, w Rosji, po śmierci Stalina, zaczęło się odchodzenie od stalinizmu. Potem, już w 1956 roku, kiedy przyszedł XX zjazd KPZR, nastroje w Polsce zaczęły się wyraźnie ożywiać. Wtedy zaczęła się i w nas budzić nadzieja. Pomyśleliśmy, że może i nam się uda. Jak pan wie, na ten list do Cyrankiewicza nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi. To jednak naszych nadziei nie przekreślało, bo mieliśmy niezwykle optymistyczne wiadomości od Zawieyskiego. Mieszkał on w Warszawie i przyjaźnił się, między innymi, z Władysławem Bieńkowskim, którego wcześniej nie znaliśmy bliżej, a który był osobistym przyjacielem Gomułki. Gdy Gomułkę uwięziono, Bieńkowski też został odsunięty i skierowany do pracy w Bibliotece Narodowej. Gdy Gomułka został zwolniony i po Październiku 1956 roku, objął władzę, Bieńkowski od razu podsunął naszą sprawę, prezentując nas jako tych katolików, na których Gomułka może liczyć w walce z natolińskim PAX-em. Wtedy otrzymaliśmy zaproszenie od Gomułki i sprawy ruszyły już bardzo szybko.

– A więc nie zabiegaliście Państwo o tę rozmowę?

– Nie, byliśmy zupełnie zaskoczeni, kiedy Zawieyski zadzwonił do Krakowa i powiedział, żebyśmy natychmiast przyjeżdżali, bo otwierają się nowe możliwości. W tych dniach popaździernikowych ukazało się także nasze oświadczenie popierające Gomułkę, które podpisali również secesjoniści z PAX-u, kilka osób z KUL-u oraz Zawieyski.

– Czy pamięta Pan może przebieg rozmowy z Gomułką?

– Ogólnie pamiętam, ale kiedy zaczęliśmy odtwarzać szczegóły, okazało się to bardzo trudne. Pamiętam, że główny motyw stanowił wykład Gomułki o tym, jak krytyczna jest sytuacja Polski i jak realna wydaje się groźba sowieckiej interwencji. Wyraźnie mówił nam, że wszystko wisi na włosku. Aranżując spotkanie, Bieńkowski powiedział oczywiście Gomułce, że przychodzimy do niego, żeby odzyskać „Tygodnik Powszechny” oraz „Znak”, i na samym końcu spotkania Gomułka powiedział nam, że w tej sprawie decyzje są już wydane, więc nie musimy się targować. Natomiast w czasie rozmowy głównie on monologował. Bez przerwy straszył nas sytuacją międzynarodową. Był pod wielkim wrażeniem wydarzeń, jakie rozgrywały się na Węgrzech – o ile pamiętam, w Budapeszcie właśnie trwały walki. Kilka razy przypominał, że i w Polsce takie nieszczęście jest bardzo prawdopodobne. Przytaczał przykłady różnych lekkomyślnych wystąpień – na przykład oświadczenie Osóbki-Morawskiego, że trzeba Lwów odebrać Sowietom.

– Ta rozmowa, o ile wiem, odbywała się w Domu Partii...

– Tak.

– A czy zechciałby Pan opisać jej koloryt?

– Czuło się w tym gmachu ogromne napięcie i nerwowość. Wszyscy byli jacyś podnieceni. Kiedy czekaliśmy w korytarzu, przechodził akurat Ignar, który znał Zawieyskiego. Oderwał go od nas, pociągnął do jakiejś niszy i zaczął mu coś bardzo dramatycznie tłumaczyć. Oni jeszcze wtedy nie byli pewni czy się ostoją. Sam Gomułka natomiast nie robił na mnie wrażenia spanikowanego. Po rozmowie wszyscy uznaliśmy, że najlepiej pasuje do niego stereotyp ideowego nauczyciela ludowego. Miał tendencję do pouczania i dydaktycznego gadania, ale robił raczej sympatyczne wrażenie.

– Już niebawem miał się okazać twardym i raczej cynicznym graczem...

– Tak, i sądzę, że gdyby nie znajomość Zawieyskiego z Bieńkowskim, do którego Gomułka miał wówczas bardzo duże zaufanie, w Październiku też byśmy wiele nie zwojowali.

– A więc uważa Pan, że w znacznej mierze przypadek zadecydował o wznowieniu „Tygodnika”?

– W pewnej mierze tak, ale oczywiście, żeby ten przypadek mógł się zdarzyć, musiała istnieć silna i znana grupa, jaką stanowiliśmy, mimo trzy-i-pół-letniej przerwy w wydawaniu „Tygodnika”. Bez naszego zdecydowanego „*non possumus*” z 1953 roku nie bylibyśmy potrzebni w roku 1956.

Rozmowa z księdzem Andrzejem Bardeckim

Liczyłem się z tym, że ta sytuacja może potrwać jeszcze bardzo długo – nawet do końca mojego życia, ale jednocześnie nie miałem najmniejszych wątpliwości, że w tych warunkach nie ma żadnych możliwości uprawiania pracy publicystycznej.

– Jak układały się stosunki między redakcją „Tygodnika Powszechnego” a Kurią Krakowską w okresie poprzedzającym rozwiązanie pisma?

– Kuria, jako wydawca, zajmowała się głównie sprawami ekonomicznymi i finansowymi, które z jej ramienia kontrolował ksiądz kanonik Kurowski. Mieliśmy własną administrację, więc ta kontrola ograniczała się praktycznie do spraw takich, jak wysokość pensji czy kwestie podatkowe. Poza tym posiadaliśmy całkowitą autonomię. Do redagowania „Tygodnika” Kuria się nie mieszała. Byłem wówczas asystentem kościelnym i odpowiadałem przed władzami kościelnymi za ortodoksję pisma, ale nie miałem żadnych poleceń, instrukcji, ani kłopotów ze strony Kurii.

– A więc był Ksiądz pozostawiony sam sobie?

– Tak, przyszedłem do „Tygodnika” w maju 1951 roku, kiedy pracował tu jeszcze ksiądz Piwowarczyk. Nie wiedziałem wówczas o tym, że będzie musiał odejść, i że Kuria szuka kogoś na jego miejsce, ponieważ był zamieszany w proces inżyniera Doboszyńskiego. Inżynier Doboszyński przekradł się z Zachodu do kraju, tu został zidentyfikowany, aresztowany, i w procesie pokazowym skazany na śmierć. Na tym procesie ksiądz Piwowarczyk występował jako świadek. W każdym razie i ksiądz Piwowarczyk, i ksiądz arcybiskup Sapięha uważali, że dla dobra „Tygodnika” kto innym powinien zostać asystentem kościelnym. Ja dowiedziałem się o tym dopiero wtedy, kiedy w październiku 1951 roku ksiądz Piwowarczyk odszedł z redakcji i polecono mi objąć wakujący po nim etat asystenta kościelnego i współredaktora pisma. Wpadłem tam trochę jak śliwka w kompot, bo akurat zaczynały się wyjątkowo ciężkie czasy i dla „Tygodnika”, i dla całego polskiego Kościoła. W 1952 roku zorganizowano proces Kurii Krakowskiej, na który zostałem wysłany jako obserwator z ramienia „Tygodnika”. Był to typowy proces pokazowy. Odbywał się w specjalnie przystosowanej sali widowiskowej, trwał pięć dni – codziennie od dziewiętej rano do piątej po południu – i robił, muszę powiedzieć, bardzo przygnębiające wrażenie. Od początku było widać, że wszystko jest już zdecydowane, że cała rozprawa zrobiona jest głównie po to, żeby jeszcze bardziej poniżyć księdza Lelito i jego współoskarżonych, może także żeby dostarczyć nieco uciechy zetempowskiej gawiedzi, ale na pewno nie po to, żeby odkryć prawdę. Siedziałem tam całymi dniami z reprezentującym Kurię księdzem kanclerzem Kuczkowskim, a wieczorami spotykaliśmy się u pani Morstinowej i opowiadałem moim kolegom o tym, co widziałem.

– Ale nic Ksiądz z tego procesu nie pisywał..

– Nie, to było niemożliwe. Proces był całkowicie sfalszowany, zarzuty były wyssane z palca, rozprawa dokładnie reżyserowana, ale nawet mimo to sprawozdania radiowe jeszcze raz fałszowały tę zafalszowaną już rzeczywistość. W tej sytuacji staliśmy się zupełnie bezradni i lepiej było milczeć.

– Czy „Tygodnik” był w jakiś sposób przywoływany w czasie tego procesu?

– Nie, „Tygodnika” wówczas nie ruszano. Było w redakcji dwóch ludzi, którzy mogli być zahaczeni – ksiądz Piwowarczyk z racji swego zaangażowania w proces inżyniera Doboszyńskiego oraz Paweł Jasienica w związku z jego partyzancko-wileńską przeszłością. Obaj odeszli jednak wcześniej, żeby nie narażać pisma.

– Jak wyglądały wówczas Wasze stosunki z władzami?

– Cenzura była bardzo ostra. Mieliśmy z nią ciągle mnóstwo kłopotów, coraz trudniej nam było redagować pismo. Jednak prawdziwe kłopoty pojawiły się dopiero, kiedy w marcu 1953 roku umarł Stalin. Cała prasa zaczęła wówczas pisać panegiryki. My takiego tekstu nie chcieliśmy opublikować. Wówczas cenzura wstrzymała nam numer i „Tygodnik” w ogóle się nie ukazał. Przygotowaliśmy więc numer następny, w którym też nie było tekstu o Stalinie, i znów cenzura zdjęła go z całości. Wobec tego przygotowaliśmy trzeci numer, w którym jako artykuł wstępny zamieszczony był wywiad Jerzego Turowicza z Księdzem Prymasem Wyszyńskim. Traktowaliśmy to jako test. Uważaliśmy, że jeżeli skonfiskują nam i ten materiał, będzie to znaczyło, że nie ma sensu dalej trwać. Wywiad został zdjęty wraz z całym numerem. Redakcja wysłała wówczas Gołubiewa i mnie, żeby zawiadomić Księdza Prymasa, że podjęliśmy decyzję o zaprzestaniu wydawania pisma. Rano w Wielki Czwartek 1953 roku, zaraz po przyjeździe z Krakowa, poszliśmy do Księdza Prymasa na Miodową. Zostaliśmy przyjęci i odbyliśmy krótką rozmowę, po czym Ksiądz Prymas zaprosił nas na kolację. Po kolacji odbyliśmy kolejną, tym razem bardzo długą, rozmowę. Ksiądz Prymas przyjął do wiadomości naszą decyzję i nasze racje.

– Jak ta rozmowa wyglądała ?

– Była dość długa, więc oczywiście nie jestem w stanie odtworzyć jej przebiegu. Pamiętam, że Ksiądz Prymas kilkakrotnie pytał, czy dobrze się zastanowiliśmy. Z początku namawiał nas, byśmy podjęli jeszcze jakieś próby, ale nasz mandat dotyczył wyraźnie poinformowania Księdza Prymasa o solidarnej decyzji zespołu. Nie była to przecież decyzja podjęta pod wrażeniem chwili. Mieliśmy ją bardzo głęboko przemyślaną i bardzo dokładnie przedyskutowaną.

– Jak odbywało się podejmowanie tej decyzji?

– Rozmowy odbywały się u świętej pamięci Zofii Starowieyskiej-Morstinowej, w jej obszernym wygodnym salonie, w dużym gronie chyba całego zespołu i wielu stałych współpracowników. Brali w nich udział: Jan Józef Szczepański, Stefan Kisielewski, Antoni Gołubiew, Jacek Woźniakowski, Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz, Hanna Malewska, Józefa Golmont (później Hannelowa), pani Zofia i oczywiście ja.

– Jak taka narada wyglądała?

– Zagajenie zwykle robił Gołubiew, rzadziej Stomma albo Turowicz. Potem zaczynała się dyskusja. Decyzje były podejmowane wspólnie i zawsze powstawała formuła, na którą się wszyscy zgadzali. Co do tego, że nie ma szans na dalsze ukazywanie się „Tygodnika”, zgadzaliśmy się zupełnie jednomyślnie. Uważaliśmy, że skoro nie można zamieścić nawet wywiadu z Prymasem, nie ma szans na wydawanie katolickiego czasopisma.

– Co się działo po rozmowie z Księdzem Prymasem?

– Redakcja nie była jeszcze zamknięta. Przychodziliśmy więc, spotykaliśmy się jak w klubie, dyskutowaliśmy i czekaliśmy, co będzie dalej. O ile pamiętam, prowadzone były jeszcze jakieś rozmowy z władzami, które wysuwały wobec nas różne roszczenia. 13 czerwca, kiedy byliśmy na imieninach u Gołubiewa, dostaliśmy wiadomość, że do Krakowa przyjechał pan Siemek – zastępca ówczesnego ministra do spraw wyznań, pana Bidy – i że czeka na nas w administracji „Tygodnika”. Przerwaliśmy imieniny, żeby pojechać tam wraz z Gołubiewem i Morstinową. Tymczasem Siemek próbował podburzyć przeciwko nam pracowników administracji, co mu się nawet w dużym stopniu udało. Domagał się usunięcia z zespołu Turowicza i Stommy. Oświadczył nam, że na odpowiedź będzie czekał do godziny czwartej na ranem. Jeżeli do tego czasu jej nie otrzyma, odjedzie do Warszawy. Oczywiście, odpowiedzi nie uyskał, ale został w Krakowie i przez parę dni prowadził jeszcze rozmowy przy użyciu wszelkich metod nacisku, łącznie z posługiwaniem się Urzędem Bezpieczeństwa, grożeniem aresztowaniami, szantażowaniem Kurii i tak dalej. W końcu nic nie uzyskawszy, wyjechał do Warszawy.

– Jakiego rodzaju były naciski na Kurie?

– Był to okres po procesie Kurii Krakowskiej, kiedy wikariuszem kapitulnym został wybrany biskup Jop, sufragan sandomierski, który zachowywał się w Krakowie bardzo dzielnie. Przede wszystkim próbowano wywierać presję na niego, między innymi za pośrednictwem dwóch jego zastępców, wikariuszy generalnych, którymi byli księża całkowicie posłuszni władzom. Na szczęście biskup Jop z ogromnym spokojem i odwagą przyjmował naciski i pogróżki, nam zaś zawsze okazywał pełne zaufanie. Całkowicie się z naszą linią solidaryzował i nigdy nie namawiał nas do jakiegóż szczególnego uległości. Zresztą, trudno było wymagać od nas uległości wobec żądań, które stawiała władza.

Pamiętam jedną z takich rozmów, którą w Wydziale do Spraw Wyznań Miejskiej Rady Narodowej prowadzili: pani Morstinowa, Jan Józef Szczepański, Józef Maria Świącicki i ja. Postawiono nam wówczas zadanie usunięcia z redakcji Stommy i Turowicza. Na ich miejsce przyjąć mieliśmy Dobraczyńskiego i kogoś jeszcze z PAX-u. Dla nas była to dość dobra płaszczyzna do dyskusji, bo zajęliśmy moralnie oczywiste stanowisko, że bronimy swoich kolegów, wszyscy całkowicie się z nimi solidaryzujemy i absolutnie na takie zmiany się nie zgadzamy.

Potem trwały jeszcze jakieś pertraktacje, w których nie brałem udziału. Na ostatnią – jak się okazało – rozmowę u ministra Bida, która odbyła się 29 czerwca 1953 roku, redakcja wysłała Hannę Malewską, Jacka Woźniakowskiego i mnie. Rozmowa zaczęła się o godzinie trzeciej po południu, odbywała się bardzo kulturalnie, z zachowaniem wszelkich form kurtuzacji. Minister Bida postawił nam wówczas pewne warunki, które były absolutnie nie do przyjęcia. Zażądał napiętnowania biskupa Kaczmarka z Kielc i odcięcia się od linii Prymasa, który już wkrótce miał być aresztowany. Wszyscy po kolei zabieraliśmy głos, bardzo spokojnie przedstawialiśmy swoje racje, mówiliśmy, dlaczego nie możemy zrobić tego, czego się od nas żąda. Trwało to wszystko może pięć kwadransów, po których wyszliśmy z poczuciem absolutnej ulgi, wynikającej z przekonania, że to już była ostateczna rozmowa. Rzeczywiście, na zajutrz redakcja została opieczętowana i wkrótce oddano ją PAX-owi, który zaczął wydawać „Tygodnik” pod tym samym tytułem i nawet w niezmiennym szacie graficznej.

– Zatrzymajmy się jeszcze na okresie, w którym losy „Tygodnika” się ważyły. Dlaczego po podjęciu decyzji po wstrzymaniu wydawania pisma pojechaliście do Księdza Prymasa, a nie poszliście po prostu do biskupa Jopa, który, stojąc na czele diecezji krakowskiej, był przełożonym redakcji?

– Sprawę uważaliśmy za niezwykle ważną, a proszę pamiętać, że biskup Jop, jako wikariusz kapitulny, był w Krakowie zainstalowany dość prowizorycznie. Uważaliśmy więc, że należy się konsultować z Księdzem Prymasem, tym bardziej, że cenzura zatrzymała udzielony przez niego wywiad. Biskup Jop był jednak na bieżąco o wszystkim informowany, i sam – nie chcąc podejmować decyzji w tak ważnej sprawie – odsyłał nas do Księdza Prymasa.

– Czy w ciągu tych trzech miesięcy między marcem, kiedy „Tygodnik” zawieszono, czerwcem, kiedy go zlikwidowano, stanowisko zespołu w jakiś sposób ewoluowało? Czy mieliście chwile wahania, wątpliwości, rozmiękczenia?

– Były dyskusje i rozmowy; oczywiście za każdym razem zastanawialiśmy się nad naszym stanowiskiem, ale osiągnięcie porozumienia nie było możliwe, bo władze wymagały od nas zbyt wiele. Po jakimś czasie, oczywiście, przestano wysuwać żądanie, żebyśmy wydrukowali artykuł o Stalynie, bo sprawa stała się już w jakiś sposób przebrzmiała, ale wtedy pojawiły się, jak panu mówiłem, nowe wymagania, które także były dla nas nie do przyjęcia. W końcowym okresie pertraktacji na czele żądań stało usunięcie Turowicza i Stommy.

– Przerwałem Księdzu opowieść w momencie, kiedy pismo zostało zlikwidowane i cała redakcja wylądowała na bruku. O ile wiem, w tym czasie szczególną rolę zaczął pełnić salon Pani Morstinowej. Czy zechciałby go Ksiądz opisać?

– To było tutaj niedaleko, w samym środku Krakowa, przy placu Sikorskiego pod numerem czwartym. Pani Starowieyska-Morstinowa miała bardzo ładne, obszerne mieszkanie z dużym salonem, mogącym wygodnie pomieścić kilkanaście osób, ale szczegółów wyposażenia nie potrafię już sobie przypomnieć

– A czy może przypomina Ksiądz sobie, kiedy powstał zwyczaj spotykanie się u Pani Morstinowej i jak te spotkania wyglądały.

– Kiedy w 1951 roku przyszedłem do „Tygodnika”, ten obyczaj już istniał. Były to duże spotkania, gromadzące zazwyczaj po kilkanaście osób ze środowiska redakcji. Co pewien czas Pani Morstinowa zapraszała nas na wieczór i wówczas dyskutowaliśmy o rozmaitych sprawach. Także po rozwiązaniu „Tygodnika” nikt nam w tym specjalnie nie przeszkadzał, więc ta więź mogła być utrzymana. Była to więź o charakterze niemal rodzinnym, bo nierzadko Turowicz, Stomma czy Gołubiew przychodzili z żonami. Omawiało się bieżące wydarzenia polityczne czy kulturalne, ale przede wszystkim spędzało razem czas, podtrzymywało się naszą komitywę i to stanowiło dla wszystkich poważne oparcie. Dzięki tym spotkaniom nie czuliśmy się samotni w tych ciężkich chwilach.

Sama pani Zofia była osobą pochodzącą z zamożnej ziemiańskiej rodziny, niezwykle towarzyską, gościnną, serdeczną. Zresztą u nas stosunki zawsze były bardzo rodzinne, wszyscy byliśmy ze sobą na „Ty”, zawsze utrzymywaliśmy dość bliskie stosunki towarzyskie, często spotykaliśmy się poza redakcją.

Kiedy zlikwidowano „Tygodnik” wszyscy moi koledzy znaleźli się bez pracy. Ksiądz Piwowarczyk wysiedlono już wówczas z Krakowa². Wyjeżdżając prosił mnie, żebym się koniecznie zaopiekował redaktorami. Było to rzeczywiście konieczne, bo nikt z nich nie mógł początkowo znaleźć żadnej posady. Systematyczną pomoc świadczył nam wówczas ksiądz infułat Ferdynand Machay, proboszcz Bazyliki Mariackiej, który część osób wziął na regularne pensje. Poza tym ksiądz Wojtyła, który był wtedy profesorem seminarium krakowskiego, co miesiąc przynosił mi w kopercie 300–400 złotych „dla redaktorów”. Była to może jedna trzecia, a może jedna czwarta jego pensji. Dużą pomoc otrzymywaliśmy też od biskupa Klepacza, który po aresztowaniu Księdza Prymasa został wybrany Przewodniczącym Episkopatu. Byłem u niego kilka razy w Warszawie i za każdym razem dostawałem jakieś większe sumy rzędu kilkunastu tysięcy. Otrzymywaliśmy więc pomoc z różnych źródeł, ale decydujące było na pewno wsparcie księdza infułata Machaya.

– Ta pomoc nie mogła chyba jednak wystarczyć...

– Oczywiście, że nie, i zresztą starali się ją w miarę możliwości uzupełniać. Pamiętam na przykład, że państwo Gołubiewowie wyrabiali ozdoby choinkowe i sprzedawali je. Jan Józef Szczepański nie korzystał z pomocy w ogóle. Ilekroć mu ją proponowałem, zawsze mówił, że on sobie jakoś radzi, inni zaś są naprawdę potrzebujący.

– Jak odbywało się przekazywanie pomocy przez Księdza Machaya?

– Chodziłem do niego co miesiąc i zawsze otrzymywałem kopertę z kwotą, która pozwalała na utrzymanie kilku osób wraz z rodzinami. Takie regularne pensje otrzymywali, o ile pamiętam, Turowicz, Stomma, Józef Maria Świącicki; Gołubiew, zdaje się, też³. Poza stałymi kwotami, od czasu do czasu, ksiądz Machay dawał mi jakieś dodatkowe pieniądze na ekstra pomoc. Był to człowiek niesłychanie hojny, miał bardzo szerokie serce i nigdy na pomoc dla swoich kolegów z „Tygodnika” pieniędzy nie skąpił.

– Czy Ksiądz Machay prosił Księdza o utrzymywanie całej sprawy w konfidencji?

– Tego już dokładnie nie pamiętam, ale być może, że jako człowiek bardzo skromny, prosił mnie, żebym nikomu nie mówił skąd ta pomoc pochodzi. Oczywiście wszyscy musieli się

² Ksiądz Piwowarczyk nie był wysiedlony, lecz wyjechał z Krakowa, aby uniknąć nieprzyjemności związanych ze sprawą inżyniera Doboszyńskiego.

³ Janina Gołubiew nie przypomina sobie tego.

domyśleć, że są to pieniądze kościelne, ale nie mogę sobie przypomnieć, czy mówiłem im coś ponad to.

– Czy Kuria również w jakiś sposób Państwa wspomagała?

– Przypominam sobie, że otrzymywałem pewne wsparcie od biskupa Jopa, ale dokładnie nie pamiętam, czy ta pomoc miała jakiś stały charakter, czy też pojawiała się raczej okazjonalnie. W każdym razie biskup Jop był nam przez cały czas niesłuchanie życzliwy i pozostawałem z nim w stałym kontakcie. Zdarzało się też, że przyjeżdżali do mnie różni proboszczowie i pozostawiali datki dla redaktorów. W każdym razie te trzy lata udało się przeżyć bez jakichś dramatycznych sytuacji – chociaż bardzo skromnie.

– A jaka była wówczas sytuacja Księdza?

– Przez cały czas byłem „p.o. wikarym” w parafii świętej Katarzyny. „P.o.”, bo nawet jako wikarego władze nie chciały mnie zatwierdzić. Kiedy już byłem tym „p.o.”, wzywano mnie do Urzędu do Spraw Wyznań i kwestionowano moje prawo nie tylko do mówienia kazań, ale nawet do spowiadania. Dla mnie oczywiście było to zupełnie nie do przyjęcia, co otwarcie mówiłem. Grożono mi wówczas między innymi usunięciem z Krakowa, lecz nic z tego nie wyszło. Przez cały czas mówiłem kazania i normalnie pełniłem wszystkie obowiązki wikarego.

– A jak sytuacja Księdza wyglądała wówczas od strony kanonicznej?

– Formalnie wyglądało to tak, że zanim przyszedłem do Krakowa, pracowałem w Diecezji Gorzowskiej. Prowadziłem tam niższe seminarium duchowne we Wschowie. Potem dostałem od swego ordynariusza, księdza arcybiskupa Baziaka, urlop na zrobienie doktoratu w Krakowie. Kiedy zrobiłem doktorat, zostałem skierowany do „Tygodnika”. W 1953 roku, gdy „Tygodnik” przestał wychodzić, dostałem z Diecezji Gorzowskiej zawiadomienie, żeby tam wracać. Pojechałem wówczas do arcybiskupa Baziaka, którego internowano w Tarnowie. Byłem przecież kapłanem Archidiecezji Lwowskiej i arcybiskup Baziak w dalszym ciągu był moim właściwym ordynariuszem. Zapytałem go wówczas co mam robić, bo Diecezja Gorzowska oferowała mi nawet probostwo – bodajże w Wałczu. Powiedział mi wtedy: „Ja księdzu nic obiecywać nie mogę, bo nie wiem co przyniesie przyszłość, ale jeżeli ksiądz pyta mnie, co ma robić (a ja naciskałem, żeby ksiądz arcybiskup zakomunikował mi swoją decyzję), to proszę zostać w Krakowie”. Wobec tego zostałem w Krakowie, chociaż nie miałem tu żadnego oficjalnego stanowiska.

– Ale też nie miał Ksiądz pewnie odwołania nominacji na asystenta kościelnego w „Tygodniku Powszechnym”.

– Odwołania oficjalnego nie miałem, ale ta nominacja automatycznie wygasła, chociaż arcybiskup Baziak powiedział mi, żebym się w dalszym ciągu opiekował redaktorami „Tygodnika” i żebym organizował dla nich pomoc materialną. Mnie to wystarczało. Poza tym żadnej oficjalnej funkcji przez te trzy lata nie miałem.

– A jakie były wówczas oczekiwania Księdza? Czego się Ksiądz spodziewał po przyszłości?

– Nie wiedziałem co będzie, ale wiedziałem czego nie można. Wiedziałem, że absolutnie nie możemy iść na żaden kompromis w sprawie wznowienia „Tygodnika”. To wszystko. Czekaliśmy, co będzie dalej. Nic przecież nie zapowiadało szybkiego przyjścia Października 1956 roku. Ósme plenum było dla nas zupełnym zaskoczeniem. Wiadomo był, że coś się rusza, bo prasa zaczynała poczynać sobie coraz śmieiej, przynajmniej od końca 1954 roku. Narastał w Polsce ferment, ale aż takiej rewolucji nikt się oczywiście nie spodziewał. Liczyłem się z tym, że ta sytuacja może potrwać jeszcze bardzo długo – nawet do końca mojego życia – ale jednocześnie nie miałem najmniejszych wątpliwości, że w tych warunkach nie ma żadnych możliwości uprawiania pracy publicystycznej. Dopiero Październik spowodował zasadniczy prze-

łom pod tym względem. Zresztą wszyscy uważaliśmy, że dopóki Ksiądz Prymas jest internowany, żadna tego rodzaju praca nie jest dopuszczalna.

– Czy to znaczy, że tacy ludzie, jak na przykład Jerzy Turowicz – bo w końcu on przez cały czas był bezrobotny – liczyli się z tym, że do końca życia nie znajdą pracy?

– Na pewno liczyli się z tym, że może to trwać znacznie dłużej niż rzeczywiście trwało, i głównie z tego wynikało nasze zaskoczenie Październikiem.

– O ile wiem, jeszcze przed Październikiem, choć już, zdaje się, po czerwcu 1956 roku, środowisko „Tygodnika” wysyłało do władz różne petycje postulujące wznowienie pisma.

– Były takie próby, ale nie dały one żadnego efektu, i dokładnie ich sobie nie przypominam.

– A jak z punktu widzenia Księdza wyglądał proces przywracania „Tygodnika”?

– To poszło bardzo szybko. Pierwszy numer ukazał się już w grudniu 1956 roku, chociaż, o ile pamiętam, zasadnicza rozmowa z Gomułką odbyła się w końcu października. Nie mieliśmy wówczas pieniędzy na uruchomienie pisma, ale mieliśmy adresy naszych stałych prenumeratorów sprzed trzech lat, więc zwróciliśmy się do nich z prośbą o pożyczkę. Dość szybko napłynęła wówczas spora ilość pieniędzy, dzięki którym mogliśmy wystartować.

– W tej sytuacji – jak sobie wyobrażam – pierwszy odruch musiał być taki, żeby pójść do Kurii albo do Księdza Prymasa i pożyczyć te pieniądze. Dlaczego zdecydowaliście się na rozwiązanie bardziej skomplikowane i kto je wymyślił?

– O ile pamiętam, pożyczkę u czytelników wymyślił wieloletni dyrektor naszej administracji – pan Tadeusz Nowak. Został on w administracji „Tygodnika” po przejęciu redakcji przez PAX, ale w 1956 roku wrócił do nas. Właśnie dzięki niemu mieliśmy adresy byłych prenumeratorów. Zresztą, o ile wiem, wielu z nich zrezygnowało potem ze zwrotu tej pożyczki.

– A dlaczego nie pożyczyciście po prostu tych pieniędzy od Kościoła?

– Chcieliśmy wówczas zerwać z wydawaniem „Tygodnika” przez Kurie, co było niewygodne i dla niej i dla nas. Dla Kurii było to niewygodne głównie dlatego, że wszystkie finansowe kontrole działalności „Tygodnika” prowadziły do jej finansów. My z kolei musieliśmy mieć pełną autonomię i pracować na własny rachunek. Kiedy chcieliśmy wznowiać „Tygodnik” w oparciu o własne wydawnictwo i poszedłem z tym do biskupa Jopa, powiedział mi: „Chciałem księdzu to samo zaproponować. To jest lepsze rozwiązanie”. Obie strony były więc zadowolone z tej zmiany. Skoro zaś mieliśmy być niezależni, nie mogliśmy brać od Kurii pieniędzy, i musieliśmy zwrócić się do naszych czytelników.

– Czy fakt, że pan Tadeusz Nowak pracował także w paxowskim „Tygodniku”, nie stwarzał jakichś problemów po przywróceniu Waszej redakcji?

– Niestety, pracował, ale jego sytuacja była inna niż sytuacja redaktorów. Zajmował się tylko sprawami czysto administracyjnymi. Zresztą zdania na temat jego powrotu były podzielone, ale na szczęście udało się wszystkim przekonać i długi czas, bo aż do 1984 roku, pracowaliśmy razem. Odszedł na emeryturę, mając osiemdziesiąt kilka lat. Zresztą jego sytuacja nie była wyjątkowa, bo duża część administracji pracowała w „Tygodniku” paxowskim, a potem wróciła do nas. Nie robiliśmy z tego większego problemu.

– Jak redakcja przyjęła to pozostanie administracji w ukradzionym „Tygodniku”?

– To był przykry dysonans, ale trudno się dziwić tym ludziom, którzy mieli przecież rodziny. Zwłaszcza, że PAX nie wymagał od nich niczego poza pracą czysto administracyjną. Dla nas, gdy wznowialiśmy pismo, było to nawet o tyle dobre, że dostaliśmy gotową administrację i nie musieliśmy już jej od podstaw organizować.

– A jak wyglądało kompletowanie zespołu w 1965 roku? Przyszło przecież wtedy wiele nowych osób.

– Tak, przyszli wtedy: Marek Skwarnicki, Jacek Susuł, Jerzy Kołataj, Bronisław Mamoń. Nie wrócił już do zespołu Jan Józef Szczepański, który wolał poświęcić się pracy pisarskiej, a przed 1953 rokiem prowadził dział recenzji filmowych. Odszedł też Józef Maria Świącicki.

Delikatna była sprawa księdza Piwowarczyka, który też do nowego „Tygodnika” nie przystał. Postawiło mnie to w bardzo trudnej sytuacji. Kiedy „Tygodnik” miał być zwrócony, oświadczyłem, że rezygnuję z mojej funkcji i zwracam ją księdzu Piwowarczykowi, który w nowej sytuacji może wrócić do redakcji. On jednak uważał, że nawet ta niewielka współpraca z władzami, na którą wówczas poszliśmy, była absolutnie nie do przyjęcia. Na jednym z zebrań u pani Morstinowej złożyłem wówczas swoją dymisję. Ponieważ zespół nie chciał jej przyjąć, znów pojechałem do księdza arcybiskupa Baziaka, który był jeszcze internowany w Tarnowie. Polecił mi wówczas pozostać w „Tygodniku” i ja oczywiście podporządkowałem się tej decyzji.

Rozmowa ze Stefanem Kisielewskim

*Znaleźliśmy się w sytuacji pewnej próżni, ale nie
roztrząsaliśmy przeszłości, pewnie także dlatego,
że była to przyjemna próżnia. Mieliśmy świadomość,
że oparliśmy się, nie daliśmy się nabrać,
i w końcu nie poszliśmy do więzienia.*

– Jak wspomina Pan okres bezpośrednio poprzedzający rozwiązanie „Tygodnika Powszechnego” w 1953 roku?

– Ciągnęło się to przez parę miesięcy. Koledzy ciągle jeździli do Warszawy na różne rozmowy z panem Mazurem i innymi ówczesnymi dygnitarzami, ponieważ zatrzymywano nam numery i stosowano różne inne szykany. Ja nie brałem udziału w tych pertraktacjach. Co najwyżej jeździłem klócić się w cenzurze.

– Powiedział mi Jacek Woźniakowski, że w okresie poprzedzającym bezpośrednio rozwiązanie „Tygodnika” Pan jakby się odsunął, obawiając się, że te rozmowy z władzami mogą się skończyć kompromitacją redakcji, która nie wytrzyma presji. Czy tak rzeczywiście było?

– Ja tego nie pamiętam. Bywałem w domu Gołubiewa, gdzie znajdowało się wówczas centrum rozmów. Mniej się wtedy rozmawiało w redakcji, bo kręcili się tam różni niepowołani ludzie. Pamiętam z tego okresu taką śmieszna anegdotę. Otóż Gołubiew pojechał kiedyś do Mazura sam. Gdy wrócił, długo nie chciał nic opowiedzieć, aż wreszcie powtórzył, co mu Mazur powiedział: „Wy jesteście porządni ludzie, więc dajcie sobie z tym wszystkim spokój. Rewolucja nie jest dla porządných ludzi. U nas też niektórzy towarzysze nie wytrzymują. My ich nie zmuszamy. Dajemy im neutralne stanowiska”. Dlatego ja rzeczywiście nie brałem udziału w tych warszawskich rozmowach. Po prostu nie wierzyłem, żeby to mogło cokolwiek dać.

– A więc była to jednak Pańska świadoma decyzja...

– Chyba tak. Już dokładnie nie pamiętam. W każdym razie między nami było zupełne zaufanie. Nie mogło być żadnych konfliktów. Może coś się Jackowi pomieszało.

– Mogła być jednak różnica stanowisk, która nie musiała oznaczać konfliktu ani nieufności...

– Muszę przyznać, że nie przypominam sobie tego tak dokładnie.

– Kiedy odbyła się rozmowa Gołubiewa z Mazurem, którą Pan przed chwilą cytował? Nie mogła być to chyba jedna z owych ostatnich rozmów, które prowadzili ze sobą na kilka dni przed ostateczną likwidacją „Tygodnika”?

– To chyba rzeczywiście było nieco wcześniej. Ciągłe trwały dyskusje; oni się ciągle domagali, żeby coś umieścić, dyktowali, co trzeba napisać. My to odrzucaliśmy. Oni wstrzymywali nam numery. Ciągnęło się to i ciągnęło, zanim nas zlikwidowali.

– Czy po rozwiązaniu „Tygodnika” były między Państwem dyskusje na temat taktyki pertraktacji? Czy na te tematy Państwo między sobą rozmawiali?

– Nie bardzo sobie takie rozmowy przypominam. O taktyce chyba nie dyskutowaliśmy. Bywały natomiast dyskusje na temat stosunku do PAX-u i do Piaseckiego. Ja miałem dla nich może większy osobisty sentyment niż pozostali koledzy, bo tamci byli Krakauerzy, a ja z Warszawy. Pamiętam nawet, że Piasecki mnie kiedyś zaprosił do siebie do domu, żebym zreferował, co właściwie mam przeciwko socjalizmowi. Zaprosił też z dziesięć innych osób, które słuchały mojego referatu. Po nim odbyła się dyskusja, w której szalenie poparł mnie Alfred Łaszewski – przedwojenny radykalny oenerwiec, który strasznie krzyczy, ale jest dość ciekawym człowiekiem. Piasecki chciał go usadzić, lecz Łaszewski się uparł, że musi zadać dziesięć pytań, i że Piasecki musi mu na nie jasno odpowiedzieć. Zaczął od tego, jaka jest różnica

między upaństwowieniem a uspołecznieniem. Piasecki odpowiedział: „Duża, proszę o następne pytanie”. Tak go przerobił ze wszystkim. W każdym razie ja miewałem z PAX-em takie dyskusyjne kontakty, bo w odróżnieniu od kolegów, często jeździłem do Warszawy. Natomiast poważniejszych różnic wewnątrz redakcji „Tygodnika” w zasadzie nie było. Znaleźliśmy się w sytuacji pewnej próżni, ale nie roztrząsaliśmy przeszłości, pewnie także dlatego, że była to przyjemna próżnia. Mieliśmy świadomość, że oparliśmy się, nie daliśmy się nabrać, i w końcu nie poszliśmy do więzienia.

– No właśnie, jak Pan sądzi, dlaczego Państwa nie zamknięto?

– Długo utrzymywaliśmy się dzięki autorytetowi Sapiehy. Może to on nas uratował – już zza grobu – a może po prostu mieliśmy trochę szczęścia.

– Pańscy koledzy źródło tego szczęścia upatrują między innymi w przychylności ministra Bidy, której nie zdobyła na przykład grupa „Tygodnika Warszawskiego”.

– Bida był człowiekiem kulturalnym i dowcipnym, ale nie zauważyłem, żeby darzył nas szczególnymi względami. Chodziłem do niego, kiedy był prezesem cenzury. Chętnie częstował kawą i ciastkami, ale skreślał wszystko bez litości. Natomiast z grupą „Tygodnika Warszawskiego” sprawa wyglądała inaczej niż z nami. Oni bardzo się zaangażowali politycznie. Wywodząc się z „Unii” uważali, że mają program społeczny lepszy od marksizmu i bardziej nadający się dla Polski. A że członkami „Unii” byli generał Rowecki i delegat rządu Jankowski, wyobrazili sobie, iż mają bardzo dużo do powiedzenia. Afiszowali się z tym swym programem społecznym, aż w końcu poszli z nim do Bieruta. Powiedzieli mu, że marksizm się dla Polski nie nadaje, natomiast oni mają koncepcję, co tu trzeba zrobić. Bierut zrozumiał z tego tylko tyle, że musi ich zamknąć. My takich rzeczy nie robiliśmy.

– Kiedy nie było już „Tygodnika”, Tyrmand napisał tak: „Kisiel uważa, że obowiązuje teraz praca w sobie i urządzanie się w życiu takim, jakie ono jest, czyli ostrożny utylitaryzm”. Jak tę myśl rozwinąć?

– Ja często z przekory mówiłem Tyrmandowi takie różne rzeczy, bo on był wtedy skrajnym idealistą. Cóż, ten utylitaryzm był żaden – chodziło po prostu o to, żeby przeżyć. Ja sam pod nazwiskiem nigdzie nie występowałem – nawet jako muzyk. Natomiast w radiu krakowskim kierownikiem działu muzycznego był pan Wysocki, który dawał mi różne montaż operowe do robienia pod pseudonimem. Moja żona pracowała w Polskim Wydawnictwie Muzycznym, z którego zresztą też chcieli ją wylać. Uwzięła się na nią sekretarka partii, ale na szczęście wybronił ją dyrektor.

– A Pan – sądząc z relacji Tyrmanda – wrócił wówczas do zarzuconej przed paru laty pracy kompozytorskiej.

– Napisałem wtedy pieśni i parę rzeczy orkiestrowych, ale też średnio mi z tym szło, jeśli chodzi o stronę finansową. Moja sytuacja muzyczna nie została właściwie wyjaśniona. Nie było dokładnie wiadomo, czy można mnie grać, czy nie można. W Warszawie Szpilman, kierujący działem muzyki lekkiej, chętnie mi coś proponował. Natomiast ktoś inny, kto kierował muzyką poważną, raczej mojego nazwiska starał się unikać.

– Dla Szpilmana pisywał Pan zapewne aranżacje...

– Tak, ale napisałem też dla niego utwór „Perpetuum mobile”, który miał być właśnie kompozycją rozrywkową. Niestety, Szpilman stwierdził, że orkiestra się śmiała. Powiedziałem mu, że to dobrze, skoro utwór miał być rozrywkowy. Bardzo się wtedy obruszył: „Pan sobie żarty stroi”. Robiłem też w tym czasie opracowania jakichś melodii ludowych, których także nie podpisywałem własnym nazwiskiem.

– Tyrmand pisze, że „te zabawne kompozycje Stefana bardzo się marksistom podobają, przynoszą mu dochody, a nawet gratulacje od ministra Sokorskiego”...

– Rzeczywiście, Sokorski, który w 1949 wykończył mnie, wyrzucając z Wyższej Szkoły Muzycznej, później, zdaje się, trochę tego żałował. Moje rzeczy były kilka razy grane – mię-

dzy innymi na Festiwalu Muzyki Polskiej w Warszawie. Ale żeby Sokorski sam składał mi gratulacje – tego nie pamiętam. W każdym razie moja muzyka bywała dopuszczana do grania, chociaż wcześniej, zanim jeszcze zamknęli „Tygodnik”, wykorzystywałem socrealizm muzyczny do ataków *de facto* politycznych – niejako zastępczych. Wskazywałem za przykład, że wzorem formalizmu są niektóre kompozycje Szostakowicza – czysto klasyczne, bez żadnej pozamuzycznej treści – zwłaszcza jego kwartety. To stawiało ich w kropce.

– To rzeczywiście bardzo przebiegły sposób podchodzenia czerwonego, ale obawiam się, że może nie wszyscy byli w stanie właściwie odczytać Pańską myśl.

– Ha, ha...

– W każdym razie do 1956 roku nie znalazł Pan żadnego innego stałego zajęcia?

– Nie, przez te trzy i pół roku żadnego stałego zajęcia nie miałem.

– A czy próbował Pan szukać?

– Przyszedł do mnie kiedyś doktor Choynowski. To był taki naukowiec, psycholog, który chciał założyć orkiestrę w domu wariatów, żeby zobaczyć, jakie efekty daje leczenie muzyką. Zaproponował mi, żebym mu tę orkiestrę zorganizował, a on mi da za to etat. Kiedy mu odmówiłem, powiedział: „Ostrzegam, że jest to ostatnia propozycja, jaką Polska Ludowa może panu złożyć”. Oczywiście, były to żarty, ale rzeczywiście potem nikt mi już żadnej pracy nie proponował. Przez pół roku miałem jeszcze tylko w Wydawnictwie Muzycznym zajęcie, które polegało na redagowaniu anonimowych wzmianek reklamowych. Potem przyszła jakaś kontrola i ze straszną awanturą kazali mnie zwolnić.

– Czy dało się jakoś z tego wszystkiego wyżyć?

– Żona utrzymywała dom ze swojej pensji, a ja dorabiałem jak się dało. Dyrektor administracyjny Tadeusz Nowak wykombinował też dla nas jakieś zasiłki w Kurii. W każdym razie przetrwaliśmy. Ja byłem w stosunkowo niezłej sytuacji, bo mogłem zająć się trochę muzyką. Zdecydowanie najgorzej ze wszystkich wylądował Jerzy Turowicz, który nie był w stanie dostać żadnej pracy, a przecież też miał rodzinę.

No właśnie, jak wyglądały wówczas kontakty między byłymi pracownikami „Tygodnika Powszechnego”?

W dalszym ciągu wszyscy trzymaliśmy się dość blisko. Przede wszystkim spotykaliśmy się dość często w tak zwanym Ka-Ka-Du, czyli Katolickim Klubie Dyskusyjnym, jak Stomma nazwał nasze wieczory w salonie Zosi Morstinowej.

– Stomma twierdzi, że to Pan wymyślił tę nazwę...

– Tak? To ciekawe. W każdym razie spotykaliśmy się tam z profesorem Krzyżanowskim, z ojcem Danielem (z księdzem żydowskiego pochodzenia, który wyjechał do Izraela). Przychodziła cała redakcja, to znaczy: Turowicz, Gołubiew, Woźniakowski, Hennelowa, ksiądz Bardecki, Stomma i ja, czasem Zawieyski. W jakieś dwa lata po aresztowaniu Prymasa Zawieyski zaczął utrzymywać z nim kontakt i dostał parę ciepłych listów, które nam czytał. To były bardzo miłe, ciepłe listy, skierowane właściwie do nas wszystkich.

– To chyba musiało być już po przewiezieniu Prymasa do Komańczy, kiedy uzyskał pewną swobodę ruchów.

– Tak, to już musiały być listy z Komańczy. W każdym razie miały one dla nas ogromne moralne znaczenie. Takie wsparcie bardzo nam się wówczas przydało. Zwłaszcza Zawieyskiemu, który był w bardzo złej sytuacji materialnej, bo jego sztuk w ogóle nie grali. W dodatku mieszkał przecież w Warszawie i tylko od czasu do czasu wpadał do Krakowa. Nie miał więc tego wsparcia, które my znajdowaliśmy w sobie nawzajem. To nie były dla nikogo z nas lekkie lata. Stomma na przykład pracował w muzeum. Chodziłem tam do niego. Siedział w jakimś jeszcze prawie nie urządzonej pokoiku na strychu, ale zawsze był w dobrym humorze. W ogóle humory były raczej niezłe. Bardzo dbaliśmy o to, żeby się wzajemnie podtrzymywać na duchu.

– A jak Państwo wyobrażaliście sobie wówczas swoją przyszłość? Czy uważaliście, że świat się zawalił, że to już koniec? Znalazłem u Tyrmanda dość specyficzne zdanie, przywołujące Pańską wypowiedź. „Teraz, po likwidacji „Tygodnika”, kiedy już niczego więcej nie napiszę...”

– Ja raczej nie spodziewałem się cudów, ale napisałem jednak w tamtym okresie książkę o komunizmie, która składa się z osobnych fragmentów, jakby aforyzmów. Nawet ją czytałem w naszym klubie. Niestety, zdaje się, że zginęła u Giedroycia, już nie pamiętam, w jaki dokładnie sposób. Zacząłem też pisać jakąś powieść, ale nie kontynuowałem jej.

– Dlaczego?

– Też czytałem je fragment w klubie. Zdaje się, że Jaś Szczepański wyśmiewał się z opisanego tam romansu i mnie zniechęcił.

– Chciałbym wrócić do Pańskich ówczesnych oczekiwań. Czy spodziewał się Pan, że taki stan rzeczy będzie trwał wiecznie? Czy też raczej antycypował Pan ten przełom, który nastąpił kilka lat później?

– Muszę przyznać, że nie bardzo wierzyłem w przełom. Październik był dla mnie raczej miłym zaskoczeniem.

– A więc wyobrażał Pan sobie, że jest Pan skazany na takie deptanie w miejscu do końca świata?

– Tak, wyobrażałem sobie, że będzie już trwała taka sowietyzacja. Z tym, że w Krakowie to wyglądało jednak trochę inaczej niż na przykład w Warszawie. W Krakowie myślało się w kategoriach historycznych. Zwłaszcza Gołubiew mówił dużo o historii i o tym, że teraz wraca się do tradycji piastowskiej, że Polska zwraca się na Zachód, że odżywa słowiańszczyzna. Wymyślał na pocieszenie takie różne teoryjki. Mówił, że krok historii to nieraz kilkaset lat, więc nie ma się co martwić. Dla ludzi wyrzuconych z Wilna, takich jak Stomma, Gołubiew, Jasienica, był to wstrząs dużo większy niż dla nas. Oni przeszli dużo więcej niż my, ludzie z Polski centralnej, i musieli mieć nieco inną perspektywę. W każdym razie ja nie spodziewałem się po przyszłości niczego dobrego. Muszę powiedzieć, że przedpaździernikowa odwilż była dla mnie zaskakującym zjawiskiem – tym bardziej, że na przykład w literaturze robili ją ci sami ludzie, którzy przedtem forsowali socrealizm. Sygnał do odwilży przecież dali: Andrzejewski, Brandys, Ważyk – filary socrealizmu. Początkowo nie mogłem tego zrozumieć. Dopiero po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że ci ludzie, którzy poczuli się do odpowiedzialności za lata pięćdziesiąte, chcieli jakoś się zrehabilitować, odkręcić to, co namotali. Później, już przed samym Październikiem, pojawił się w Krakowie nasz partyjny rozmówca – Władysław Bieńkowski.

– Chciałbym jeszcze zatrzymać się na okresie najczerniejszego socrealizmu. Kiedy uświadomił Pan sobie, że coś takiego, jak odwilż, może się zbliżyć?

– Dość późno. Chyba dopiero w 1955 roku. Nawet, kiedy ukazał się „Poemat dla dorosłych” Ważyka, pomyślałem, że skoro cenzura to puściła, skoro ukazało się to w druku, widać ktoś ma w tym interes i nie należy się dać nabrać. Tymczasem rzeczywiście w naszej partii dokonywał się przełom. My jednak nie braliśmy udziału w tych przemianach i właściwie włączyliśmy się dość późno – właściwie dzięki Bieńkowskiemu, który pokazał się w Krakowie.

– Mówi Pan – „pokazał się Bieńkowski”. Skąd on, stary komunista, wziął się na Państwa horyzoncie?

– Myślę, że spotkał Zawieyskiego i Gołubiewa, miał z nimi jakąś rozmowę, i jej treść zreferował nam Zawieyski. Dokładnie już nie pamiętam, ale wydaje mi się, że tak właśnie to wyglądało. Dla nas frapujące było to, że Bieńkowski, który też został odsunięty, zaczął nas przekonywać, że powinniśmy się „włączyć”. Zaczęliśmy śledzić wydarzenia, a potem już bardzo szybko przyszło zwolnienie Gomułki i wszystkie dalsze wydarzenia.

– Jaka była wówczas pozycja Zawieyskiego?

– Zawieyski był ludowcem, ateistą, którego jeszcze przed wojną zawrócił ksiądz Jan Zieja. Było to spektakularne nawrócenie, wkrótce potem Zawieyski zaczął pisywać sztuki religijne. Zachował jednak swoje znajomości nie tylko wśród ludowców. Władze raczej go lubiły, bo miały zaufanie, że to nie jest reakcjonista, tylko szczery, ideowy ludowiec, organizator przedwojennych teatrów ludowych. Miał kartę, która mogła się niektórym „towarzyszom” podobać. Jednocześnie cieszył się dużym zaufaniem Prymasa i biskupów.

– A jaką rolę odgrywał w okresie zawieszenia „Tygodnika”? Nie był przecież w redakcji, nie mieszkał w Krakowie, a jednak ciągle przewija się przez Państwa opowieści...

– Tak, bo w tym okresie był naszym głównym źródłem wiadomości ze sfer warszawskich. Wśród znajomych Zawieyskiego był na przykład Ochab, który chyba nawet mieszkał u niego przed wojną, Zawieyski spotykał się w Warszawie z różnymi ludźmi, wyciągał z nich nowinki i przywoził do Krakowa. Z jego wiadomości wynikało, że muszą nastąpić poważne zmiany. Natomiast my w Krakowie nie bardzo w to wierzyliśmy. Pamiętam nasz popłoch, kiedy ten cały ruch się zaczął. Przyjechałem wtedy do Warszawy, poszedłem do SPATiF-u i tam spotkałem znanego plakacistę Henryka Tomaszewskiego. Zacząłem mu mówić, że my siedzimy w Krakowie, a tu dzieją się takie ciekawe rzeczy, że mam już dosyć tej naszej izolacji, bojkotu i opozycji, że chciałbym się włączyć w życie publiczne. Wtedy on zaczął mnie przekonywać, nawet klęknął (byliśmy po wódce), i mówi: „Ja pana błagam, niech pan nic nie robi, niech pan poczeka rok, a samo was wyniesie”. Były to zupełnie prorocze słowa i całe szczęście, że ich posłuchaliśmy. Później, wczesną jesienią, kiedy jeszcze nie było mowy o wznowieniu „Tygodnika”, napisałem do warszawskiej „Nowej Kultury” artykuł, w którym stawiałem różne postulaty, a przede wszystkim żądałem zwrócenia nam pisma. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu tekst został wydrukowany. To już był dla nas jakiś konkretny sygnał.

– Wspominał mi Jerzy Turowicz, że zwracano się do Panów z różnych pism z propozycjami współpracy, zanim jeszcze sprawa „Tygodnika” w ogóle stanęła. Czy Pan również takie propozycje wówczas otrzymywał?

– Miałem propozycję z „Po Prostu”, ale napisałem artykuł, który im się nie spodobał, bo był przeciwko socjalizmowi. Na mnie to pismo zrobiło kiedyś ogromne wrażenie. Kiedy, będąc nad morzem w lecie 1956 roku, kupiłem w kiosku numer „Po Prostu” i zacząłem je czytać, pomyślałem, że jest to przecież w stu procentach pismo opozycyjne. Okazało się jednak, że nasza opozycyjność była nieco innej natury.

– Chciałbym jeszcze wrócić do okresu bezpośrednio poprzedzającego rozwiązanie „Tygodnika”, żeby zapytać o sprawę, która mi umknęła. Trwały wówczas przetargi, czy tekst o Stalinie drukować czy nie, czy usunąć Turowicza i Stomę, czy pozostawić ich w redakcji. Ciągnęło się to blisko trzy miesiące. Czy w tym okresie zdawaliście sobie Państwo sprawę, że Wasz los był przesądzony, czy też mieliście nadzieję, że władze w końcu się ugną?

– Nie pamiętam projektów usuwania Turowicza i Stommy, zwłaszcza że Stomma był najbardziej łagodny spośród nas wszystkich. To był nasz czołowy polityk, który rozmawiał, pertraktował, przywoził propozycje. Natomiast, o ile pamiętam, uważałem, że z tego wszystkiego nic nie będzie, że to już musi być koniec. Paxowcy oczywiście cały czas mówili, że my zostaniemy, a oni dodadzą nam kilku swoich redaktorów... Uważaliśmy wtedy, że jest to zupełnie nie do przyjęcia, ale tuż przed Październikiem odbyła się na ten temat rozmowa z Piaseckim. Nie wiem, czy pan o niej słyszał?

– Słyszałem, ale byłbym Panu wdzięczny za relację.

– Między innymi ja byłem inicjatorem tego spotkania i o mało nie położyłem przez nie całej sprawy.

– Do Pana, o ile wiem, zgłosił się z propozycją takiej rozmowy Andrzej Micewski.

– Tak, i on mnie przekonał, żeby takie spotkanie zaaranżować. „Tygodnik” paxowski też już wówczas nie wychodził, a Micewski przytaczał słowa Piaseckiego, że nasza grupa powin-

na istnieć, i że on może dla nas koncesję na „Tygodnik” zdobyć. Namówiłem wówczas kolegów, żeby na tę rozmowę pojechać. Z naszej strony brali w niej udział Turowicz, Gołubiew, Stomma, Woźniakowski i ja, a ze strony PAX-u, o ile pamiętam, Piasecki, Micewski, Przetakiewicz, Łubieński, Horodyński. Rozmowa przebiegała dość ugodowo. Uważaliśmy, że propozycja Piaseckiego jest ciekawa i właściwie można by się na nią zgodzić. Nagle Jacek Woźniakowski, chyba umyślnie, bardzo niegrzecznie powiedział, że właściwie nie wie, co nas może z PAX-em łączyć, bo kiedyś byli „Falangą”, a teraz służą komunistom. Wtedy Piasecki się okropnie obraził i oświadczył, że w takiej atmosferze nie ma co rozmawiać, a zresztą może sytuacja się niedługo zmienić. „Może za parę tygodni panowie będziecie siedzieli po mojej stronie stołu, a ja po waszej”. Turowicz i Gołubiew zaczęli go wtedy przeproszać, ale on już nie chciał rozmawiać, i całe szczęście, że nie chciał, bo wynikłoby z tego coś głupiego. Tym bardziej, że właśnie zbliżał się Październik i wkrótce naszą wyobraźnię zawładnąć miał Władysław Bieńkowski, o którym już wspominałem. To właśnie on zaproponował utworzenie w Warszawie klubu katolickiego. Powiedział, że na początek mogą nam dać pięć takich klubów w pięciu największych miastach, a później będzie tych klubów sto. Oczywiście, stu nigdy nie było.

– Ale było pięć!

– Tak, było pięć. Bieńkowski mówił też od razu, że będą wybory, i że wejdziemy do Sejmu, a Zawieyski nawet do Rady Państwa. Podkreślał, że nasza grupa jest niezależna, nie była politycznie „skompromitowana”, a jednak w 1953 roku obroniła swoją autentyczność, zachowała się twardo, co komuniści umieją uszanować. Mówił, że katolicy powinni mieć w Sejmie swoją reprezentację, i że teraz będziemy ją już mieli. Mówił bardzo przekonująco. I daliśmy się przekonać.

Rozmowa z Janem Józefem Szczepańskim

*Październik dał pierwszą okazję przekonania się, co rzeczywiście
myśli tak zwany lud. Wtedy ku naszemu zdziwieniu
okazało się, że to nie my jesteśmy na uboczu.*

– Przed rozwiązaniem „Tygodnika Powszechnego” w 1953 roku pisywał Pan tam stałe recenzje filmowe, a więc praktycznie co tydzień Pańskie teksty poddawane były obróbce cenzury. Ciekaw jestem, czy w okresie bezpośrednio poprzedzającym likwidację pisma zauważył Pan jakieś zmiany w sposobie cenzurowania?

– Wyglądało to podobnie jak teraz. Były okresy cenzurowania bardziej surowego i okresy pewnego rozluźnienia. Bezpośrednio przed zamknięciem „Tygodnika” nastąpił okres nękania nas przez cenzurę. Mieliśmy wrażenie, że jest to akcja celowa, mająca zmusić nas do milczenia. W końcu likwidacja „Tygodnika” w 1953 roku była, na płaszczyźnie objawowej, spowodowana także akcją cenzury. Chodziło, jak wiadomo, o żałobny artykuł po śmierci Stalina.

– Już po zawieszeniu „Tygodnika”, a jeszcze przed jego oficjalnym zamknięciem, wywierano na Państwa najróżniejsze naciski, zmierzające do złamania jedności zespołu. Jak one wyglądały?

– Pamiętam, że któregoś wieczora, bez żadnego uprzedzenia, przysłali po mnie samochód, żebym natychmiast jechał na spotkanie z panem Siemkiem, który przyjechał z Warszawy. Kiedy przywieźli mnie do Miejskiej Rady, byli tam już Malewska i Gołubiew. Żądano od nas, byśmy zadeklarowali się jako zespół, że będziemy dalej pracować w „Tygodniku”, ale zażądano ustąpienia Turowicza i Stommy. Kiedy odmówiliśmy, zaczęły się pogrożki. Grozili nam, że pozostaniemy bez pracy, że odbiorą nam mieszkania. „Są ludzie, którzy mieszkają w suterrenach, to i wy możecie mieszkać w suterrenach”. Podobne naciski były wywierane na administrację i tam wiele osób uległo tej presji. Wśród nich był i nasz dyrektor administracyjny, który później przeszedł do paxowskiego „Tygodnika”, a w 1956 roku wrócił do nas. Ich sytuacja była może trochę inna, bo nie mieli żadnego wpływu na kształt pisma. Kiedy te naciski nie dały rezultatów, lokal został opieczętowany i wkrótce pismo pod tym samym tytułem, z tą samą winiętą i nawet z zachowaniem ciągłej numeracji, zaczęli redagować: Czerny, Dobraczyński, Kurzyna, Wnuk oraz Myślik, który zresztą po 1956 roku został w naszej redakcji.

– A czy potrafiłby Pan odtworzyć teraz przebieg spotkań i dyskusji, jakie prowadziliście Państwo w okresie poprzedzającym rozwiązanie „Tygodnika”?

– Dokładnie tego odtworzyć już nie potrafię. Oczywiście, były dyskusje. W „Tygodniku” od początku istniał zwyczaj kolektywnego rozważania stanowiska pisma. Decyzje zapadały jednak w węższym gronie. Tę grupę stanowiło kilka osób: Turowicz, Stomma, Gołubiew, Morstinowa, Jasienica (dopóki był na wolności), Zawieyski i oczywiście ksiądz Piwowarczyk, a po jego odejściu – ksiądz Bardecki. Byli to więc właściwie ci sami ludzie, którzy po 1956 roku utworzyli grupę „Znak”.

– A Woźniakowski, który jest od nich młodszy?

– Woźniakowski też miał już wtedy sporo do powiedzenia, ale głównymi liderami politycznymi byli Stomma i Gołubiew.

– I oni zadecydowali o tym, że nie ugięliście się Państwo wobec szantażu ze strony władz?

– O ile sobie przypominam, ugięcie się wobec żądania, żebyśmy napisali żałobny artykuł po śmierci Stalina, w ogóle nie wchodziło w grę. Były natomiast różne próby znalezienia kompromisu. O ile pamiętam, rozważaliśmy kwestię umieszczenia lub nie umieszczenia fotografii Stalina przy nekrologu. Szukaliśmy granicy, do której można było się po sunąć, nie tracąc twarzy. Władze nie były jednak zainteresowane żadnymi kompromisami. Wyraźnie żądano od nas dużego artykułu zupełnie jednoznacznego w czołobitności.

– A czy były jakieś dyskusje wokół tych wymagań, które pojawiły się później? Myślę zwłaszcza o żądaniu usunięcia Stomma i Turowicza oraz przyjęcia na ich miejsce osób z grupy Piaseckiego.

– O ile pamiętam, rzeczywiście byliśmy poinformowani o tych żądaniach. Turowicz zostawił nam wolną rękę i nie wywierał żadnej presji, ale jednomyślność całego zespołu była absolutna. Ani przez chwilę nie mieliśmy wątpliwości, że na propozycje te zgodzić się nie można.

– A jednak Stomma, podobno, namawiał Państwa, żebyście zgodzili się usunąć jego i Turowicza w imię ratowania placówki...

– Dokładnie już nie pamiętam, ale brzmi to bardzo prawdopodobnie.

– A czego Pan się wówczas spodziewał od przyszłości?

– Liczyłem się nawet z aresztowaniem. Naciski były tak mocne, a pogrożki tak srogie, że można się było zupełnie wszystkiego spodziewać.

– A czy liczył Pan na to, że te mroczne czasy wkrótce miną, czy też spodziewał się Pan raczej, że resztę życia może Pan spędzić w Polsce takiej, jaką była w roku 1953?

– Bardzo trudno jest mi teraz odtworzyć ówczesne oczekiwania czy obawy. O ile pamiętam, miałem nadzieję, że to musi się zmienić, choć sytuacja wydawała się bez porównania mroczniejsza niż teraz. Ze szczególną obawą patrzyłem na młodszych od siebie, którzy wydawali mi się już zupełnie zdobyci przez tę ideologię, przez ten sposób myślenia. Jeżeli były jeszcze jakieś iskierki oporu, to wyglądały już one na ostatnie podrygi. Trudno więc wytłumaczyć, skąd brałem tę nadzieję na jakąś pozytywną zmianę, bo obiektywnie sytuacja rysowała się właściwie beznadziejnie. Miałem chwilami poczucie, że cokolwiek robię, jest to gra o przetrwanie.

– Co się wówczas z Panem działo?

– Przez dłuższy czas nie mogłem dostać żadnej pracy. W końcu udało mi się otrzymać posadę w Polskim Wydawnictwie Muzycznym. Żył jeszcze wówczas jego założyciel, Tadeusz Ochlewski, który zbierał takich różnych rozbitków jak my. Mnie przyjął do redakcji technicznej, w której przetrwałem całe dwa lata.

– A więc nie był Pan zbyt długo bezrobotny?

– Nie. Zresztą zanim jeszcze znalazłem tę pracę u Ochlewskiego, zrobiłem jakieś tłumaczenia i radziłem sobie jak mogłem.

– Co to były za tłumaczenia? Czy miał Pan je już wcześniej zamówione, czy też starał się Pan o nie dopiero po rozwiązaniu „Tygodnika Powszechnego”?

– Przetłumaczyłem wtedy dla PAX-u „Chwałę córy królewskiej” Bruce’a Marshalla. Nie pamiętam już, kto mi to naraił. Robiłem też jakieś drobne tłumaczenia, których już sobie dokładnie nie przypominam.

– Jak układały się stosunki między Państwem a ludźmi z nowego, paxowskiego „Tygodnika”? Czy mieliście jakieś kontakty?

– Nie.

– A kontakty z samym PAX-em?

– Pamiętam tylko kontakty z wydawnictwem PAX-u.

– Pytam o to dlatego, że Stanisław Stomma zwrócił mi uwagę na dużą różnicę między ówczesną i dzisiejszą postawą opozycji wobec obozu rządowego.

– Różnica polegała, moim zdaniem, na tym, że wtedy rozbieżności polityczne nie rzutowały na sferę kontaktów prywatnych w takim stopniu, jak to ma miejsce dzisiaj. Ludzie stojący po przeciwnych stronach barykady niejednokrotnie rozmawiali ze sobą, spotykali się towarzysko. Teraz doszło do tego, że w środowisku literackim ludzie nie podają sobie ręki, nie poznają się na ulicy. Wszelkie kontakty zostały całkowicie zerwane. Wtedy niczego takiego nie było.

– Nie było tak ostrej polaryzacji?
– Tak.
– A skąd, Pańskim zdaniem, wynika ta różnica?
– Może z tego, że wtedy nie istniało nic takiego, jak jakaś wyraźnie zdefiniowana opozycja. Dopiero po 1956, a zwłaszcza po 1976 roku (po powstaniu KOR-u) wykrystalizowały się jednorodne formacje społeczne, posiadające jakąś więź – może nie organizacyjną, ale w każdym razie środowiskową. Przed 1953 rokiem – to znaczy przed zamknięciem „Tygodnika” i aresztowaniem Prymasa – ciągle, przynajmniej potencjalnie, trwał dialog między marksistami a katolikami. W okresach łagodniejszej cenzury ten dialog mógł nawet przybierać formę publicznej dyskusji w prasie. Trwały takie debaty na przykład między „Kuźnicą” a „Tygodnikiem”. Były to dyskusje partnerów różniących się poglądami, ale uznających pewne ogólne zasady współzawodnictwa. Teraz ich drogi bardzo się rozeszły. Wiadomo, że dialog jest niemożliwy, bo po tamtej stronie nastąpiła bardzo ostra selekcja negatywna. Wszyscy właściwie marksiści, którzy wówczas brali udział w dyskusji z katolicyzmem, odeszli z tamtego obozu i znaleźli się – z grubsza biorąc – po naszej stronie. Ci, którzy tam zostali, nie są już przeciwnikami ideowymi. To są po prostu funkcjonariusze. Ludzie korzystający z pewnych przywilejów swego stanowiska, ale nie wnoszący już tej komponenty ideowej. Po prostu zabrakło drugiego skrzydła.

– Chciałbym, żebyśmy wrócili jeszcze do Pańskich losów. Na czym polegała praca w Wydawnictwie Muzycznym, o której Pan wspominał?

– Głównie na robieniu makiet książek, wydawanych przez PWM. Było to już wówczas wydawnictwo na bardzo dobrym poziomie. Ochlewski wydawał wiele albumów oraz bogato ilustrowanych biografii, i bardzo dbał o ich szatę graficzną. Musiałem się wówczas sporo nauczyć, ale człowiek, który mnie Ochlewskiemu polecił, był właśnie kierownikiem pracowni graficznej, miał duże doświadczenie i pod jego opieką jakoś się do tej pracy wycwaniłem.

– Ale nie miał Pan wcześniej żadnego przygotowania do tego typu pracy?

– Nie.

– Pracował Pan tam aż do Października?

– Nie, odszedłem stamtąd tuż przed Październikiem.

– Czy dlatego, że wówczas zaczęły ukazywać się Pańskie książki?

– Tak.

– I podjął Pan wtedy decyzję samotnego żeglowania, której pozostaje Pan wierny do dziś?

– Tak, ale miałem jeszcze później pewien wyłom, bo pracowałem w krakowskim teatrze „Grotoska” jako kierownik literacki. Na dobre wyzwoliłem się dopiero we wczesnych latach sześćdziesiątych.

– O ile wiem, swój udział w redagowaniu „Tygodnika Powszechnego” traktował Pan też raczej jako pracę zarobkową, a nie jako wybór drogi życiowej.

– Studia skończyłem tuż po wojnie, w 1947 roku. Studiując, musiałem zarobić na swoje utrzymanie i moją pierwszą pracą było wówczas oprowadzanie po Wawelu. Robiłem to chyba ze dwa lata. Później, bodaj w 1947 roku, została w Krakowie otwarta redakcja pisma „Głos Anglii”, wydawanego przez ambasadę brytyjską. Pracowałem tam jako tłumacz. Skończyło się to dość dramatycznie, bo zaczęło się nami bardzo interesować UB. Usiłowali nakłonić pracowników do współpracy. Ja też zostałem wówczas zatrzymany na ulicy, doprowadzono mnie do komendy na Inwalidów, przetrzymano parę godzin i usiłowano nakłonić do podpisania zobowiązania do współpracy. Oparłem się temu, ale złożyłem wówczas w redakcji wypowiedzenie. Wkrótce potem „Głos Anglii” został zlikwidowany, a ja trafiłem do „Tygodnika Powszechnego”.

– Razem z Jackiem Woźniakowskim?

– Obaj pracowaliśmy w „Głosie Anglii” i obaj wylądowaliśmy w „Tygodniku”. Niezależnie od tego, że z „Tygodnikiem” byłem związany różnymi więzami przyjacielskimi, bo przyjaźniłem się na przykład z Jerzym Turowiczem. Była to też jedyna praca, jaką po wyjściu z „Głosu Anglii” mogłem dostać. Byłem przecież napiętnowany tym, że miałem za sobą współpracę z takim „paskudnym” pismem.

– Czy po rozwiązaniu „Tygodnika” utrzymywał Pan jeszcze kontakty ze swymi redakcyjnymi kolegami?

– W tym okresie zaczął funkcjonować Katolicki Klub Dyskusyjny, który nazwano Ka-Ka-Du. Raz w tygodniu odbywały się spotkania w salonie pani Zofii Starowieyskiej-Morstinowej, na które schodziła się cała redakcja, a często także ludzie spoza redakcji – sympatycy byłego „Tygodnika”. Odbywały się tam dyskusje i czytanie rozmaitych tekstów. Pamiętam między innymi, że Kisiel czytał nam swój duży esej o komunizmie. Przypominam też sobie wieczór z ojcem Danielem, który opowiadał historię swojej konwersji i swoje przeżycia w getcie wileńskim. Poza tym odbywały się dyskusje na tematy aktualne – polityczne, literackie, historyczne. Była to jakaś kontynuacja środowiskowego życia redakcyjnego.

– Czy zechciałby Pan opisać ten salon – to wszystko, co miało jakiś wpływ na atmosferę Państwa spotkań?

– Było to bardzo tradycyjne wnętrze krakowskie, pełne antyków, gratów i książek, w którym podawano dobrą herbatę w ładnej porcelanie. Wszystko to razem tworzyło atmosferę bardzo przyjemną. Schodzili się tam ludzie, jak można by to dzisiaj powiedzieć, ancien régime’u – mieszanek galicyjskiej arystokracji, intelektualistów, księży. Bardzo to staroświecko wyglądało. Było tam dużo przygnębienia i frustracji, ale było też dużo nadziei, że w końcu coś się musi zmienić. O drugiej stronie mówiło się i myślało jako o przeciwnikach ideowych. Uważało się, że są to ludzie, którzy po prostu inaczej wierzą i inaczej myślą, ale w zasadzie nie odmawiało im się dobrej woli.

– I stąd nadzieja, że kiedyś zmądrzeją...?

– Tak.

– Chciałbym jeszcze wrócić do samego salonu, do jego wystroju...

– Był to raczej staroświecki bałagan, ale jak to zazwyczaj bywa w domach ludzi o takim rodowodzie, widać było pozostałości wnętrza dworskiego – jakieś akwarelki, przedstawiające rodzinny pałacyk, jakieś elementy aury młodopolskiej. Taki inteligencko-ziemiański styl.

– A sama Pani Morstinowa czy też była reliktem poprzedniej epoki?

– Była to osoba bardzo wyraźnie ukształtowana przez swoje środowisko, ale przypuszczam, że gdyby te wszystkie wydarzenia rozgrywały się w scenerii przedwojennej, niewątpliwie zwracałaby na siebie uwagę swoją postępowością i otwartością. W jej sposobie widzenia świata nie było nic z zacietrzewienia. Przede wszystkim była to jednak osoba bardzo dobra, która nikogo nie podejrzewała o złe motywy czy nieczyste intencje. Paradoksalność sytuacji polegała na tym, że była pełna dobrej woli w stosunku do przemian, do powojennej rzeczywistości. Nie miała w sobie tej zapiekłej urazy, którą nosiła część jej klasy o to, że pozbawiono ją majątków. To u Morstinowej nie odgrywało żadnej roli. Jedyną sprawą, która ją naprawdę do głębi przejmowała, była sytuacja polskiej literatury i kultury. Przed wojną pewnie nazywano ją „czerwoną hrabiną”.

– Tak jako Księża Piwowarczyka nazywano „czerwonym kanonikiem”, zanim władza ludowa nie okrzyknęła go „ekspONENTEM czarnej reakcji”?

– Tak, to były paradoksy tamtej epoki.

– A czy poza tymi spotkaniami u Pani Morstinowej utrzymywaliście Państwo między sobą bliższe kontakty? Myślę na przykład o samopomocy, bo przecież większość Państwa znalazła się w trudnej sytuacji materialnej.

– Nie było samopomocy takiej jak teraz, lecz pomagaliśmy sobie w znajdowaniu jakichś zajęć – tłumaczeń, adiustacji, chałtur. Jeżeli ktoś wiedział o jakiejś możliwości, natychmiast puszczał wiadomość wśród kolegów. Ja na przykład znalazłem dla Stommy w Bibliotece Czartoryskich pracę, o której dowiedziałem się też od jakichś znajomych.

– Czy korzystał Pan może z pomocy, którą w sferach kościelnych organizował Ksiądz Bardecki?

– Nie przypominam sobie tego.

– A czym, poza pracą w PWM-ie, i oczywiście spotkaniami w gronie „tygodnikowym”, zajmował się Pan w tamtym czasie?

– Pisałem.

– Tyrmand wspomina spotkanie z Panem, na którym Pan, uspokajając jego skołatanę nerwy, przekonywał, że trzeba pisać i przede wszystkim pisać, bez względu na to, czy kiedykolwiek pojawi się szansa opublikowania tego, co się napisze. Czy rzeczywiście pogodził się Pan wówczas z myślą, że to, co Pan pisze, może nigdy nie ujrzeć światła dziennego?

– Tak. Zadebiutowałem w 1954 roku, kiedy ukazały się „Portki Odysa”, ale miałem wtedy gotowych pięć książek. Nie traktowałem wówczas pisarstwa jako zawodu i może właśnie to uchroniło mnie od rozmaitych pokus. Naturalnie, bardzo pragnąłem wydania czegoś, ale nie wydawało mi się to koniecznością. Byłem przekonany, że jeżeli to, co robię, jest coś warte, i tak kiedyś się ukaze. Największe kłopoty miałem ze zbiorem opowiadań okupacyjnych, które ukazały się potem pod tytułem „Buty” (1956). Przeleżały one chyba ze trzy czy cztery lata w „Czytelniku”. Glucksmann, który wtedy był redaktorem, żądał ode mnie bardzo daleko idących poprawek, na które się nie godziłem. Był okres, kiedy mniej więcej co dziesięć dni chodziłem do niego na rozmowy, i wspominam to jako chyba najbardziej wyczerpujące doświadczenie, jakie miałem w kontaktach z wydawcami. Miałem też przygody z „Polską jesienią” (1955). Postawiono mi wówczas bardzo konkretne żądania. Pani Wilczkówna – kierowniczka redakcji literatury pięknej w „Czytelniku” – powiedziała mi, że pozytywne postacie mogą sięgać do podchorążego włącznie. Wszyscy natomiast oficerowie zawodowi musieli być postaciami negatywnymi. W kategorii oficerów pewne wyjątki mogły być zrobione dla niektórych rezerwistów, ale musiały być uzasadnione względami ideologicznymi. Pozytywny oficer rezerwy powinien być związany z KPP albo przynajmniej z socjalistami. Poza tym była, oczywiście, kwestia 17 września. To już absolutnie nie mogło przejść. Pamiętam taką, przeprowadzoną wówczas, charakterystyczną rozmowę z Żukrowskim, który właśnie wydał „Dni kłęski”. Powiedział mi wówczas, że w „Czytelniku” dano mu do przeczytania maszynopis mojej „Polskiej jesieni”. „I widzisz – skomentował – twoja książka nie wyjdzie, a moja już wychodzi”. Zapytał mnie, czy wiem dlaczego. Powiedziałem, że chodzi właśnie o 17 września, i Żukrowski przyznał mi rację. Zapytałem wówczas, jak on sobie z tym poradził. Odpowiedział: „Widzisz, bo ty do tego źle podchodzisz. Ty to uważasz za problem moralny, a to nie jest problem moralny, tylko choreograficzny. Trzeba to odtańczyć i ja to odtańczyłem”. Wolałem poczekać.

– Nie miał Pan jednak zapisu na nazwisko, skoro w 1954 roku ukazały się „Portki Odysa”, w 1955 „Polska jesień”, a już w 1956 „Buty”.

– Nie, zapisu na nazwisko nie miałem, bo nie miałem jeszcze nazwiska. Spotkało mnie to dopiero po aferze wywołanej poprawkami do konstytucji w latach siedemdziesiątych. Miewałem natomiast różne zabawne przygody. Na przykład z książką, którą złożyłem w krakowskim Wydawnictwie Literackim w 1956 roku. Była to fantastyka polityczna; rzecz nazywała się „Pojedynek” (1957), rozgrywała się w jakimś wymyślnym kraju Ameryki Łacińskiej i opisywała konflikt między starym człowiekiem a dyktatorem. Złożyłem ją, wykorzystując chwilową bezradność cenzury; książka została przyjęta i przepuszczona bez kłopotów. Dopiero, kiedy była już po korektach i miała iść do introligatorni, cenzura skonsolidowała się. Do-

stałem wówczas telefon od Henryka Voglera, który był naczelnym redaktorem Wydawnictwa Literackiego. Okazało się, że na żądanie cenzury wstrzymano produkcję książki, i że specjalnie w tej sprawie przyjedzie cenzor z Warszawy, który ma ze mną przedyskutować ich zastrzeżenia. Stawiłem się w wydawnictwie w wyznaczonym terminie. Cenzor już był na miejscu, ale okazało się, że nie wolno mu rozmawiać bezpośrednio z autorem. Siedzieliśmy więc w osobnych pokojach, a rolę medium pełnił Henryk Vogler. Cenzor zaczął od wypisywania na kartce stron, budzących jego zastrzeżenia. Wystarczyło spojrzeć na tę kartkę, żeby zorientować się, że jest to mniej więcej jedna trzecia tekstu. Powiedziałem wówczas Voglerowi, że wobec rozległości tych zastrzeżeń rozmowa staje się bezprzedmiotowa, więc wycofuję książkę. Vogler zaczął mnie przekonywać, że bym jednak książki nie zabierał, że bym spróbował nawiązać jakąś rozmowę, bo „on” przecież nie może wrócić do Warszawy z niczym. Napisałem więc, że proszę o sformułowanie generalnego zarzutu. Bardzo szybko dostałem odpowiedź, że książka jest antypaństwowa. Napisałem wówczas, że wiem o tym, że było to moja intencją, ale państwo, które opisuję, jest faszystowską dyktaturą. Otrzymałem wówczas lakoniczną odpowiedź: „To nie zmienia postaci rzeczy”. Powiedziałem Voglerowi, że wobec takiego postawienia sprawy nie widzę możliwości kontynuowania dyskusji. Vogler namawiał mnie, że bym jednak spróbował coś zrobić, bo książka jest w intrologatorni, i w razie jej wycofania wydawnictwo poniesie duże straty. Nie bardzo wiedziałem, co jeszcze mogę zrobić. Wtedy Vogler wymyślił, że bym zaproponował, że napiszę przedmowę, w której wyjaśnię, iż książka nie zawiera żadnych zdrożnych aluzji, i że naprawdę chodzi mi wyłącznie o faszystowską dyktaturę w jednym z państw Ameryki Łacińskiej. Ku mojemu zdziwieniu cenzor zgodził się, rezygnując z jakichkolwiek zmian w tekście.

Wróciłem do domu i napisałem tę przedmowę na jedną stronę. Po kilku tygodniach dostałem telefon od Voglera. „Znów mamy kłopoty z pańską książką. Cenzura oświadczyła, że gotowa wydać zgodę na rozpowszechnianie pod warunkiem, że pan zgodzi się wycofać przedmowę”. Wycofałem przedmowę i książka się ukazała.

– Jak należy rozumieć zdanie, które po cytowanej już dyskusji z Panem Tyrmandem zapisał jako Pańskie: „Mimo gigantycznych trudności można scalić troski o rodzinę i węgiel na zimę z bezmiarem walki o najwyższe wartości, jaka bezustannie wre w nas”?

– Nie pamiętam tej rozmowy z Tyrmandem, ale prawdopodobnie chodziło o to, że można pisać bez poczucia, że musi to być natychmiast wydrukowane, że można żyć z czego innego, nie przerywając pisania.

– Czy to, że w 1956 roku nie wrócił Pan do „Tygodnika Powszechnego” wynikało tylko z Pańskiego upodobania do samotnego żeglowania, czy też były jakieś inne powody?

– W „Tygodniku” zawsze się czułem trochę outsiderem, jako że nigdy nie byłem tak wyraźnie zorientowany w kierunku konfesyjnym. Byłem niepraktykujący. Wydawało mi się, że jestem tam trochę nie na swoim miejscu, chociaż zawsze uważałem, że było to w ówczesnych warunkach jedyne uczciwe pismo, i miałem wielki szacunek dla tych ludzi. Gdyby jednak wtedy istniała jakaś laicka prasa o tym samym stopniu swobody, co „Tygodnik”, to niewątpliwie byłbym raczej tam i szukał dla siebie miejsca.

– Czy Październik Pana zaskoczył? Czy te przemiany narastały w widoczny dla Pana sposób, czy też raczej wszystko stało się nagle?

– Październik był raczej zaskoczeniem, chociaż oczywiście jakichś zmian po śmierci Stalina wszyscy oczekiwali. Cezurę stanowił na pewno słynny tajny referat Chruszczowa na XX zjeździe, który przed Październikiem zaczęto rozpowszechniać w kręgach partyjnych. Mieliśmy wówczas sublokatora – członka partii – młodego człowieka ogromnie wobec nas nieufnego. Pewnego dnia przyszedł do mnie z tym tekstem, którego przecież nie wolno mu było rozpowszechniać. Dopiero wtedy zorientowałem się, że jest to człowiek, który myśli tak samo jak ja. Nagle rozpadł się mur nieufności między nami. Myślę, że to był rzeczywisty przełom.

Październik był dziełem partii i to stanowiło największe zaskoczenie. Wydawało się, że partia jest monolitem, a tymczasem w 1956 roku okazało się, że nie. Drugą przyczyną zaskoczenia było to, że istniała bardzo szczelna izolacja między inteligencją a robotnikami. Właściwie nie było żadnych kontaktów poza licencjonowanymi „spotkaniami twórców z robotnikami”, które organizowano w zakładach pracy. Były to kontakty fałszywe od początku do końca. Nie sposób było z tymi ludźmi wymienić jakichkolwiek autentycznych zdań czy poglądów. Wszystko było wyreżyserowane. O robotnikach nic się więc nie wiedziało. Większość inteligentów przypuszczała, że żyją na marginesie, że naprawdę dzieją się jakieś wielkie rzeczy, że cała klasa robotnicza jest w te przemiany szczerze zaangażowana, że tylko my próbujemy jeszcze gdzieś na boku podlewać te swoje dawne kwiatki. Październik dał pierwszą okazję przekonania się, co rzeczywiście myśli tak zwany lud. Wtedy, ku naszemu zdziwieniu, okazało się, że to nie my jesteśmy na uboczu.

Rozmowa z Józefą Hannelową

Prawdę mówiąc trochę baliśmy się nawet myśleć o przyszłości.

*Wiedziałam, że tkwimy w jakiejś nocy, ale nie
bardzo wiedziałam, co ma być dalej.*

– Spośród weteranów „Tygodnika Powszechnego” jest Pani, zdaje się, najmłodsza...

– Tak, na studia na Uniwersytecie Jagiellońskim przyszłam w 1946 roku, do „Tygodnika” trafiłam zaś, będąc na II roku polonistyki. Zaproponowała mi to wówczas pani Stomma, która odchodziła na urlop macierzyński i zwalniała etat korektorki-adiustatorki. Rzeczywiście byłam wtedy najmłodsza w całym zespole, w którym wszyscy mieli przeszło trzydziestkę, a pani Morstinowa, ksiądz Piwowarczyk czy Józef Maria Świącicki byli już ludźmi w sile wieku. Zaraz po mnie dołączył Jacek Woźniakowski, obejmując stanowisko sekretarza redakcji, a wkrótce jeszcze Jan Józef Szczepański i ksiądz Andrzej Bardecki. Przed samym rozwiązaniem „Tygodnika” doszli dwaj bardzo młodzi ludzie – Zygmunt Kubiak i Zbyszek Herbert. Zbyszek nie miał wtedy gdzie mieszkać, więc chwilowo zamieszkał w redakcji. Pojawił się też Leopold Tyrmand, który pisał ogromnie dużo, ale pracował u nas na etacie pomocnika administratora, bo nic innego nie mogliśmy mu zaproponować. Był to, jak na tygodnik, zespół szalenie szczupły.

– A Pani zaczynała w tym zespole od funkcji technicznych?

– Tak, od redakcyjno-technicznych. Dostawałam wszystkie teksty do adiustowania, przekazywałam je do drukarni, potem korektę robiłyśmy we dwie z Marią Turowicz, sekretarką. Do nas należała też cała rewizja numeru: wyrobienie cenzury i związane z tym przełamywanie. Zasadnicze łamanie należało do redaktora naczelnego i sekretarza redakcji. Wszystkie czynności związane z cenzurowaniem pisma były wówczas nieporównanie bardziej sformalizowane niż dziś. Od bardzo dawna wszystkie ingerencje cenzury otrzymujemy przez telefon. Na skutek tego przez cały okres gomułkowsko-gierkowski, kiedy nie istniała jeszcze ustawa o cenzurze i nie otrzymywaliśmy decyzji na piśmie, cenzurowanie nie pozostawiało żadnego śladu – nawet w archiwum. Cenzura oddawała nam odbitki kontrolne, na których wszystkie ingerencje były już uwzględnione. Nie pozwalali zostawić po nich żadnego śladu, nawet przecinka albo złego przypadku w zdaniu. Niesłuchanie starannie tego pilnowali. Natomiast cenzura stalinowska była bardzo formalistyczna. Żądała od nas nie szpalt, lecz odbitek złamanych już kolumn, tak zwanych szczotek. Sekretarz redakcji raz na tydzień odbierał komplet tych szczotek ostemplowanych przez cenzurę, z ingerencjami naniesionymi czerwonym atramentem i podpisanymi przez cenzora podejmującego decyzję. Można więc było gromadzić tę dokumentację.

– A jak wyglądały ostatnie miesiące przed rozwiązaniem „Tygodnika”? Czy widoczne było wówczas jakieś wyraźne zaostrenie w stosunkach z cenzurą?

– Te stosunki od dawna były już dość napięte. Kilka miesięcy po moim przyjeździe do redakcji, w czerwcu 1943 roku, został aresztowany Jasienica. Martwiliśmy się, że gdzieś pojechał i nie wraca. Potem nagle zatelefonował – ten telefon był bardzo dziwny. A później gruchnęło już, że jest aresztowany. Można powiedzieć, że już wtedy zagrożenie istniało, ale był to jeszcze okres niesłuchanie żywy, jeśli chodzi o tematykę, którą mogliśmy poruszać w „Tygodniku”. Prowadziliśmy wielki spór z realizmem socjalistycznym w literaturze, muzyce, spory o najróżniejsze problemy historyczne, filozoficzne, ideowe. Potem zaczęło się coraz więcej tematów tabu. Pamiętam swoje własne debiuty. Pierwszy artykuł, jaki napisałam, oparty był na materiałach zagranicznych, nazywał się „Żywe parafie” i opisywał bardzo „soborowe” – jakbyśmy dziś powiedzieli – parafie belgijskie. Wówczas było to ogromne nowatorstwo, ale przecież chodziło tu o pracę religijną i duszpasterską – o nic więcej. Było tam bardzo dużo o

liturgii, o różnych formach uczestnictwa świeckich w życiu Kościoła. Miało to od razu iść na wstępnik, co napawało mnie szaloną dumą, ale cenzura zdjęła tekst w całości. Z czasem coraz dziwniejsze sprawy stawały się tabu, aż w końcu nie można już było pisać nawet o zagadnieniach kultury chrześcijańskiej. Niecenzuralne okazywało się, niemal wszystko, co dotyczyło Kościoła. Największym problemem nie było jednak to, co pisaliśmy, tylko to, co zdaniem władz powinniśmy pisać. Wymagano od nas między innymi, żebyśmy komentowali wszystkie kampanie przeciw Kościołowi i podziemi. To był dla nas straszliwy dylemat. Całymi godzinami układało się i czołowało teksty. Nieustannie dyskutowało się o czym można napisać komentarz, a o czym nie. Pierwszym takim wielkim problemem było dla nas porozumienie z 1950 roku. Stanisławowi Stommie właśnie urodził się syn. Byliśmy u niego na chrzcinach, kiedy otrzymaliśmy telefoniczną wiadomość o podpisaniu porozumienia między Episkopatem a rządem. Koledzy: Turowicz, Gołubiew i Stomma po prostu wstali od stołu i poszli do drugiego pokoju pisać komentarz. To był wielki problem, żeby nie napisać ani jednego słowa, które nie byłoby prawdziwe, a nie można było nie napisać niczego. Potem ten dylemat nieustannie wracał: pisać czy nie pisać? Gdzie jest granica naszej uczciwości? Jak pisać, żeby nie skłamać i jednocześnie nie narazić pisma na zamknięcie? Wtedy jeszcze w podejmowaniu takich decyzji udziału nie brałam. Byłam młodym pracownikiem, po zrobieniu magisterium, co prawda, już redakcyjnym, lecz zajmowałam się głównie działem recenzji. Pisałam dużo, ale chyba dopiero w ostatnim roku przed zamknięciem „Tygodnika” zaczęłam uczestniczyć we wszystkich zebraniach i dyskusjach.

Te nasze problemy w zmieniającym się natężeniu istniały cały czas aż do początku 1953 roku, kiedy zaczął się proces Kurii Krakowskiej i było już widać, że przyszedł naprawdę ciężkie czasy. Proces rozgrywał się w atmosferze przeraźliwej nagonki na Kościół. Była to rozprawa pokazowa, na sali siedzieli zetempowcy, w prasie drukowano całe scenariusze z pytaniami i didaskaliami w rodzaju: „śmiech na sali”, „poruszenie”, „oburzenie”, „głosy oburzenia”. Dziś się już tego terroru nie pamięta, a przecież był to czas, kiedy żaden gest sprzeciwu nie uszedłby bezkarnie, choćby to było tylko słowo rzucone w tramwaju. Konfiskowano nam wówczas tyle tekstów, że czasami trzeba było robić cały numer od początku. Każdy materiał był podejrzany. Już w 1952 roku zrobiliśmy taką demonstrację, że ponieważ skonfiskowano nam prawie wszystkie teksty w numerze, wydaliśmy cztery strony zamiast ośmiu i daliśmy jako jedyny materiał długie opowiadanie Karola Ludwika Konińskiego „Straszny czwartek w domu pastora”.

Sytuacja zaostrzyła się dramatycznie natychmiast po śmierci Stalina. Woźniakowski, który był wtedy sekretarzem redakcji, odbierał z cenzury numery poprzekreślane na wszystkich kolumnach od brzegu do brzegu. Jednocześnie zaczęły się rozmowy z władzami. Ja nie brałam w nich udziału, nigdzie wówczas nie byłam wzywana. Z opowiadań kolegów wiem natomiast, że najpierw były naciski, żebyśmy ogłosili komentarz na temat śmierci Stalina, a potem zaczęły się przetargi i żądania usunięcia z zespołu przede wszystkim Stommy i Turowicza. Pamiętam, że złamaliśmy wtedy kolejno cztery numery, które wracały z cenzury poprzekreślane od początku do końca. Postanowiliśmy, że jeżeli zdejmą nam czwarty numer, to już więcej nie będziemy próbowali, i rzeczywiście przestaliśmy posyłać materiały do drukarni. Potem, do czerwca, już tylko spotykaliśmy się w redakcji. Przyjechał wówczas do nas dyrektor Siemek z Warszawy, a tam jeździły kolejne nasze delegacje. Pamiętam, że jedną z ostatnich rozmów, Antoni Gołubiew przeprowadził z Franciszkiem Mazurem. Pojechaliśmy wówczas do Warszawy większą grupą i oczekiwaliśmy w mieszkaniu księdza Jana Zieji, mieszkającego wtedy u Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu. Trwało to wiele godzin. Gołubiew wrócił pod wieczór i powiedział: „Rozbiłem „Tygodnik Powszechny”. Ten moment został mi szczególnie w pamięci. Zajęcie lokalu i ostateczne zamknięcie pisma odbyło się 7 czerwca 1953 roku.

– A czy może przypomina Pani sobie, jak odbyło się ustalenie terminów tych rozmów?

– Tego nie wiem, bo w odróżnieniu od większości moich kolegów, nigdy w tych rozmowach nie brałam udziału. Natomiast, o ile pamiętam, zawsze odbywało się to dość nagle.

– Jak to się stało, że Pani nie wzywano?

– Nie mieliśmy jeszcze wtedy zwyczaju podawania składu redakcji. Turowicz figurował w stopce jako redaktor naczelny, natomiast inni tylko podpisywali artykuły, jeżeli chcieli. Było już wówczas dookoła „Tygodnika” dość pusto. W pierwszych latach współpracowało z nami bardzo wiele osób. Potem różni ludzie odchodzili, bo im po prostu pisanie u nas wyperswadowano. Przez całe lata pod pseudonimem pisywał u nas na przykład Waław Sadkowski, ale potem i z tego się wycofał. W ostatnim miesiącu zaczęła już wokół nas powstawać próżnia, bo wielu autorów uważało, że współpraca z nami może być zwyczajnie niebezpieczna. Pamiętam, jak byliśmy z Kisielem na zjeździe polonistów w Poznaniu. Różni studenci czekali tam na nas, żeby „za kulisami”, w hotelu, pogadać jeszcze, ale było ich bardzo niewiele, raczej oderwane gromadki. Jednocześnie na sali odbywało się zbiorowe szczucie, łącznie z zarzucaniem „Tygodnikowi”, że pochwała hitleryzm za „rozwiązanie kwestii żydowskiej”. Andrzej Wasilewski potrafił powiedzieć tak z trybuny, nie bojąc się, że ktoś sprostuje. Nasza sytuacja była więc także o tyle łatwiejsza, że nikt nas specjalnie do kompromisu nie zapraszał. Z drugiej strony, nasi ówcześni wrogowie prasowi to jednak byli wrogowie wspaniali – tak zwani „wierzący komuniści”. Polemizowaliśmy wówczas na przykład ze Stefanem Żółkiewskim, z Tadeuszem Borowskim, z Wiktorem Woroszyłskim, z Janem Kottem. Oni najchętniej stawialiby przeciwnikom gilotyne, ale nie mieliśmy wątpliwości, że ta ich postawa wynika z pobudek ideowych, że nie ma w nich koniunkturalizmu.

– A czy nie mieliście Państwo trudności z zapełnianiem numerów wobec tych ciągłych konfiskat i malejącego grona współpracowników?

– „Tygodnik” był wówczas jednak znacznie mniejszy. Poza tym było to raptem osiem lat po wojnie. Wciąż jeszcze istniała nie wyczerpana studnia twórczości wojennej. Ludzie przecież dużo pracowali przez całą okupację i ciągle mogliśmy z efektów tej pracy korzystać, ale w ostatnich miesiącach dno zaczęło już wyraźnie przeświecać. Kisiel pisał recenzje muzyczne, które były wspaniałe, literacko świetne, ale był to już tylko jakiś azyl, jakaś oranżeria. Tyrmand z kolei pisał obyczajowo-literackie obrazki – a to jak jeździł na nartach, a to jak był gdzieś tam indziej. To było ciekawe, ale gdyby „Tygodnik” miał poważny ciężar gatunkowy, to mówiłoby mu się, żeby napisał coś innego. Drukowaliśmy dużo prozy Szczepańskiego. Nikt inny nie chciał go drukować, nie było mowy, żeby wydał książkę, więc powstał nawet projekt, żeby napisać recenzję tomiku, który się nie ukazał, a który można by ułożyć z tego, co przez te lata u nas wydrukował. Co najmniej kilka razy drukowaliśmy też całe sztuki Zawieyskiego. On również skazany był na milczenie, odkąd w 1947 roku przestano go wystawiać.

– Zaskoczyło mnie to, że w ośmiu numerach, które zdążyły się ukazać w 1953 roku, były bodaj trzy teksty Dobraczyńskiego, co czyniło go najbardziej lansowanym autorem „Tygodnika Powszechnego”. Czy rzeczywiście był on z Państwem aż tak blisko związany?

– Dobraczyński nie był formalnie w PAX-ie i utrzymywał z nami kontakty. Bywał u Zofii Morstinowej, spotykał się z naszymi kolegami w Warszawie. Bliskie też były nasze kontakty z Wydawnictwem PAX-u. Jako jedyne katolickie wydawnictwo, wydające także literaturę i przekłady z Zachodu, organizowało ono na przykład spotkania na temat każdej nowo wydanej przez nie książki literackiej, na które i my byliśmy zapraszani. Kiedy przyszedłam do „Tygodnika”, Dobraczyński już tam pisywał. Odbywało się to chyba na zasadzie jakiejś osobistej znajomości z moimi starszymi kolegami. Problem Dobraczyńskiego powstał dopiero po przejęciu „Tygodnika” przez PAX, a zwłaszcza po umieszczeniu przez Dobraczyńskiego wielu nieprawdziwych szczegółów w jego opublikowanym pamiętniku, do czego doprawdy nikt go przecież nie zmuszał. Natomiast wydawnictwo PAX wystąpiło – już po zamknięciu „Tygo-

dnika” – wobec kilku osób z redakcji z propozycją drukowania ich książek. Po zamknięciu „Tygodnika” byliśmy też co najmniej raz na spotkaniu poświęconym wydanej przez PAX książce. W pierwszych latach stosunki pomiędzy naszymi grupami były jeszcze zupełnie poprawne. Nie znałam Bolesława Piaseckiego, ale znałam kilku młodych z PAX-u, między innymi Zygmunta Lichniaka, Mikołaja Rostworowskiego, Marka Antoniego Wasilewskiego, którzy należeli do kręgu tak zwanych „dobrze zapowiadających się” młodych intelektualistów katolickich, i na przykład w 1948 roku, razem z młodzieżą z kręgu „Tygodnika Powszechnego” i „Tygodnika Warszawskiego” brali udział w seminarium literackim zorganizowanym pod protektoratem biskupa Kaczmarska z Kielc. Mam wrażenie, że ostre podziały powstały dopiero w 1956 roku, kiedy otworzyły się różne możliwości, a oni z nich nie skorzystali i sprzyjali zupełnie innym rozwiązaniom.

– A jak przypomina sobie Pani zamknięcie „Tygodnika”?

– Pamiętam taką scenę, kiedy Jacek Woźniakowski wrócił z tym czwartym skonfiskowanym numerem i powiedział, że więcej już nie będziemy próbowali, a Andrzej Bardecki z zupełnym spokojem odpowiedział: „to przyjdźcie do mnie wieczorem”. Bardzo się wówczas zżyliśmy ze sobą, więc i tego dnia chcieliśmy posiedzieć, pobyć razem, bo czuliśmy, że coś się kończy. Natomiast z tego ostatniego dnia przed zamknięciem lokalu redakcji pamiętam tylko tyle, że o wyznaczonej godzinie drzwi miały być opieczetowane i przyszlismy nieco wcześniej, żeby zabrać resztę rzeczy. Pamiętam, był wtedy Tadeusz Żychniewicz, Jerzy Turowicz i chyba jego siostra, Maria. Już wcześniej pomału likwidowaliśmy bibliotekę. Staraliśmy się upchać po domach co ważniejsze wydawnictwa, ale mało osób miało mieszkania dość obszerne, żeby można było trzymać w nich książki. W każdym razie tego ostatniego dnia Turowicz przeglądał jeszcze półki. Pamiętam, że wychodziliśmy stamtąd bardzo starając się „trzymać fason” i udawać, że nic się nie dzieje. Był tam już ktoś obcy, przed kim staraliśmy się grać, ale zupełnie nie przypominam sobie jego twarzy. Bardzo mało z tego dnia pamiętam.

– Jak potem wyglądały kontakty między Państwem?

– Ponieważ zespół był mały i trzymał się blisko, ci z nas, którzy zostali w Krakowie, i tak się widywali. Przyjęło się, że jeżeli przyjeżdżał ktoś ciekawy albo jeżeli ktoś wpadł na jakiś pomysł, na przykład, że Zawieyski będzie czytał swoją nową sztukę – odbywały się spotkania, na które przychodziliśmy niemal wszyscy. Tych spotkań było dużo. Dzięki nim mieliśmy silne poczucie więzi, chociaż oczywiście ze swoimi problemami każdy musiał sobie radzić na własną rękę.

– Co się wtedy z Panią działo?

– Nie miałam jeszcze rodziny, byłam zaledwie półtora roku po studiach, więc moje wymagania nie były zbyt wysokie i od razu znalazłam sobie zajęcie w zespole Celiny Bobińskiej. Opracowywano w nim akta sądowe z XVII wieku i potrzebni byli ludzie, którzy mieli własną maszynę do pisania a przy tym umieli odczytać stare częściowo łacińskie teksty. Przez parę miesięcy przepisywałam więc akta sądowe, co okazało się bardzo ciekawym i zabawnym zajęciem – tym bardziej, że w zespole pracowali wyjątkowo mili ludzie, przeważnie historycy prosto po studiach. Po jakimś czasie jedna z moich koleżanek jeszcze z wileńskiego harcerstwa zapytała, czy nie poszłabym do sekretariatu Instytutu Fizyki Jądrowej, organizowanego przez profesora Henryka Niewodniczańskiego. Niewodniczański, który był człowiekiem wielkiego formatu, zupełnie nie wiedział co to znaczy strach. Angażował więc do swojego instytutu ludzi, którzy wcześniej wylecieli z uniwersytetu za Sodalicję czy za jakieś inne sprawy, i nigdzie nie mogli znaleźć pracy. Przez półtora roku pracowałam u profesora Niewodniczańskiego, ucząc się od podstaw buchalterii, biurowości i tak dalej. Robiłam potworne błędy, ale nikogo specjalnie to nie dziwiło, bo w całej administracji pracowali tam wtedy sami niefachowcy. Wszystko to razem była zupełnie wariacka impreza, ale znowu środowisko okazało się fantastyczne. Tworzyli je ludzie, którzy się nie bali, posiadali duchową niezależność i nie-

samowicie przejmowali się tym, co robili, chociaż pensje były raczej głodowe. Czułam się tam doskonale, mimo że zarabiałam chyba sześćset złotych, co nie wystarczało nawet na bardzo skromne życie.

– W tym okresie wyszła Pani za mąż...

– Tak. W 1954 roku wyszłam za mąż za jednego z tych młodych fizyków od profesora Niewodniczańskiego, i niemal jednocześnie zaproponowano mi przejście do korekty w wydawnictwie Ossolineum. Nieco wcześniej próbowałam dostać pracę w Polskim Wydawnictwie Muzycznym, które się rozwijało i zatrudniło moją koleżankę z „Tygodnika”, Marię Turwicz. Z początku przyjęli mnie na umowę-zlecenie, obiecując, że etat znajdzie się niebawem. Wkrótce okazało się jednak, że nie mogą mi dać etatu ze względu na „Tygodnik”. Znalazłam się wtedy w dość trudnej sytuacji, z której na szczęście wybawił mnie dyrektor Pieczętkowski z Ossolineum. Do końca jednak nie mógł mi zaofiarować niczego poza korektą, chociaż był to człowiek, jak na owe czasy, bardzo odważny, pomagający takim jak my rozbitkom. Poza mną pracował jeszcze u niego Jacek Susuł oraz sporo innych, niezbyt dobrze widzianych osób. W Ossolineum nauczyłam się trochę pracy czysto technicznej, co mi się później przydało, ale wtedy wydawało się okropnie nudne. W 1955 roku rzuciłam Ossolineum i wzięłam prace zlecone w Państwowym Instytucie Sztuki w Warszawie. W tym czasie rodziły się już, jedna po drugiej, moje córki, więc o normalnej, etatowej pracy nie mogło być mowy. Robiłam natomiast u Zbigniewa Raszewskiego opracowania teatralne – między innymi z Jerzym Szaniawskim napisaliśmy pierwszą książkę o „Reducie” Osterwy. Zdążyłam jeszcze wydać z Raszewskim listy Osterwy do Żeromskiego i już przyszedł Październik. „Tygodnik” zaczął się zbierać na nowo, więc prace teatrolologiczne poszły na bok. Wydawało mi się, że pismo jest tym, co interesuje mnie najbardziej. Już wczesną jesienią 1956 roku zaczął się maraton zebrań. Październik zbiegł się akurat z niemowlęctwem mojej drugiej córki, więc w tych pierwszych zebraniach rzadko brałam udział, ale mimo to od razu zdecydowałam się wejść do wznawianego „Tygodnika”. Ponieważ musieliśmy zdążyć z nowym numerem na Boże Narodzenie, prace redakcyjne zaczęte w połowie listopada odbywały się w wielkim pośpiechu.

– Jak to się zaczęło? Kiedy się Państwo zorientowaliście, że „Tygodnik” może być wznowiony?

– Po przemówieniu Gomułki, w którym padło słynne zdanie: „Uboga jest myśl, że socjalizm mogą budować tylko marksiści”, pojawiło się w „Życiu Warszawy”, podpisane między innymi przez naszą redakcję, oświadczenie stwierdzające, że katolicy mają nadzieję, iż oznacza to także otwarcie możliwości dla ich aktywności społecznej. Później dołączyli do tego oświadczenia coraz to nowi ludzie. Wkrótce po powrocie Prymasa doszło do spotkania z Gomułką, w którym też nie brałam udziału, a na którym zapadła decyzja, że „Tygodnik” ma być reaktywowany. Wtedy zaczęliśmy prace redakcyjne.

– Chciałbym jeszcze wrócić do okresu poprzedzającego rozwiązanie „Tygodnika” i do tych trzech lat, kiedy go nie było. Jak wówczas wyobrażała sobie Pani przyszłość?

– Ja akurat wtedy nastawiona byłam na trochę inne obowiązki, głównie rodzinne, i wydawało mi się, że w ramach zleconych prac polonistycznych będę mogła dużo ciekawych rzeczy w życiu zrobić. Nie był to okres, w którym umiałabym myśleć jakoś szerzej o tym, co się będzie działo w skali społecznej, czy w skali Kościoła. Wydaje mi się natomiast, że uwięzienie Księdza Prymasa ostatecznie przekreśliło wszelkie nadzieje związane z tym, co się w najbliższych latach miało dziać z Kościołem w Polsce. Prawdę mówiąc, trochę baliśmy się nawet myśleć o przyszłości. Wiedziałam, że tkwimy w jakiejś nocy, ale nie bardzo wiedziałam co ma być dalej. Zresztą nasze spotkania też były wówczas poświęcone jakimś pojedynczym sprawom. Zawieyski przywoził sztukę, to się ją czytało i dyskutowało; przyjeżdżał Graham Greene, to się rozmawiało o problemie literatury katolickiej. Te rozmowy dotyczyły oderwanych, pojedynczych zagadnień, które nie łączyły nam się w całościowy obraz, jak ma to miej-

sce dziś. Po doświadczeniach Sierpnia 1980 wszyscy mamy optykę niesłychanie zmienioną. My przez cały okres pierwszego „Tygodnika” nie mieliśmy świadomości, która dziś wydaje nam się oczywista, że musimy być barometrem postaw światopoglądowych, że mamy obowiązek zajmowania stanowisk wobec wszystkiego. Wówczas byliśmy nastawieni raczej na to, że trzeba pewne rzeczy wykonać, że w dziedzinie kultury, sztuki trzeba pójść w głąb, pokazać coś bardzo solidnego. Nie czuliśmy obowiązku udzielania odpowiedzi na wszystkie pytania stawiane przez współczesność. Może nawet od tych spraw świadomie uciekaliśmy.

– Ówczesny „Tygodnik” rzeczywiście robi wrażenie pisma bardzo „nieprasowego”...

– Tak, nie myśleliśmy o robieniu prasy. Jako pierwsza, wyraźnie prasowa, pojawiła się rubryka „Z dnia”, ale był to wybór dość swobodny i nie mieliśmy ambicji stworzenia w niej obrazu adekwatnego do tego, co się w tych dniach działo. Był to raczej pewien wybór wiadomości, na które chcieliśmy zwrócić uwagę. Nie da się tamtej rubryki porównać z dzisiejszym „Obrazem tygodnia”, który ma odzwierciedlać rzeczywisty obraz tych dni i jeszcze go komentować poprzez sposób formułowania informacji.

– Ciekaw jestem, czy po rozwiązaniu „Tygodnika” rozważaliście jeszcze Państwo waszą wcześniejszą taktykę, czy zastanawialiście się na przykład nad sensownością kompromisów, na które redakcja poszła w okresie bezpośrednio poprzedzającym jej rozwiązanie?

– Z mojego punktu widzenia to wszystko nie rozgrywało się w kategoriach politycznych czy taktycznych, tylko raczej w kategoriach pryncypiów. Ja, muszę powiedzieć, odczuwałam pewien żal, że to, co wcześniej robiliśmy, żeby jeszcze mimo wszystko okazać dobrą wolę, żeby ocalić placówkę, na nic się nie zdało, że tylko budowało tę straszliwą falę, która nas miażdżyła.

– Przypomina Pani sobie taką świadomość z tamtego okresu, czy raczej są, to Pani obecne odczucia?

– Nie wiem, czy inni ją mieli, ale we mnie stopniowo taka świadomość dojrzewała. Muszę jeszcze raz podkreślić, na sprawy czysto polityczne nie miałam wówczas żadnego wpływu. Kilka osób rozważało te problemy poza resztą zespołu. Z zespołem konsultowano ustalone już w tym gronie opinie, tworząc w ten sposób poczucie współdecydowania. Do końca był taki „leadership” utrzymany. Muszę przyznać, że miałam do tych moich kolegów absolutne zaufanie. Ani przez chwilę nie miałam cienia niepokoju, że znajdziemy się po stronie, po której nie chciałam być. Ani przez chwilę nie miałam obaw, czy moi koledzy nie pójdą na jakiś kompromis, który byłby dla mnie nie do przyjęcia. Mieliśmy wówczas świadomość, że „Tygodnik Powszechny” jest uważany przez władze za przeciwnika, i to nas bardzo łączyło. Myślę, że to poczucie pomagało także przełknąć kompromisy, które wydawały nam się konieczne.

Rozmowa z Jackiem Woźniakowskim

*Zawsze uważaliśmy, że jakieś światelko na końcu tego tunelu
jednak widać, że po iluś latach sytuacja się poprawi,
i że trzeba do tych nowych czasów, do tej
następnej epoki, przenieść pewne wartości
nienaruszone.*

– Jak przypomina Pan sobie okres bezpośrednio poprzedzający rozwiązanie „Tygodnika Powszechnego” w 1953 roku?

– To były czasy procesów pokazowych – procesu biskupa Kaczmarka, procesu księdza Lelito, czyli tak zwanej sprawy Kurii Krakowskiej, wielu innych. Władzom chodziło przede wszystkim o skompromitowanie środowisk katolickich. Jedną z form kompromitacji miało być to, żeby gazeta ciesząca się tak dużym prestiżem, jak „Tygodnik Powszechny”, włączyła się w chór prasy potępiającej Kurię Krakowską, księdza Lelito i nieżyjącego już kardynała Sapiehę, który w gruncie rzeczy, choć nieoficjalnie, był na tym procesie głównym oskarżonym.

Dziś dość trudno sobie wyobrazić, jakiego rodzaju presja była wtedy na nasze środowisko wywierana, choć na pewno były środowiska w jeszcze gorszej sytuacji – nie mówiąc już o więźniach. Wywierano ją w bardzo licznych rozmowach z przedstawicielami władz, ale także w sposób pośredni wynikała ona z całej ówczesnej sytuacji. Istniał pewien typ zarzutów – na przykład o współpracę z wywiadem amerykańskim – przed którym nie można się było bronić wprost. Nie można było wprost powiedzieć, że to jest głupstwo albo nieprawda, bo za to ludzie po prostu szli do kryminału. Aresztowano i skazywano na podstawie całkowicie fikcyjnych zarzutów. Cały czas istniało zagrożenie zupełnie arbitralnym aresztowaniem i związanymi z tym fatalnymi skutkami ówczesnych procesów, w których nie było nawet cienia jakiegokolwiek praworządności. Był to rzeczywiście okres terroru i wszechwładzy UB. Staliśmy więc wobec pytania, jak ocalić placówkę i nie zgnieć w więzieniu, na co wcale nie mieliśmy ochoty. Naszą siłą stanowiło jednak to, że byliśmy również na taki los przygotowani. Robiliśmy więc szereg kroków, które mogły nas przed tym uratować, ale jednocześnie nie chcieliśmy zrobić żadnego kroku, który by podcinał gałąź tych wartości, przy których trwalibyśmy. Uważaliśmy, że ponieważ reprezentujemy wartości moralne, nie możemy zrobić niczego, co by je niszczyło. W rezultacie naszym stałym argumentem za tym, żeby nie wchodzić w dyskusje polityczne – na przykład na temat wywiadu amerykańskiego – a jednocześnie nie być przymuszonym do pisania świństw, było to, że jesteśmy maniakami, którzy muszą mówić własnym językiem.

– Własnym językiem...?

– Tak. Tłumaczyliśmy władzom: „Panowie macie własny marksistowski język, wynikający z waszej ideologii, i my, katolicy mamy własny język, a w naszym języku pewnych rzeczy formułować nie można”. Oficjalny sylogizm – „nie kochacie socjalizmu, więc obiektywnie jesteście sługami imperializmu” – znaczył w istocie tyle: „nie przyjmujecie z bezkrytyczną uległością poczynań władz, więc należy was zniszczyć”. W tej konwencji nazwanie brednią owego sylogizmu byłoby uznane za godzenie w podstawy ustroju, ze wszystkimi wiadomymi konsekwencjami. Na tym odcinku nie podejmowaliśmy w zasadzie dyskusji, chroniąc się maniakalnie za barierę własnego języka. Uważaliśmy natomiast, że sensowny – bo zakorzeniony w rzeczywistości – jest spór na innym odcinku: „nie kochacie socjalizmu, bo jesteście częścią wrogiego nam ideowo Kościoła i macie swoje chrześcijańskie manie moralne”. Proszę bardzo, taki typ oskarżeń przyjmowaliśmy z radością, tu staliśmy na twardym gruncie i wiedzieliśmy, że jest o co się zmagać. Była to taka maniakalna, prawie językoznawcza debata. Zna-

komicie te rozmowy prowadził Gołubiew. Cały nasz zespół był ustawiony bardzo jednolicie wobec różnych spraw w dużej mierze właśnie dzięki Gołubiewowi, który stał się wyraźnym liderem. Wykazywał wówczas niezwykłą równowagę i roztropność. Ostatni okres „Tygodnika Powszechnego” spędziliśmy właściwie w pociągach. Co chwilę jeździliśmy do Warszawy. Co chwilę odbywały się rozmowy z władzami. Wraz ze starszymi kolegami brałem udział w rozmowie z Bidą – ówczesnym szefem Urzędu do Spraw Wyznań. Gołubiew natomiast doszedł aż do Mazura, a więc do Biura Politycznego. Dość często zmienialiśmy się w zespołach negocjacyjnych. Raz jechał Turowicz ze Stomma czy ze mną, raz Malewska z Gołubiewem, raz Malewska z księdzem Bardeckim, czy Gołubiew z Turowiczem. Inaczej po prostu nie wytrzymałibyśmy ciągłego jeżdżenia, ciągłych rozmów w tej atmosferze. W czasie rozmów widać było, jak rusza się kotara, za którą pewnie stenografowano albo nagrywano. Ani przez chwilę nie mieliśmy wątpliwości, w jakiej jesteśmy sytuacji i do czego to wszystko zmierza. Zdaje mi się, że udało nam się przetrwać głównie dzięki autorytetowi Gołubiewa, jego wielkim umiejętnościom dyplomatycznym, jego „ludzkim” cechom i temu, że w tych wszystkich rozmowach Bida nabrał do nas jakiejś sympatii, bo byliśmy chyba jedną grupą, która tak mu się stawiała i stale odmawiała napisania tych różnych rzeczy, których żądano. Nie wiem, czy nie temu nieszczęsnemu Bidzie zawdzięczamy, że po zamknięciu „Tygodnika” nas jednak nie aresztowano? Mieliśmy *de facto* wilczy bilet, nigdzie nie mogliśmy znaleźć pracy, ale do więzienia nie poszliśmy. To nas nawet mile zaskoczyło.

W każdym razie przez ostatnie tygodnie istnienia „Tygodnika” toczyły się rozmowy między redakcją a władzami, aż wreszcie poszliśmy na jakąś kompromisową formułę w sprawie procesów. Napisaliśmy, iż uważamy, że księża nie powinni angażować się w działalność polityczną. Dzięki temu przez jakiś czas „Tygodnik” znów mógł się ukazywać. Być może poszliśmy wówczas za daleko – sami mieliśmy tysięczne wątpliwości – ale ponieważ każde słowo było krwawo wywalczone w wielogodzinnych pertraktacjach z Bidą, więc kiedy się porównywało tekst pierwotny, którego oni od nas żądali, z tym, cośmy ostatecznie napisali, różnica była taka ogromna, że kompromis mógł się wydać całkiem nieznacznym – zwłaszcza w porównaniu z resztą prasy. Ta szarpanina trwała długo, ale muszę powiedzieć, że mimo wszystko na temat Bidy mam wspomnienia nie najgorsze. Był to po prostu stary, zmęczony życiem, cyniczny komunista, który miał jednak w sobie iskrę dawnej ideowości, a nawet coś ludzkiego, co czasem daje wiek. Właściwie dosyć go nawet lubiłem.

W pewnej chwili doszło do tego, że wydaliśmy numer „taternicki”, bo kiedy już o niczym nie mogliśmy pisać, pisaliśmy o ekologii – zresztą z pełnym przekonaniem, że jest to ważny i zupełnie zaniedbany temat. Dlatego śmieszyło mnie, kiedy później mówiono, że nikt wówczas nie zdawał sobie sprawy z tego, do czego doprowadzi zanieczyszczenie powietrza i wody. My zdawaliśmy sobie sprawę i naprawdę chcieliśmy ten temat poruszyć. Bida jednak sądził, że to nie jest nic ważnego, tylko że my się ten sposób wykręcamy od tematów istotnych, takich jak wywiad amerykański, skrzynki kontaktowe, dolary i tak dalej. Trwało to i trwało, aż wreszcie umarł Stalin – oczywiście ku naszej szalonej radości. Wtedy nastąpił kryzys ostateczny, bo władze chciały, żebyśmy napisali artykuł w stylu tego, który zamieściło „Dziś i Jutro”, pod tytułem „Stalin – imię epoki”. Odmówiliśmy zamieszczenia czegokolwiek poza oficjalnym komunikatem Komitetu Centralnego. Wówczas oświadczono nam, że wobec takiego stanowiska nie możemy dalej działać. Po tej rozmowie z Bidą wiedzieliśmy już, że nie jest z nami dobrze. Potem spotkaliśmy się jeszcze z panem Siemkiem. Był to twardy przedstawiciel sfer żandarmeryjnych, który formalnie reprezentował, zdaje się, Urząd do Spraw Wyznań i był podwładnym Bidy. Siemek stawiał nam brutalnie kategoryczne postulaty. Mówił, że musimy zrobić to, to i tamto. Powiedzieliśmy, że nie musimy. Stomma, jak zawsze, szukał jakichś wyjść z sytuacji. Przekonywał, żebyśmy wyrzucili Turowicza i jego, tak jak tego domagał się Siemek, żebyśmy wzięli Bocheńskiego i Dobraczyńskiego. Uznaliśmy wszyscy, że jest to

obłądny pomysł. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jeżeli wyłamią nam dwa zęby, to szczeka będzie już słaba i łatwiej wytluką resztę. Odmówiliśmy więc kategorycznie, chociaż Stomma bardzo do tego parł. On zawsze uważał, że trzeba szukać formuł kompromisowych, coś dawać na żer – byle istnieć. My natomiast uważaliśmy, że lepiej nie istnieć niż ryzykować istnienie w charakterze świntuchów. To szukanie kompromisów łączyło się zresztą u Stacha Stommy z zaskakującą ruchliwością wyobraźni i z wielką, choć kurtuazyjną, bojowością. Cenił grzeczność i kompromis, ale zarazem lubił atmosferę ryzyka. Pamiętam, że kiedy nocowaliśmy w którymś warszawskim hotelu, w „podwójnym” pokoju, ktoś zapukał o nieprzyzwoicie wczesnej porze i funkcjonariusz o ściśle określonym wyglądzie „zaprosił” Stommę na rozmowę do ważnej i budzącej grozę pani Bristigierowej. Zrobiło mi się niemiło, a tymczasem Stach wpadł w świetny humor i wyskoczył z łóżka jak szczygiełek. Czekало go działanie, choćby tylko w postaci rozmowy – a że trudne, to i lepiej.

Kiedy zapieczętowali nam lokal, zaczęły się manewry PAX-u i rozmaite formy nacisku na nas, żebyśmy weszli do nowej, montowanej przez paxowców redakcji.

– Chciałbym zatrzymać Pańską relację, żeby zapytać, czy był Pan z Księdzem Bardeckim u Księdza Prymasa po zdjęciu wywiadu, który przeprowadził z nim Jerzy Turowicz, i który miał być dla „Tygodnika” swego rodzaju parasolem?

– My te rozmaite formy zabezpieczania się od różnych stron nazywaliśmy „spadochronami”. Natomiast nie pamiętam, czy byłem w tej sprawie u Prymasa. Tyle razy bywałem wówczas u Prymasa, że trudno mi sobie przypomnieć, jakie były konkretne powody. Naszą wspólną podporą był wówczas ksiądz Jan Zieja. Zatrzymywaliśmy się u niego przyjeżdżając do Warszawy i zawsze znajdowaliśmy w nim ten sam spokój, pogodę, myśl idącą bardzo głęboko w życie religijne. Był dla nas cudownym wsparciem i masę mu zawdzięczamy, bo nieustannie podtrzymywał nas na duchu. Zresztą my sami wspieraliśmy się też nawzajem. Stanowiliśmy rzeczywiście grupę nadzwyczaj zwartą i chyba dzięki temu jakoś przetrwaliśmy te miesiące w pociągach.

– Czy konsolidacja tego środowiska dokonała się właśnie wtedy, czy też była to już sprawa wcześniejsza?

– Wtedy osiągnęła ona szczególnie wysoki stopień. Tylko Kisiel odsunął się wcześniej i nie brał już w tych ostatnich rozmowach udziału, bo bał się, że nie wytrzymamy presji, a wolał swojej młodojeckiej sławy nie narażać. Zresztą on i wcześniej uważał się właściwie za wolnego strzelca, chociaż był z nami związany bardzo bliską przyjaźnią.

– W każdym razie w rozmowach nie brał już udziału?

– Nie. W rozmowach brali udział głównie: Gołubiew, Turowicz, Malewska, Stomma i ja.

– A Ksiądz Bardecki?

– Mniej, chociaż był on bardzo serdecznym przyjacielem i nadzwyczajnie nam w Krakowie pomagał. Później nieustannie zabiegał o pomoc dla nas ze strony Kościoła i organizował jakiś rodzaj zasiłków rodzinnych. Natomiast w rozmowach brał mniejszy udział. Może bardziej angażował się w układanie stosunków z władzami kościelnymi, ale, o ile pamiętam, nie uważaliśmy, żeby ksiądz Bardecki miał specjalny talent do rozmów dyplomatycznych. Poza tym sądziliśmy, że ksiądz nie powinien w te sprawy angażować się bezpośrednio. Raczej staraliśmy się chronić go przed takimi sytuacjami.

– Wspominał mi Ksiądz Bardecki o rozmowie, jaką on pamięta jako ostatnią i ostateczną, i która odbyła się pod koniec czerwca 1953 roku, dosłownie w przeddzień zapieczętowania lokalu „Tygodnika”. Poza nim, miała w tej rozmowie brać udział Hanna Malewska i ktoś jeszcze. Czy Pan sobie tę rozmowę przypomina?

– Czy to przypadkiem nie była ta rozmowa, w której powiedziałem Bidzie, jak wyobrażam sobie scenariusz dalszych działań? Pamiętam, jak mając przeświadczenie, że to jest na pewno ostatnia rozmowa, powiedziałem coś w tym sensie: „Proszę pana, ja, gdybym był na pańskim

miejscu, uznałbym, że tych facetów już nie nawrócę. Oni mają manię własnego języka i trzeba ich skreślić. Może nie warto pakować ich do kryminału, bo to wywoła reperkusje, ale nie ma co się z nimi dłużej bawić”. Tak, teraz przypominam sobie tę rozmowę. Tam rzeczywiście byli: Malewska, Bardecki i ja, i to rzeczywiście była ostatnia rozmowa.

– Ciekaw jestem jak Bida Panu odpowiedział?

– „No wiecie, no, chyba tak, no, chyba tak...”

– Taki był serdeczny i jowialny?

– Był prawie jowialny, zupełnie zrezygnowany, ale nie agresywny. Żadnych ostrych reakcji nie było, podobnie jak nie było wówczas żadnego straszenia.

– Czy Bida miał jakieś kompetencje decyzyjne, czy też było to tylko medium przenoszące decyzje podejmowane gdzieś wyżej?

Myszę, że jego zwierzchnicy radzili się go. Potem, wiele lat później, spotkaliśmy się przy jakiejś okazji i cieszył się tak, jakby spotkał najbliższego przyjaciela. Był chyba wtedy jakimś ambasadorem. Co rzeczywiście ciekawe, nikt z nas nie ma o nim złego wspomnienia. Mam wrażenie, że to był człowiek, który nas darzył pewnym szacunkiem, i który starał się znaleźć takie wyjście, żeby nam nie zrobić zbyt dużej krzywdy. W każdym razie zdecydowanie wolałem postawę Bidy od zachowania Dobraczyńskiego.

Po zamknięciu „Tygodnika” całe lato spędziliśmy z moją żoną w należącym do rodziny domu pod Zakopanem. Kiedy zamknęli „Tygodnik” miałem całego majątku pięćset złotych. Schroniliśmy się więc pod skrzydła mojej babki, mieszkającej właśnie w podhalańskim domu i próbowaliśmy odsapnąć po przeżyciach ostatnich miesięcy. Otóż, zupełnie niespodziewanie przyjechał do mnie Dobraczyński, który oświadczył, że zaproponowano mu objęcie redakcji nowego „Tygodnika Powszechnego” i on swoją decyzję uzależnia od opinii Gołubiewa, bo z nim liczy się najbardziej. Nawet gdyby Gołubiew poradził mu objąć pismo, Dobraczyński obiecywał umieścić w najbliższym numerze artykuł, w którym wytłumaczy, że to jest zupełnie nowa redakcja, że ze starego zespołu nikt już nie został. Powiedziałem Dobraczyńskiemu, że Gołubiew jest w Niwie pod Nowym Targiem, żeby pojechał tam, to on na pewno będzie mógł z nim rozmawiać. Dobraczyński na to, że on woli wpaść do Gołubiewa w Krakowie na Jaskółczą. Wrócił do Krakowa, nie zatrzymując się w Niwie. Na Jaskółczej, oczywiście, nikogo nie zastał. Pojechał do Warszawy i powiedział – jak mi później relacjonowano – że, niestety, nie udało mu się widzieć z Gołubiewem, nie zna jego zdania, ale przypuszcza, że Gołubiew pochwaliby wejście do redakcji nowego „Tygodnika”. Zupełnie beznadziejne! A artykuł o zmianie zespołu też się, oczywiście, nie ukazał, chociaż Dobraczyński zarzekał się wcześniej, że jeśli mu ten artykuł, zdejmą, to umyje ręce od paxowskiego „Tygodnika”. Nie wiem nawet, czy ten artykuł kiedykolwiek powstał, natomiast Dobraczyński oczywiście redakcję objął. Od tego czasu nasze stosunki praktycznie się skończyły.

– Chciałbym jeszcze wrócić do okresu poprzedzającego rozwiązanie redakcji. Czy Państwo poważnie liczyliście się wówczas z likwidacją „Tygodnika”, czy też uważaliście, że mimo Waszej nieustępliwości władze cofną się przed tym krokiem?

– Nie wiedzieliśmy oczywiście jak to wszystko się skończy, ale mówiłem już, że liczyliśmy się raczej z likwidacją i z aresztowaniem. Jednocześnie jednak uważaliśmy, że musimy do ostatniej chwili robić wszystko, co się da, żeby zostawić władzy mądrzejsze wyjście z sytuacji – to znaczy, żeby nas nie likwidowano. Uważaliśmy, że z ich własnego punktu widzenia przedłużanie naszego istnienia jest mądrzejsze i bardziej pożyteczne. Po każdym wyjeździe na rozmowy do Warszawy zbieraliśmy się u Zosi Morstinowej i tam omawialiśmy sytuację. Zosia wprawdzie nigdy chyba nie jeździła z nami do Warszawy, ale w Krakowie była naszym fundamentem. Zawsze znajdowaliśmy u niej gošcinę, możliwość rozmowy, spokój. Potem, kiedy po zamknięciu „Tygodnika” przekonaliśmy się, że nas zostawili na wolności, zupełnie podstawową instytucją stały się cotygodniowe spotkania u Zosi Morstinowej. Dzięki

tym spotkaniom przez całe trzy lata pozostaliśmy niesłuchanie zgrani. Dokładnie wiedzieliśmy co każdy z nas myśli, co myślimy jako zespół i jakich argumentów będziemy używali w razie takich czy innych sytuacji. Stałe mieliśmy gotowe scenariusze. Kiedy więc przyszło co do czego – na przykład pójście do Gomulki albo rozmowa z Piaseckim – wychodziło to właściwie automatycznie. Kisiel, który po likwidacji „Tygodnika” wrócił do naszego grona, nazywał te spotkania Ka-Ka-Du, czyli Katolicki Klub Dyskusyjny.

– Czy zechciałby Pan powiedzieć coś więcej o salonie i jego gospodyni, Pani Morstinowej?

– Zosia Morstinowa była osobą znakomitą. Miała wielką wiedzę, wielką kulturę, wielką autentyczną skromność. Była rozumna, szorstka, nie miała nic sentymentalizmu, cackania się z ludźmi. Była masywną grubaską, mówiącą prawdę w oczy bez uzewnętrzniania emocji. Natomiast była też prawdziwie serdeczna w sposobie, w jaki interesowała się ludźmi. Uważała się za zupełnie głupią i niekompetentną we wszystkich sprawach politycznych, ale umiała cudownie słuchać, a swoje zdanie rzucała na szalę tylko wtedy, kiedy prosiliśmy ją o to. Jeżeli chodzi o zdrowy rozsądek w patrzeniu na kulturę, na zjawiska literackie, była niezwykła. Przede wszystkim czytała bardzo dużo i o wszystkim miała zdanie pełne rozumu. Znała dobrze literaturę francuską i interesowała się amerykańską, więc miała dla swoich lektur doskonałe tło porównawcze. Reprezentowała rozległą wiedzę, połączoną z niezwykłą, ujmującą skromnością i prostotą, która dla niektórych ludzi była prawie szokująca. W dużej mierze właśnie dzięki niej cała redakcja utrzymywała stosunki bardzo rodzinne, zaś w nasze redakcyjne życie włączone były żony a nawet dzieci.

W okresie, kiedy „Tygodnik” już nie istniał, a nasza fama w Polsce rosła, zaczęliśmy mieć też pierwsze kontakty z księdzem Wojtyłą. Kiedyś Zosia powiedziała nam, że musimy poznać bardzo ciekawego młodego księdza, który właśnie wrócił z Francji⁴. Pojawił się wtedy w jej salonie w mocno wytartej sutannie. Wańkowicz, kiedy wrócił z Ameryki, też od razu zjawił się u Zosi. Wkrótce po powrocie odwiedził nas także Mackiewicz. Ktokolwiek ciekawszy przyjeżdżał do Krakowa, zaraz biegł do Zosi. Wiadomo było, że Zosia zawsze nas w jakiś sposób zbierze. Bywały też zresztą regularne pory spotkań. Zosia miała spory salon, a mieszkała w samym centrum Krakowa. Miejsce było wyśmienite. W jej mieszkaniu zawsze można było zapaść się w foteliki albo kanapy, na których prawie każdy miał swoje stałe miejsce. Zosia zawsze dawała coś do picia i do jedzenia, więc mogliśmy bez końca gadać na wszystkie tematy.

– I brały w tym udział także żony Panów?

– Nie, nasze żony nie brały udziału ani w spotkaniach Ka-Ka-Du, które traktowaliśmy jako zebrania redakcyjne, ani tym bardziej we wcześniejszych pertraktacjach, ale miały swój bardzo poważny wkład w tamte wydarzenia i bardzo wiele im zawdzięczamy. Przez cały czas podtrzymywały nas na duchu swoim spokojem, modlitwą i radami. W okresie pertraktacji za każdym razem telefonowaliśmy do nich z Warszawy, bo zdawaliśmy sobie sprawę, że będąc daleko od pola bitwy, niepokoją się dużo bardziej niż my, chociaż bardzo skrętnie ten niepokój skrywały. Natomiast rodzinnie obchodziliśmy wszystkie imieniny, które na ogół każdy wyprawiał u siebie. Najmniej spotkań odbywało się u Turowicza, bo jego mieszkanie było tak zawsze zavalone książkami i gazetami, że na nic już nie starczało miejsca. Więcej przestrzeni mieli Gołubiewowie, u których kształciła się młoda kadra. To dziwne, że w tamtych czasach też pojawiali się młodzi, którzy chcieli do nas dołączyć. U Gołubiewa bywał na przykład Jan Paweł Gawlik, który nie okazał się później ozdobą jego szkoły. Do mnie dość często zaglądali: Zabłocki i historyk Kiersnowski, który jest teraz w Anglii. Zabłocki miał wtedy koncepcję stworzenia katolickiego trustu mózgow. Nie pamiętam już wszystkich, którzy się o nas ocierali, ale była to dość spora grupa.

⁴ Ksiądz Wojtyła współpracował już z pierwszym „Tygodnikiem”, a z Francji wrócił w 1948 roku.

– Chciałbym jeszcze, wracając do okresu poprzedzającego rozwiązanie „Tygodnika”, zapytać, jak układały się wówczas stosunki redakcji z władzami kościelnymi. Państwo zajęliście stanowisko dość zdecydowane, gdy tymczasem znaczna część Episkopatu nastawiona była raczej ugodowo...

– Bezpośrednie, bliskie stosunki mieliśmy wtedy właściwie tylko z Prymasem Wyszyńskim. Kiedy był w Krynicy, jeździliśmy do niego, odbywaliśmy fundamentalne, długie, nieraz całodzienne rozmowy. Dla nas te spotkania były bardzo ważne, więc późniejsze internowanie Prymasa odebraliśmy jako kolejny, poważny cios – zupełnie tak, jakby zamknięto kogoś z nas. Natomiast z biskupem Klepaczem znaliśmy się bardzo pobieżnie. Uważaliśmy, że trzeba starać się przekonać go do naszych tez, ale specjalnie na to nie liczyliśmy. Poza tymi rozmowami z Prymasem nie pamiętam żadnych istotnych kontaktów z hierarchią kościelną. Znałem osobiście księdza Rozwadowskiego, który dawał mi ślub, a potem został biskupem łódzkim, ale była to raczej osobista przyjaźń, bo razem chodziliśmy w góry.

– A biskup Jop?

– Biskup Jop był człowiekiem bardzo miłym i lojalnym, ale przed rozwiązaniem „Tygodnika” bardzo krótko był w Krakowie. Natomiast bardzo nas ujął swoją ogromną prostotą i skromnością na przykład tym, że jeździł po Krakowie tramwajem, a nie samochodem. Z jego zastępcami – Huetem, Woźnym i tak dalej – nie mieliśmy natomiast żadnych kontaktów.

Kiedy zaś zdarzało się, że musiałem pożyczać pieniądze, bo zupełnie nie mogliśmy związać końca z końcem, poza księdzem Bardeckim kontaktowałem się z księdzem Ferdynandem Machayem – proboszczem Panny Marii, który był zarazem moim proboszczem. Chodziłem do niego po pożyczki, które potem spłacałem ratami – w miarę sił i możliwości. U niego zawsze można było taką pożyczkę dostać, a była to wówczas wielka rzecz.

– No właśnie, chciałbym zapytać o sytuację materialną Państwa po zamknięciu „Tygodnika”...

– Sytuacja każdego wyglądała oczywiście nieco inaczej, ale przez długi czas nikt, z nas nie mógł zaangażować się do żadnej pracy. Ja znalazłem pewne oparcie w rodzinie, bo mieliśmy ten dom rodzinny pod Zakopanem, w którym mieszkała moja babka. Poza tym ksiądz Bardecki organizował nam pewną pomoc ze strony Kościoła. Parę razy dostaliśmy jakieś ubrania, może nawet forszę i żywność. Ksiądz Bardecki szalenie o to zabiegał. Poza tym każdy z nas starał się znaleźć sobie pracę. Ja pierwszą pracę dostałem dzięki Ryszkiewiczowi, który pisał monografię Henryka Rodakowskiego, a zajmował wówczas ważne stanowisko w Instytucie Sztuki. Zawsze interesowałem się sztuką, więc zwróciłem się do niego z zapytaniem, czy nie mógłbym dostać jakiejś pracy związanej z jego instytutem. Okazało się wtedy, że Instytut Sztuki potrzebuje odpisów wszystkich listów Matejki, jakie znajdują się w Krakowie. Powierzono mi tą pracę, ale w umowie na jej wykonanie figurowała życzliwa mi pani, przez którą przekazywano mi pieniądze. Obawiano się bowiem podpisać umowę z osobą obciążoną pracą w „Tygodniku”. W każdym razie przez jakiś czas chodziłem z pożyczoną od kogoś maszyną do pisania, żeby w domu Matejki całymi dniami tłuc jego – niestety niezbyt ciekawe – listy. W ten sposób zarobiłem pierwsze pieniądze.

– Drugą moją pracą było przyjęte „na Murzyna” tłumaczenie z angielskiego. Zjawił się wtedy u mnie pewien człek uczony, który przygotowywał jedno z fundamentalnych angielskich dzieł w dziedzinie historii czy filozofii nauki. Zaproponował mi, żebym to dzieło przetłumaczył, a on je wyszlifuje i zawrze umowę, dzieląc się ze mną honorarium. Tłumaczyłem więc byle jak, on to przyzwoicie wyglądał, zanosił wydawcy, brał od niego forszę i część odpalał mnie.

Po jakimś czasie zaangażował mnie też KUL. Uważałem tę propozycję za bardzo zaszczytną, bo byłem wtedy zaledwie magistrem. Zaletą pracy na KUL-u była też jej systematyczność i możliwość sprawdzenia własnych talentów pedagogicznych, natomiast wadą było

to, że zaproponowano mi zajęcia zlecone, które były okropnie źle płatne. Finansowo prawie na tym nie korzystałem, natomiast męczyłem się potężnie, bo dojazdy do Lublina były bardzo wyczerpujące. Trzeba było przesiadać się w Radomiu, godzinami czekać, pieszo wędrować przez wówczas zupełnie jeszcze dziki obszar między stacją a KUL-em. Na dodatek KUL zupełnie mnie nie oszczędzał, dając po jedenaście godzin zajęć dziennie. Dzięki temu uzyskałem jednak pewien szczególny typ doświadczenia. Muszę powiedzieć, że ten niby paxowski rektor, ksiądz Iwanicki, który wtedy rządził KUL-em, był bardzo dziwnym człowiekiem i bardzo, jak się wydaje, cynicznym politykiem, ale miał rozumne ambicje. Jego głównym celem było chyba dobre postawienie spraw personalnych, to znaczy zaangażowanie możliwie największej liczby interesujących ludzi. Po jego odejściu KUL przyjął natomiast odmienną politykę i skupił się na wypełnianiu kartek w planach zajęć, nie bardzo zwracając uwagę na to, jakie nazwiska się tam wpisują.

Z czasem, dzięki Bronisławowi Zielińskiemu, z którym byliśmy w bliskiej przyjaźni od czasów podchorążówki kawalerii i u którego często przemieszkowałem w czasie okupacji, zacząłem dostawać ciekawsze prace jako tłumacz. Zieliński poznał mnie z Hanką Trzeciakovską, która była wtedy kierownikiem działu tłumaczeń, bodajże w „Czytelniku”, i z panią Dąbską, która była kierownikiem tego samego działu w PIW-ie. Pani Trzeciakowska proponowała mi wtedy do przekładu Arnolda Bennetta „Opowieść o dwóch siostrach” – świetną i grubą, dwutomową powieść, którą przetłumaczyłem bardzo średnio. Jedno z tych wydawnictw zaproponowało mi też tłumaczenie Faulknera i mało brakowało, a stałbym się może takim specjalistą od Faulknera, jak Zieliński od Hemingwaya.

W każdym razie na pewno zacząłbym się specjalizować jako tłumacz, gdyby nie to, że powrócił do życia prawdziwy „Tygodnik”. Gdy wybuchł Październik, miałem podpisane trzy czy cztery umowy na tłumaczenie rozmaitych książek, ale musiałem wszystkie pozrywać i odesłać zaliczki, bo nie mogłem już tych spraw łączyć.

Poza tym wszystkim przez trzy lata zawieszenia „Tygodnika” napisałem też doktorat, na który miałem dużo czasu, zanim zacząłem robić przekłady.

– A nie miał Pan wówczas żadnych kontaktów z paxowcami? Nie próbowali Pana kusić, namawiać do współpracy?

Właśnie, zapomniałem panu powiedzieć, że przetłumaczyłem też w tym samym okresie jedną książkę dla Wydawnictwa PAX. Była to historia dla tamtych czasów dość typowa. Gdy przyjechałem do Lublina na kolejne wykłady – zdaje się wiosną 1954 – zatrzymała mnie bezpieka i przez 36 godzin byłem maglowany. Gdy mnie wypuścili, dałem o tym znać mojemu koledze z AK, Konstantemu Łubieńskiemu, który wówczas związał się z PAX-em. Zawiadomiłem go, że tyrapie mnie bezpieka, żeby wiedział, co się ze mną stało, jeżeli mnie aresztują. On zareagował na to w typowo paxowskim stylu. Gdy przyjechałem do Warszawy, powiedział mi: „Rozmawiałem z moimi znajomymi w wyższych władzach, żeby cię zabezpieczyć, ale musisz przynajmniej przetłumaczyć dla nas jakąś książkę, żebyśmy mieli podstawę do bronięcia ciebie”. W roku 1947, kiedy byliśmy jeszcze w zupełnie normalnych stosunkach i uważaliśmy, że można się z nimi dogadać, przetłumaczyłem dla PAX-u „Sedno sprawy” Grahama Greene’a. Wtedy uważałem, że nie ma w tym nic zdrożnego. Pisałem także w „Dziś i Jutro”, z którego przecież wyrósł PAX. Ksiądz Piwowarczyk próbował mnie nawet w związku z tym przyprzeć do muru. „Jak pan pisuje w „Dziś i Jutro”, to niech pan nie pisze w „Tygodniku” albo niech pan pisze tylko w „Tygodniku”. Powiedziałem wtedy, że wobec takiego ultimatum, będę pisywał tylko w „Dziś i Jutro”. Potem jednak wróciłem, bo paxowcy przestali mi się podobać. W każdym razie tłumaczenie „Spokojnego Amerykanina” zrobiłem dla PAX-u w sytuacji trochę przymusowej – grzeczność za grzeczność. Był to już ostatni mój bliższy kontakt z PAX-em, chociaż wówczas też jeszcze zupełnie nie zrezygnowaliśmy z tego, że się z nimi kiedyś dogadamy i nawrócimy ich na nasz sposób myślenia.

– Chciałbym jeszcze zatrzymać się nad okresem zawieszenia „Tygodnika” i zapytać Pana o perspektywę, jaką Państwo mieliście w tamtych latach. Czego się wówczas spodziewaliście po przyszłości?

Uważaliśmy, że to są „Dark Ages”, mroczne wieki, które w miarę sił i możliwości trzeba przetrwać, nie tracąc pewnego kapitału zaufania czy wartości moralnych. Dla nas samych były one tak ważne, że niezależnie od tego, co myślała publiczność, nie mogliśmy z nich zrezygnować. Była to postawa trochę conradowska, ale zawsze uważaliśmy, że jakieś światło na końcu tego tunelu jednak widać, że po iluś latach sytuacja się poprawi, i że trzeba do tych nowych czasów, do tej następnej epoki przenieść pewne wartości nienaruszone. Stąd ciągle przemyśliwanie, na tle spraw bieżących, jednej z tych wartości, jaką jest polska tradycja historyczna. Uważaliśmy, że nie możemy pozwolić, by nas pozbawiono zdolności sensownego myślenia o historii. Gołubiew zawsze zwracał szczególną uwagę na to, że w młodszym pokoleniu uderza go brak zmysłu historycznego. Może jest to cecha każdej młodości, ale młodzież wychowana w pierwszym okresie Polski Ludowej była odcinana nie tylko od znajomości historii, lecz nawet od świadomości historycznej, od wycucia tego, czym w ogóle jest przemiana dziejowa. Było dla nas niezwykle ważne, żebyśmy przynajmniej my, którzy byliśmy trochę starsi, i którzy mieliśmy pewne doświadczenie, tę świadomość przechowywali w miarę nienaruszoną.

Zawsze uważaliśmy więc, że wcześniej czy później do jakiejś działalności wrócimy i w związku z tym zastanawialiśmy się, jak ona powinna wyglądać. Ciągle obgadywaliśmy sprawy Kościoła właściwie w duchu Soboru Watykańskiego II. Zresztą w sprawach Kościoła zawsze byliśmy radykalni, ja w związku z tym miałem cudowne spotkanie z arcybiskupem Sapiehą. Kiedy byłem studentem polonistyki, w pierwszym okresie „Tygodnika Powszechnego”, zostałem wiceprezesem koła polonistów i poszedłem z delegacją różnych wydziałów Uniwersytetu Jagiellońskiego do arcybiskupa Sapiehy, żeby mu zaproponować wprowadzenie zmian w Kościele polskim. Pomysł był obłądny, bo, oczywiście, nie rozumieliśmy, jaka jest struktura hierarchiczna Kościoła i w ogóle wiedzieliśmy mało, ale uważaliśmy, że Kościół jest instytucją, która działa na zasadach pod wieloma względami przestarzałych i nie rozumie nowych czasów. Uważaliśmy, że trzeba to wszystko Sapieżę wytłumaczyć, bo jednak uważaliśmy, że to jest bardzo porządny biskup. Pamiętam, jak Sapieha stał naprzeciwko nas – drobny, wyprostowany, z wielkim zaciekawieniem słuchający mojej oracji – aż w pewnym momencie zaczął zacierać ręce, mówiąc: „ale pan ciacha, ale pan ciacha”.

W każdym razie radykalne stanowisko w sprawach Kościoła reprezentowaliśmy przez cały czas, choć było ono, oczywiście, mniej naiwne – głównie dzięki doskonałej znajomości historii przez Morstinową, Turowicza i Gołubiewa. Uważaliśmy, że jeżeli nie nastąpią bardzo głębokie zmiany w Kościele, z chrześcijaństwem będzie źle.

Co do spraw politycznych, mieliśmy nadzieję, że od momentu, kiedy w Polsce zaczną się jakieś głębsze zmiany – a nie myśleliśmy chyba, że nastąpi to po zaledwie trzech latach – ten proces będzie się już dalej toczył. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że zaczną się „ups and downs”, które właściwie nie będą miały końca. Byliśmy więc per saldo zbyt wielkimi optymistami. Dziś nasze ówczesne oczekiwania oceniam jako dość, czy może nawet bardzo naiwne, bo wiem, że ten system pod wpływem pewnych okoliczności może wykonać różne manewry, ale w swojej istocie jest niereformowalny. Wtedy nie potrafiliśmy jeszcze wyobrazić sobie takiej kategorii – wszystko wydawało nam się reformowalne.

W tym okresie mieliśmy też szereg rozmaitych rozmów z Piaseckim. Paxowcy szalenie chcieli nas wciągnąć w koncepcję Piaseckiego, która polegała na tym, żeby zawładnąć politycznie Kościołem. On to nazywał gestią. Kulturę – bardzo dobrze, niech robią inni – ale on musi mieć gestię polityczną, bo on jeden wie, jak to powinno wyglądać, więc kiedy będzie sterował Kościołem w Polsce, sprawy pójdą jak najlepiej. „Gestia” – to było ukochane słowo

Piaseckiego. Niejednokrotnie jego ludzie przyjeżdżali do nas, żeby nas przekonywać. Pamiętam, że zwłaszcza Łubieński przyjeżdżał z awanturami o nasze trzymanie się na uboczu, które nazwał emigracją wewnętrzną.

– Wspominał mi Stanisław Stomma, że utrzymywaliście Państwo kontakty z Dobraczyńskim i z innymi pracownikami ukradzionego „Tygodnika”...

– Ja nie. Z Dobraczyńskim, od czasu jego zakopiańskiego migania się, nie utrzymywałem już kontaktów. Raz tylko, kiedy przyjechał Graham Greene, Dobraczyński zatelefonował do mnie, że Greene chce się ze mną widzieć, ponieważ przetłumaczyłem „Sedno sprawy”. Wówczas, jakimś bardzo późnym wieczorem, Dobraczyński przyprowadził Greene’a do pewnego mieszkania, gdzie wszyscy się zebraliśmy, i odbyliśmy z nim długą rozmowę. Nazajutrz zaś parę osób pojechało z Greene’em do Zakopanego.

– I było to jedyne spotkanie z Dobraczyńskim przez te trzy lata?

– Żadnych więcej kontaktów nie pamiętam. Nie wykluczone jednak, że jeszcze go kiedyś spotkałem, bo przecież prowadziliśmy rozmowy z paxiarzami. Kętrzyński był moim kolegą z podchorążówki i próbował z nami na rozmaite tematy dyskutować. Lubieński był starym kolegą i przyjacielem z AK, więc też utrzymywaliśmy kontakty, chociaż się z nim szalenie spierałem, i nawet w pewnym momencie obraził się na mnie – za list, który do niego napisałem. Jednym słowem, wśród napięć i tarć między naszymi środowiskami, pewne kontakty towarzyskie staraliśmy się jednak utrzymywać. Rozmawialiśmy nawet z Piaseckim raz i drugi, mając jeszcze – malejące wprawdzie – nadzieję, że może z tego coś pozytywnego wyjść.

– Ostatnią taką rozmowę z początku 1956 roku wspominał w swej książce Andrzej Micewski.

– Mieliśmy jeszcze wtedy nadzieję przekonać Piaseckiego, że lepiej będzie dla niego z honorem wyjść z tej całej afery, oddając nam, zawłaszczony przez PAX „Tygodnik”, który już wówczas i tak przestał się ukazywać.

– A na czym polegała ta niezwykła niegrzeczność, której dopuścić się Pan miał wobec Piaseckiego, i którą przypomina Micewski?

– Powiedziałem wówczas Piaseckiemu coś w tym rodzaju, że „jeżeli pan tak stawia sprawę, iż chce pan oddać dobro zabrane, ale pod warunkiem zachowania gestii politycznej, to powiem panu, że wolę rozmawiać z KC”. Bardzo go to dotknęło, choć uważam, że nie było w tym nic niegrzecznego. Było to po prostu szczerze postawienie sprawy. Piasecki odebrał to jednak jako straszliwą impertynencję. Kilka miesięcy później rzeczywiście odbyliśmy rozmowę z Gomułką, dzięki której odzyskaliśmy i „Tygodnik”, i „Znak”, a jeszcze dostaliśmy miejsca w Sejmie. Z tej rozmowy pamiętam tylko to, że Gomułka palił papierosy w bardzo zabawny sposób. Przecinał je mianowicie na pół i wsadzał te połówki w jakiś dziwny druk, za który trzymał paląc. Widocznie w ten sposób starał się odzwyczaić od palenia. Poza tym robił sympatyczne wrażenie i z dużą – jak nam się wydawało – otwartością mówił o swoich kłopotach, o problemie rosyjskim, o Natolinie. Wydawało nam się to niesamowite, że ktoś szczerze rozmawia z gronem ludzi, których widzi pierwszy raz w życiu, i których uważa za przeciwników. Byliśmy przekonani, że przynosimy pewną propozycję sojuszu społecznego, ale on tak nie sądził. Na zasadzie zdrowej i w tym wypadku zapewne słusznej dialektyki zaklasyfikował nas jako przeciwników, z którymi jednak w tym momencie można rozmawiać. Muszę przyznać, że bardzo mi się wówczas spodobał, ale nigdy więcej z nim już nie rozmawiałem, więc trudno mi powiedzieć, na ile ta otwartość była funkcją chwili – jak należałoby sądzić z tych zmian w linii jego postępowania, które wkrótce miały nastąpić. Tak czy inaczej, po tej rozmowie miałem nadzieję, że naprawdę powstała możliwość wypracowania trwalszego porozumienia.

Nieco później kilka razy rozmawiałem z Kliszką i wówczas tę nadzieję straciłem, bo Kliszko był człowiekiem niezwykle nieufnym. Tacy ludzie często mają przeświadczenie, że

rozmówca chce ich wykiwać, a oni nie potrafią zrozumieć, na czym to kiwanie polega. Wobec tego odmawiają wszelkiego kredytu zaufania. Tak właśnie zachowywał się Kliszko. Przystępował do rozmowy z najgłębszą nieufnością i widać było, że cały czas bardzo stara się dociec, gdzie kryje się ten haczyk, na który chce się go złowić.

– Wróćmy jeszcze na chwilę do okresu, w którym nie było „Tygodnika”. Jak wyglądała, wspomniana przez Pana, pomoc, którą organizował Ksiądz Bardecki? Mówił mi on, że niektórzy z Państwa otrzymywali wówczas pensje wypłacane przez Księdza Machaya.

– Nie, pensji nie otrzymywaliśmy. Ja od księdza Machaya, jak już panu mówiłem, pożyczałem pieniądze, które oddawałem w przewidzianych terminach. Od czasu do czasu otrzymywaliśmy natomiast jakieś zasiłki. Być może, że od strony księdza Bardeckiego wyglądało to na pensje. Być może, ksiądz Machay wyznaczył nawet jakąś stałą kwotę, o której Andrzej Bardecki wiedział, a my nic, przecież to on te pieniądze rozdelał. Przypominam sobie, też różne inne formy pomocy ze strony Kościoła, ale nie potrafię powiedzieć, jakie to miało znaczenie dla naszych budżetów. Na pewno było to cenne wsparcie, ale nie wydaje mi się, żeby mogło ono stanowić podstawę utrzymania rodziny. Myśmy jednak przez cały ten czas niesłychanie cienko przędli, niezależnie od stopnia naszego wysiłku. Pamiętam, że moja żona, która wtedy spodziewała się drugiego dziecka, do samego rozwiązania przepisywała na maszynie moje tłumaczenia. Mowy nie było, żeby pozwolić sobie na opłacenie maszynistki. Nie mieliśmy też żadnych oszczędności, bo „Tygodnik”, który z początku był pismem kurialnym, przynajmniej finansowo, okazał się instytucją nadzwyczaj skąpą. Ksiądz Mazanek pakował wszystkie wpływy do jednej kieszeni, a z drugiej wydobywał pieniądze, które były nam niezbędnie potrzebne na wydanie następnego numeru. Kiedy „Tygodnik” przestał wychodzić musieliśmy więc liczyć się naprawdę z każdym grosikiem. Pamiętam z tamtych lat szalony entuzjazm mojego syna, kiedy wyjątkowo kupiłem mu w kiosku „Płomyczek” albo czekoladkę. Radość była nieopisana, bo nie psuliśmy dzieci prezentami. Nieustannie trzeba było kalkulować, co i kiedy człowiek potrafi oddać w ramach spłacania długów, które właściwie ciągle się zaciągało i spłacało. Na pewno jednak bez tej pomocy kościelnej było by nam znacznie ciężiej.

– A czy Pańska żona pracowała wówczas?

– Nie. Nasz starszy syn urodził się w roku 1949, a córka cztery lata później – w roku zamknięcia „Tygodnika” – i nie mieliśmy nikogo, kto mógłby zająć się dziećmi. Moja żona musiała więc wychowywać tych dwoje i prowadzić całe gospodarstwo. W dodatku przepisywała mi sporo rzeczy na maszynie.

– Czy po rozwiązaniu „Tygodnika” rozważaliście Państwo taktykę z ostatnich miesięcy jego istnienia? Czy na tym tle nie pojawiły się między Państwem jakieś różnice?

– Różnice zdań pewnie były. Zarysowały się one już w okresie poprzedzającym rozwiązanie „Tygodnika”, o czym mówiłem w związku z koncepcjami Stommy. Poza tym nie przypominam sobie rozbieżności wewnątrz zespołu. Wszyscy uważaliśmy raczej, że dobrze wybrnęliśmy z tej sytuacji, i zawsze główną zasługę przeprowadzania nas przez te wszystkie Scylle i Charybdy przypisywaliśmy Gołubiewowi. Drugą osobą, która odegrała tu kluczową rolę był Jerzy Turowicz. To nie znaczy, że Stomma też nie miał znakomitych pociągnięć, pomysłów, rozmów i tak dalej. Tylko, że bywały one nieraz naszym zdaniem albo nierealne, albo ryzykowne.

– A czy kompromisy, na które redakcja przystała w okresie bezpośrednio poprzedzającym likwidację „Tygodnika”, a które nie przyniosły żadnego pożytku, nie budziły później żadnych kontrowersji?

– Tego nie analizowaliśmy. Byliśmy wówczas tak zmęczeni zawieraniem tych kompromisów, były one wynikiem tak ostrych i nekających pertraktacji, że z chwilą kiedy odbępniliśmy już to, nie mieliśmy ochoty na dalsze rozważania. Może zostało nam pewne poczucie niesma-

ku, ale nie pamiętam żebyśmy kiedykolwiek przeprowadzali wnikliwe analizy, bo z tego i tak nic by nie wynikało. Oczywiście było wiadomo, że w przypadku mniejszych nacisków niektóre rzeczy napisalibyśmy inaczej, albo nie napisalibyśmy ich w ogóle, ale żadna nauka nie płynęła z rozważania tego, co by było gdyby było. Natomiast nie mieliśmy nigdy poczucia wstydu z tego powodu, że coś wydrukowaliśmy. Te teksty, które dziś mogą dziwić, w kontekście ówczesnej prasy polskiej i wielotygodniowych awantur o każde słowo, wydawały nam się i tak względnym sukcesem. Ponieważ zaś Gołubiew uczył nas wtedy, że każdy sukces w polityce jest tylko sukcesem względnym, nie wracaliśmy do tych spraw. Muszę te teksty kiedyś przeczytać, bo wiem, że mi się nie spodobają, ale ciekaw jestem, jak bardzo.

– Były trzy teksty, które w numerach z 1953 roku wzbudziły moje zdziwienie. Reportaż z kongresu pokojowego w Wiedniu, oświadczenie na temat procesu Kurii Krakowskiej i oświadczenie „Sprawa odpowiedzialności”.

– To właśnie były nasze „spadochrony”. Ja też napisałem wtedy artykuł, który miał stanowić jeden z takich „spadochronów”, ale nigdy się nie ukazał. Była to recenzja z wydanej w Paryżu książki Konarskiego, o kanoniczkach warszawskich. Wydawało nam się, że jeżeli napiszemy krytyczną recenzję o kanoniczkach warszawskich, będzie to odczytane jako swoista forma opowiedzenia się za tak zwany postępem społecznym. Ku naszemu zdziwieniu ten tekst też nam skonfiskowali.

– Dlatego, że książka ukazała się w Paryżu, czy dlatego, że podejrzewali, iż pod pozorem krytyki w gruncie rzeczy propagujecie instytucję kanoniczek?

– Nie wiem, czy chodziło o to, czy po prostu uważali, że wszystko trzeba nam skonfiskować. Jak pan wie, były numery, które konfiskowali od deski do deski. Wtedy wszystko szło pod nóż, bez względu na to, czy było za, czy przeciw.

– Proszę Pana, w redakcji wznowionego, prawdziwego „Tygodnika Powszechnego” spotkali się niemal wszyscy jego wcześniejsi pracownicy. Jasne są dla mnie powody, dla których nie wrócił Jan Józef Szczepański. Nie bardzo natomiast rozumiem, dlaczego w odnowionej redakcji zabrakło Księdza Piwowarczyka. Obiekcje władz wobec jego osoby nie były już chyba obowiązujące?

– O ile pamiętam, był już wówczas poważnie chory. Poza tym, jak mi się wydaje, uważał, że, jego epoka w jakimś sensie minęła i postanowił trzymać się na uboczu życia publicznego. Myślę, że był większym niż my wszyscy realistą, i nie bardzo ufał naszemu wczesnemu entuzjizmowi. Spodziewaliśmy się, że zaczyna się nowa era, a on, zdaje się, w tę nową erę nie wierzył i oczekiwał raczej powrotu do tego, co wówczas nazywało się okresem błędów i wypaczeń. W każdym razie przed śmiercią jakby się od nas oddalił. Żeby ten dystans wytłumaczyć, wystarczy jednak stwierdzić, że uważał nas na politycznych głuptasów, kiedy rzucaliśmy się głową naprzód do Sejmu i Frontu Jedności Narodu. Z drugiej strony, do końca miał tą nadzwyczajną młodzieńczą świeżość w reagowaniu na różne rzeczy. Był z natury człowiekiem, który tam, gdzie mógł, tam by się angażował w rozmaite dobre sprawy. Tak jak przed wojną angażował się na przykład w reformę rolną. Wobec naszej postawy po 1956 roku miał jednak załamania, wynikające z realizmu, ze znajomości rządzącej doktryny i historii. Wiedział już wówczas to, czego my dowiedzieliśmy się dopiero po kilku latach – że chociaż historia, podobno, się nie powtarza, bywają jednak okresy, kiedy nie potrafi wyjść z męczącego, jałowego koliska nieustannych nawrotów.

Rozmowa z Janiną Gołubiew

Każdy zajeżdżający w nocy czy nad ranem samochód budził w nas obawę, że to może przyjeżdżają po Talinka.

– Jak przypomina Pani sobie okres poprzedzający rozwiązanie „Tygodnika”?

– Przypominam sobie jedno wydarzenie, które przeżyłam niezwykle mocno i dlatego szczególnie utkwiło mi w pamięci. Otóż po różnych, trwających od dłuższego czasu, rozmowach redakcji z władzami wezwano mego męża do Warszawy na dalsze pertraktacje z Mazurem. Zdaje mi się, że próbowano go namówić na objęcie stanowiska redaktora naczelnego, narzucając jednocześnie swoje warunki między innymi dotyczące zmian personalnych. Pojechałam do Warszawy razem z mężem. Byłam bardzo przejęta, bo Tolinek był w tym czasie nerwowo wyczerpany, nie spał nocami, wpadał w stany lękowe. Towarzyszył nam Jacek Woźniakowski. Spodziewałam się, że wspólnie będą przygotowywać rozmowę, tymczasem w poprzedzający ową rozmowę wieczór Jacek wyszedł. Byłam zawiedziona i rozżalona. Kiedy po kilku dniach wspominałam mężowi o swoim żalu, Tolo powiedział, że Jacek właśnie bardzo mu pomógł w przeprowadzeniu tej rozmowy – przeczytał mu bowiem fragment z Ewangelii „A gdy was wydawać będą, nie myślcie, jak i co macie mówić, bo onej godziny, co macie mówić, będzie wam dane. Nie wy bowiem jesteście, którzy mówicie, lecz Duch Ojca Waszego, który w was mówi” (Mt. 10, 19–20).

Rano, zanim Tolinek poszedł na dziesiątą do Mazura, wstąpiliśmy do kościoła Sióstr Wizytek, obok którego zatrzymaliśmy się w mieszkaniu księdza Zieji. Tolinek wyszedł po krótkiej modlitwie. Ja zostałam i modliłam się, dopóki kościoła nie zamknięto. Potem usiadłam pod kościołem i modliłam się do piątej po południu, zanim nie zobaczyłam wracającego Tolinka. Dobięłam do niego. Był bardzo zmęczony i oznajmił, że zerwał wszelkie pertraktacje. Odetchnęłam z ulgą, że skończyła się ta cała szarpanina. Dla dobra sprawy i dla dobra pisma innego wyjścia nie było. Dlatego zdziwiłam się bardzo, że na tę wiadomość Ziuta Golmont (obecnie Hannelowa), która rano przywiozła pilny list od Stacha Stommy, i razem z Jackiem czekała na nas u księdza Zieji, wybuchnęła głośnym płaczem. Tolo mi potem wytłumaczył, że nie było w tym nic dziwnego; Ziuta była młodą dziennikarką, dopiero weszła do tej pracy, a tu wszystko się przed nią zamknęło. Gdy Tolo opowiadał, byłam tak poruszona i przejęta jego stanem, że nie docierała do mnie treść rozmowy z Mazurem. Wiem, że przez te siedem godzin na wszelkie konkretne propozycję Tolinek odpowiadał długimi, ogólnymi kwestiami, dotyczącymi podstawowych wartości. Potem jakimiś określnymi drogami dotarło do nas, że po tej rozmowie Mazur powiedział: „Ten Gołubiew to mistyk! Mistyk!”. W czasie owej relacji u księdza Jana Zieji zorientowałam się, że Jacek krytykuje jakieś posunięcie Tola. Jak lwica rzuciłam się na Jacka. Z wielkim gniewem i żalem wyrzuciłam mu, jak może jeszcze dręczyć Tolinka, który całą noc nie spał, a teraz jest zupełnie wyczerpany przeprowadzoną rozmową. Dwa razy w życiu miałam takie napady furii i oba trafiły na Jacka. Ksiądz Zieja, który to słyszał, kilkakrotnie powtarzał: „za mocno, za mocno. ...”

Byłam wyraźnie uspokojona, że cała sprawa się skończyła, mimo iż zdawałam sobie sprawę z możliwych konsekwencji. Poprzedniego dnia wieczorem spacerowaliśmy z mężem po ruinach Starego Miasta i rozmawialiśmy o skutkach naszej postawy. Byliśmy przygotowani na wszystko. Usiłowałam wtedy uspokoić Tolinka, przekonując go, że nawet najgorszą ewentualność trzeba przyjąć z całą gotowością i spokojem, bo przecież nie ona jest w życiu najstraszniejsza. Miałam nadzieję, że mu to pomoże w mającej się odbyć rozmowie.

– Powiedziała Pani o najgorszej ewentualności – co to znaczy? Czego się Państwo wówczas spodziewaliście?

– Spodziewaliśmy się, że mogą Tolinka zatrzymać, aresztować, wytoczyć mu proces. A proces mógł się zakończyć najtragiczniej. Uważaliśmy, że nawet, ewentualność śmierci nie jest największym złem. Ogólne zaniepokojenie i napięcie zwiększyło się w czasie pertraktacji z Siemkiem, który rozmawiał bardzo ostro. Trzynastego czerwca 1953 roku, w dniu imienin Tolinka, kiedy cały zespół tygodnikowy gościł u nas, zadzwonił ktoś z wiadomością, że dyrektor Siemek czeka w „Tygodniku” na jakieś wyznaczone osoby – bodajże na Hanię Malewską i kogoś jeszcze. Czy pan wie, że oni pożyczyci wtedy ode mnie ręczniki, swetry i bieliznę, spodziewając się, że mogą nie wrócić? Człowiek nigdy nie był pewien co go spotka. Pamiętam na przykład, że wiele rękopisów Tolinka wynieśliśmy z domu i przechowaliśmy u krewnych, licząc się z możliwością rewizji, i obawiając się ich zaprzepaszczenia. Było w naszym nastawieniu trochę przesady, bo w końcu nikogo z nas nie zamknięto. Mój mąż bardzo się jednak bał więzienia – nie znosił zamkniętej przestrzeni, straszliwie też z tego powodu męczył się w szpitalu. Na pewno odgrywała tu także rolę jego niezwykle żywa wyobraźnia, która w sposób plastyczny ukazywała wszelkie możliwe związane z tym przejścia i potęgowała lęk. Z pewnością, jako artysta, przeżywał te sprawy szczególnie głęboko.

– Tym bardziej godna podziwu jest więc jego niezłomna postawa.

– Tak, ale go to bardzo dużo kosztowało. Miał silne stany lękowe, nie spał i nie mógł pisać. Dom, w którym mieszkaliśmy, stał przy małej, ślepej uliczce.auta były tam rzadkością. Pamiętam, że każdy zajeżdżający w nocy czy nad ranem samochód budził w nas obawę, że to może przyjeżdżają po Tolinka. Potem te lęki mu przeszły, ale w latach siedemdziesiątych, z powodu złego stanu serca, depresje lękowe znów wróciły.

– A z czego Państwo żyliście, kiedy „Tygodnik” zamknięto?

– Z tym było bardzo różnie, trochę z odczytów i wieczorów autorskich (przeważnie w seminariach i parafiach). Przed Bożym Narodzeniem robiliśmy zabawki choinkowe. Karton oraz skorupki od orzechów stanowiły materiał dla naszych złoconych i malowanych ozdóbek. Było to bardzo znaczące źródło dochodów. Zresztą wspólnie z nami zarabkowały w ten sposób inne osoby, między innymi, przez pewien czas, Ela Stommowa. Oddawaliśmy się temu zajęciu z wielkim zapałem. Tolinek wszystko, co robił, robił z pasją – i ta robota go do pewnego stopnia bawiła. Wymyślał raz po raz nowe modele. Problem stanowiła natomiast sprzedaż zabawek. Bardzo była nam w tym pomocna zaprzyjaźniona lekarka, Wanda Półtawska – człowiek bez reszty oddany niesieniu pomocy innym i to pomocy wszelkiego rodzaju, nie tylko lekarskiej – która zaczęła z wielkim powodzeniem sprzedawać zabawki. W tym czasie przydały nam się doświadczenia z czasów wojny, kiedy mój mąż robił zabawki z drewna. I wie pan, wtedy też robił je z ogromnym zaangażowaniem. Pamiętam go takiego pochylonego z laubzegą nad kawałkiem dykty, ogromnie skoncentrowanego przy tej pracy.

– A czy nie mieli Państwo poczucia krzywdy, poczucia traconego czasu w tych latach już powojennych, w latach Polski „wyzwolonej”, która znów zepchnęła Was do takich ciężkich, prymitywnych zajęć?

– Na pewno gdzieś w głębi duszy musieliśmy mieć coś z takiego poczucia, ale Tolinek takim stanom nie ulegał. Poza tym w ciągu tamtych lat dużo pisał (wówczas powstały „Rozdroża”), a w czasie, gdy robił zabawki, mając myśl niczym nie zajęta, pracował nad powieścią. Traktował to zajęcie jako relaks czy rodzaj pasjansu, który dawał mu czas na domyślenie jakichś powieściowych kwestii lub rozwikłanie trudności. Ten okres zasadniczo tak bardzo nie odbiegał od trybu normalnego naszego życia. Zawsze naczelną sprawą było dla Tolinka piarstwo. Pisał nawet wtedy, kiedy dookoła aresztowano i wywożono ludzi, kiedy niebezpieczeństwo zagrażało wszystkim. Przy małej „kopciłce” (to taki knocik zanurzony w nafcie, dający słabe światło) potrafił oderwać się od rzeczywistości i pisać. Żyć ze swoimi bohaterami.

– Ciekaw jestem, czy Państwo spodziewaliście się, że ta sytuacja, w której znaleźliście się po rozwiązaniu „Tygodnika” w 1953 roku, będzie trwała długo? Czy byliście wówczas przygotowani na to, że przez całe życie będziecie już lepiłi te zabawki z tektury i orzechów?

– Nie. Wyraźnie traktowaliśmy tę sytuację jako coś prowizorycznego. Absolutnie nie przygotowaliśmy się do życia w ten sposób przez dłuższy czas. Byliśmy przekonani, że coś się musi zmienić, że taka sytuacja nie może trwać długo. Co innego, że mąż mój był człowiekiem, który licząc się z realną sytuacją i uważając, że należy działać właśnie w tej konkretnej, realnej sytuacji, nieugięcie bronił właściwej postawy moralnej i patriotycznej. Zawsze uważał, że istnieje pewna granica kompromisu. Wówczas, w 1953 roku, wszelkie ustępstwo byłoby właśnie przekroczeniem tej granicy. Dlatego nie wolno było ustąpić.

– A jak wyglądały stosunki wewnątrz redakcji po rozwiązaniu „Tygodnika”? Czy utrzymywaliście Państwo ze sobą bliższe kontakty?

– Tak, jak najbardziej. Mieliśmy bliskie kontakty z Zofią Starowieyską-Morstinową, Marią Morstin-Górską, ze Stommami, z Turowiczami, z Woźniakowskimi, z Hanią Malewską, z Kisielewskimi. Te więzy były bardzo mocne i już wówczas bardzo przyjacielskie. Przypominam sobie popołudnia na Jaskółczej, podczas których Tolinek czytał nowe rozdziały „Bolesława Chrobrego”. Cenił bardzo opinię swoich tygodnikowych przyjaciół. Podobnie Jerzy Zawieyski; przyjeżdżał z Warszawy i czytał u Zosi Morstinowej swoje dramaty. U Zosi też odbywały się częste dyskusje, między innymi na temat aktualnej sytuacji. Spotykaliśmy się także, aby zagrać w szarady, na partię brydża lub żeby zatańczyć. Do Stommów na Czarnowiejską biegliśmy na „nogę”. To taka gra, przypominająca kierki, której nauczył nas Kisiel – bardzo zabawna i dowcipna. Partyjki ze Stommami dawały chwile wytchnienia i możliwość oderwania się od ponurej rzeczywistości.

– Ze Stommami znaliście się Państwo chyba jeszcze z okresu wileńskiego?

– Eli jeszcze wtedy nie znaliśmy, natomiast Stacha już bardzo dobrze.

– A jak wyglądały kontakty z ludźmi spoza redakcji? Słyszałem, że zrobiło się wówczas wokół Państwa dość pusto...

– Nie, nic podobnego. Kontakty z ludźmi spoza „Tygodnika” były bardzo ożywione. Spośród ówczesnych przyjaciół mogę wymienić dla przykładu Półtawskich, Klottów, Mroczkowskich, Niewodniczańskich, Deskurów, Leonie Jabłonkównę (zwaną przez przyjaciół Jelonką), Tilę Osterwinę. W tym czasie poznaliśmy też wiele osób z którymi znajomość w następnych latach przerodziła się w głęboką przyjaźń – myślę przede wszystkim o Andrzejostwie Potockich. Mamy także dużą rodzinę, z którą stosunki były zawsze bardzo żywe i bliskie. Spotykaliśmy się też z niektórymi uczestnikami nieformalnego seminarium dziennikarsko-formacyjnego, które mój mąż prowadził w latach czterdziestych w mieszkaniu na Jaskółczej. Brało w nim udział około dziesięciu osób.

– A czy nie przypomina Pani sobie ich nazwisk?

– Byli wśród nich: Zygmunt Skórzyński, Jan Paweł Gawlik, Jan Kmiecik, Andrzej Korzeniowski, Anna Górska, ale więcej nazwisk nie pamiętam. Przypominam sobie tylko, że zawsze przynosiłam im herbatę i świeżo upieczone ciastka, bo, jak każdej wileńskiej gospodyni, sprawiało mi wielką przyjemność częstowanie gości.

– Było to więc dla Państwa kosztowne przedsięwzięcie?

– Jak się coś robi w domu, nie kosztuje to wiele. Ale wracając do naszych kontaktów z ludźmi, muszę wspomnieć o jeszcze jednym ich rodzaju. Mój mąż dla wielu osób był autorytetem artystycznym i moralnym. Zwracano się więc do niego z problemami literackimi i życiowymi. Ktoś przychodził z jakimś rękopisem do oceny lub po dedykację, ktoś inny z kłopotami małżeńskimi czy rodzinnymi, a także z innymi problemami życiowymi na przykład dotyczącymi wiary. Tolinka nazywano nawet żartobliwie „biskup Gołubiew”. Wkładał w te ludzkie sprawy całe swoje wrażliwe serce, ale spokoju, zwłaszcza do pracy, nie miał. Toteż

przez wiele lat, w czasie gdy pracował, wywieszał na drzwiach mieszkania w Krakowie kartkę:

Piszę –
Myśl raz przerwana nawiązuje się z trudem,
czasem ucieka na zawsze.
Błagam o nieprzerywanie
Antoni Gołubiew

Ale Tolo w tych latach pisał głównie poza Krakowem i poza redakcją – na Podhalu, gdzie spędzał długie miesiące w domku Marii Grzegorzewskiej, osoby niezwyklej, między innymi twórcy polskiej pedagogiki specjalnej.

– Chciałbym jeszcze wrócić do spraw materialnych. Zdaje się, iż Państwa sytuacja była nieco lepsza od sytuacji innych kolegów z „Tygodnika Powszechnego”. Mąż Pani w dalszym ciągu wydawał bowiem książki. W 1954 roku ukazała się na przykład dwutomowa czwarta część „Bolesława Chrobrego”.

– Tak, w 1954 roku PAX wznowił „Bolesława”, ale umowa została podpisana znacznie wcześniej. Naszą sytuację finansową poprawiły więc dopiero, wydane w latach 1954 i 1955, „Rozdroża” oraz „Listy do przyjaciela”.

– A jak w tych latach układały się Państwa stosunki z ludźmi z PAX-u?

– Stosunki z PAX-em, zerwane już wcześniej, tym bardziej były nie do pomyślenia po przejściu przez nich „Tygodnika”. Z czasem jednak, zarówno mój mąż, jak i inni autorzy, między innymi Hanna Malewska, nawiązali kontakty z wydawnictwem PAX-u. Nastąpiło pewne rozgraniczenie oceny stowarzyszenia i wydawnictwa. Mimo negatywnej oceny politycznej stowarzyszenia mój mąż, w porozumieniu ze środowiskiem tygodnikowym, zdecydował się na wydawanie w PAX-ie. Kontakty, jakie z PAX-em utrzymywał, były jednak jedynie kontaktami wydawniczymi. Kiedy powstało wydawnictwo „Znak”, chciał tam wydać „Bolesława”, podpisał nawet ze „Znakiem” umowę. Niestety, to wydawnictwo nie dysponowało wystarczającą pulą papieru i umowa musiała być rozwiązana.

– A czy w czasie, kiedy „Tygodnik” nie wychodził otrzymywaliście Państwo jakąś pomoc od Kościoła?

– Tolo zdecydowanie odmówił, licząc na ewentualnie możliwości wydawnicze. Uważał, że jakoś musimy sobie sami poradzić. Jednakże proboszcz naszej parafii, ksiądz Władysław Długosz, który najwyraźniej dowiedział się o naszych kłopotach finansowych, przysłał do nas zakrystiana i zamówił całą masę zabawek za 2000 złotych. To wtedy była duża suma. Pamiętam, jak tłumaczyłam temu zakrystianowi, że zostały nam tylko żabki, że wszystkie są takie same, bo to resztką, ale jego wcale to nie zrażało. Nie wiem, co ksiądz Długosz zrobił z tymi zabawkami. Zapewne rozdał je dzieciom w kościele. Drugim gestem pomocy z jego strony było zakupienie ode mnie całej serii pejzaży akwarelowych. Otrzymywaliśmy też od innych księży serdeczną, choć sporadyczną, pomoc rzeczową. Kilkakrotnie na przykład ofiarowano nam na Święta wspaniałego indyka. Miało to dla nas poważne znaczenie, bo w dużej mierze rozwiązywało sprawę Świąt. Nasza sytuacja materialna była w ciągu tych trzech lat bardzo trudna. Zresztą nie dotyczy to tylko okresu, gdy „Tygodnik” był zamknięty. Mąż miał na utrzymaniu dużą, ośmioosobową, rodzinę – w tym czwórkę dzieci – a z Wilna przyjechaliśmy praktycznie bez niczego. Potrzeb było więc bez liku. Nawet honoraria autorskie rozchodziły się bardzo prędko na wydatki najbardziej konieczne, albo zwrot pożyczek zaciągniętych w „latach chudych”. Cóż dopiero mówić o okresie, gdy nie było ani honorariów, ani stałej pensji. Musieliśmy żyć bardzo skromnie, o żadnych inwestycjach nie było mowy, dużym problemem stawał się każdy większy wydatek na odzież, książki, czy inne podstawowe rzeczy. Zda-

rzały się takie sytuacje, że w domu dosłownie nie było grosza na zakup żywności. Byłam pod tym względem nieuleczalną optymistką. Wielokrotnie mówiłam Tolowi, że przecież codziennie się modlimy „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”, i że nie należy się martwić o jutro. Moja beztroska nieraz Tolinka irytowała, ale, rzeczywiście, jakoś tak zawsze było, że w najtrudniejszych momentach pieniądze, nieraz niespodziewane, skądś napływały.

Rozmowa z Jerzym Turowiczem

*Nie przyjmowaliśmy twardej postawy opozycyjnej, nie mówiliśmy,
że nie oddamy ani paznokcia, choćbyśmy się mieli rozbić.*

*Uważaliśmy, że należy iść na pewne koncesje,
oczywiście w granicach przyzwoitości.*

– Zanim go zlikwidowano w 1953 roku, „Tygodnik Powszechny” wychodził blisko dziewięć lat, Pan zaś od ośmiu lat był już jego redaktorem naczelnym. Myślę, że dobrze by było zacząć naszą rozmowę od syntezy tamtego okresu, bo spodziewam się, że sytuacja pisma (choć zapewne nie jego zawartość) była lustrem, w którym odbijały się sprawy Kraju. Redakcję „Tygodnika” objął Pan w 1945 roku. Jak wówczas wyobrażał Pan sobie to pismo? Cemu ono miało służyć?

– Wiadomo już wówczas było, że Polska wchodzi w nowy ustrój, wiadomo było, o co w tym socjalizmie czy komunizmie chodzi, ale niewiadoma była praktyka i zakres pluralizmu, z jakim będziemy mieli do czynienia. Mikołajczyk był jeszcze wicepremierem, istniało Stronnictwo Pracy, powstawały różne organy prasowe, zazwyczaj związane z obozem rządzącym; uważaliśmy więc, że powinno także istnieć pismo, które wyrażałoby poglądy katolików i zarazem je kształtowało. To był główny cel. Z tym, że „Tygodnik” od początku nie miał być pismem politycznym, choć, oczywiście, bliższy był Stronnictwu Pracy czy Mikołajczykowi niż PPS-owi czy PPR-owi. Nie wiązaliśmy się jednak z żadnym konkretnym ugrupowaniem politycznym, uważając, iż od utarczek politycznych ważniejsza, i może nawet bardziej konkretna, jest działalność opiniotwórcza, ideowa. To jest coś, co z tygodnia na tydzień w ludziach zostaje. Nie znaczy to, oczywiście, że „Tygodnik” nie zajmował się problemami politycznymi. Zwłaszcza ksiądz Jan Piwowarczyk – ówczesny *de facto* redaktor naczelny – prowadził z marksistami spory wykraczające poza problematykę czysto ideologiczną czy doktrynalną. Pisywali też tacy ludzie, jak Stanisław Kutrzeba, zabierający głos w sprawach politycznych tak dalece, jak na to pozwalała cenzura. Istotniejsza była jednak dla nas konfrontacja ideowa, znajdująca swój wyraz zwłaszcza w publicystyce księdza Piwowarczyka.

– Jak ważna i celna była ta polemika, dotycząca często spraw na pozór czysto filozoficznych, świadczy fakt, że gdy po czterdziestu latach „Znak” zebrał je w wydaniu książkowym, teksty zostały okaleczone ingerencjami cenzury, choć wydaje nam się, że żyjemy w okresie niezwyklej liberalizacji. Czy to znaczy, że kryteria cenzuralności były wówczas łagodniejsze niż obecnie, czy też po prostu nastąpiło jakieś przesunięcie akcentów?

– W pierwszym okresie, to znaczy w latach 1945–1946, cenzura była chyba rzeczywiście łagodniejsza niż teraz, ale bardzo trudno tamte czasy porównywać z naszymi. Niewątpliwie w całej historii „Tygodnika” najłagodniej działała cenzura w latach 1980–1981, to znaczy w okresie istnienia „Solidarności”. Można było wówczas mówić rzeczy, których nie mogliśmy powiedzieć w latach 1945–1946, ale także na odwrót. Pluralizm życia politycznego, istnienie legalnej opozycji politycznej, różnorodność ówczesnej prasy – to wszystko w latach czterdziestych sprzyjało wyrażaniu różnorodnych poglądów i wymagało od cenzury pewnego liberalizmu. Liberalizm, pluralizm, różnorodność zaczęły jednak się kończyć wraz z upadkiem Mikołajczyka.

– Jak w tych pierwszych latach układały się Państwa kontakty z władzami politycznymi?

– W ogóle sobie takich kontaktów nie przypominam. Mieliśmy, oczywiście, częste kontakty z cenzurą, kontaktowaliśmy się z Urzędem do Spraw Wyznań, może z Wydziałem Prasy KC, ale kontaktów czy rozmów z czynnikami politycznymi chyba nie miewaliśmy.

– To znaczy, że nie byliście wówczas traktowani jako środowisko polityczne?

– Nie. Środowiskiem politycznym w ścisłym tego słowa znaczeniu staliśmy się dopiero po

1956 roku, kiedy powstały Kluby Inteligencji Katolickiej, Koło „Znak” w Sejmie i całe środowisko „Znaku”. W pierwszych latach byliśmy tylko redakcją katolickiego czasopisma.

– A jak układały się stosunki redakcji z wydawcą, którym była Kuria Krakowska?

– Co prawda, koncesję na pismo uzyskał metropolita Sapieha, ale od samego początku, za obopólną zgodą, przyjęło się, że „Tygodnik” nie jest organem Kurii, lecz pismem niezależnym, będącym w służbie Kościoła. Dla Kurii i całego Kościoła krakowskiego „Tygodnik” był jednak instytucją ważną i docenianą. Przyczyniał się do tego fakt, że naszym pierwszym redaktorem naczelnym i późniejszym asystentem kościelnym został właśnie ksiądz Piwowarczyk – bardzo bliski Sapieże, zaufany, obdarzony przyjaźnią doradca księcia metropolity. Nie byliśmy więc organem Kościoła, ale jednak trochę pełniliśmy taką rolę i, siłą rzeczy, bywaliśmy tak postrzegani. Jeżeli zaś chodzi o jakieś kontakty dotyczące spraw redakcyjnych, to praktycznie ograniczały się one do spotkań z Sapiehą, jako ordynariuszem, który wyrażał swoje życzenia, a czasem zgłaszał krytyczne uwagi. Czasem też dochodziły do niego jakieś donosy na nas. Zawsze nam je lojalnie przekazywał, i wtedy ksiądz Piwowarczyk albo ja tłumaczyliśmy nasze stanowisko. Natomiast finansowo byliśmy całkowicie podporządkowani ówczesnemu kanclerzowi – księdzu Mazankowi. Kuria przejmowała dochody ze sprzedaży pisma i do kanclerza zgłaszaliśmy się po pieniądze, kiedy były nam na coś potrzebne. Ten układ nie był jednak zbyt wygodny dla obu stron, bo, po pierwsze – opinia społeczna obciążała Kościół krakowski odpowiedzialnością za to, co się w „Tygodniku” ukazało, a po drugie – za pośrednictwem „Tygodnika” Urząd Skarbowy wtrącał się do finansów Kurii, co Kościołowi, oczywiście, nie było na rękę. Dlatego nasze rozejście się z Kurią, jako wydawcą, w roku 1956 nie było żadnym krachem, odbyło się za obopólną zgodą i ku obustronnemu zadowoleniu.

– A sprawy programowe, czy one nie były przedmiotem kontrowersji? Państwo reprezentowaliście przecież dość postępowy nurt w katolicyzmie – myślę o wpływach francuskich, o personalizmie – podczas gdy Kościół polski był na ogół raczej zachowawczy i, zdaje się, że Kuria Krakowska nie stanowiła wyjątku.

– To nie było zupełnie tak, jak pan mówi, bo w „Tygodniku” istniały obok siebie różne nurty. Ksiądz Piwowarczyk, który był w przeszłości człowiekiem politycznie zaangażowanym, związany był z nurtem chrześcijańskiej demokracji. Ja, natomiast, i moi koledzy z „Odrodzenia”, którzy weszli do „Tygodnika”, jak Stomma i Gołubiew, reprezentowaliśmy nurt maritainowsko-mounierowski, a więc właśnie personalizm chrześcijański. Między personalizmem a nurtem chrześcijańsko-demokratycznym w zasadzie nie było konfliktu, one były komplementarne, uzupełniały się, więc w redakcji nie istniały podziały na tym tle. Natomiast personalizm, zwłaszcza w wydaniu mounierowskim, miał jednak trochę lewicowe zabarwienie, na skutek czego był czasem atakowany z pozycji konserwatywnych. Pamiętam na przykład, że gdy po śmierci Mouniera w 1950 roku napisałem o nim artykuł, ktoś doniósł Sapieże, iż lansuję człowieka, który wprawdzie nie jest jawnym komunistą, ale w każdym razie „niewiele mu brakuje”. Sapieha sam niezbyt dużo na temat personalizmu wiedząc, jakoś nam te zarzuty przekazał. Poszedłem więc do niego, powiedziałem kim był Mounier. Przyjął moje wyjaśnienia i na tym cała sprawa się zakończyła. W Kościele jako takim orientacja ideowa „Tygodnika” nie wywoływała wówczas specjalnych kontrowersji, choć, oczywiście, były różne odłamy, którym mogliśmy się nie podobać – myślę zwłaszcza o nurtach endeckich czy skrajnie prawicowych.

– Skoro wspominał Pan o prawicy laikatu i o endecji, chciałbym zapytać, jak układały się stosunki między Państwem a redakcją „Tygodnika Warszawskiego”, drugiego obok „Tygodnika Powszechnego”, ukazującego się wówczas poważnego pisma katolickiego o zainteresowaniach wykraczających daleko poza sprawy czysto konfesyjne.

– Nie wiem, czy pan studiował trochę dzieje „Tygodnika Warszawskiego”, ale, o ile sobie

przypominam, nie było chyba powodów, dla których te stosunki nie miałyby być dobre. Były raczej serdeczne i przyjacielskie. O ile pamiętam, założycielem „Tygodnika Warszawskiego” i, przez pierwszy okres, jego redaktorem naczelnym był ksiądz Zygmunt Wądołowski, postać dosyć barwna i wesoła, proboszcz jednego z kościołów na warszawskiej Pradze, z którym byliśmy w bardzo przyjaznych stosunkach, i u którego często bywaliśmy na obiadach. Zresztą wielu autorów „Tygodnika Warszawskiego” pisywało także u nas – między innymi Jerzy Braun i Konstanty Turowski. Mieliśmy też dobre stosunki z następcą księdza Wądołowskiego, księdzem Zygmuntem Kaczyńskim, który przed wojną był znanym chadeckim posłem na Sejm i dyrektorem Katolickiej Agencji Prasowej, w czasie wojny pełnił zaś nawet funkcję ministra w rządzie emigracyjnym. „Tygodnik Warszawski” był jednak pismem dużo bardziej politycznym, chrześcijańsko-demokratycznym, związanym ze Stronnictwem Pracy, i właśnie to polityczne zaangażowanie spowodowało kryzys, zamknięcie redakcji i aresztowanie zespołu. Koncepcja była więc odmienna, ale nasze stosunki układały się dobrze i nie przypominam sobie polemik między nami. Układało się to mniej więcej tak, jak z dzisiejszym warszawskim „Przeglądem Katolickim”.

– We wrześniu 1948 roku „Tygodnik Warszawski” został przez władze zlikwidowany, zaś jego redaktorzy skazani na wieloletnie więzienie, z którego nie wszyscy mieli wrócić. Jak to wpłynęło na Państwa wizję własnej przyszłości?

– No cóż, to już były lata stalinowskie, nasze życie też stało się niełatwe, bo rosły naciski cenzury i to nie tylko dotyczące tego, czego mamy nie pisać, ale także tego, co pisać powinniśmy. Było to już po referendum, wyborach, ucieczce Mikołajczyka i wyjeździe Popiela. Wdzieliśmy, w jakim kierunku sprawy zmierzają, więc oczywiście zamknięcie „Tygodnika Warszawskiego” dawało nam do zrozumienia, że i nas może taki los spotkać, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że nawet jeżeli tak się stanie, to w każdym razie mamy jeszcze trochę czasu. Natomiast nie mogliśmy przewidzieć, jak długo to potrwa.

– W tym samym okresie, w którym zlikwidowano „Tygodnik Warszawski”, zaczęła także zamierać dyskusja, jaką prowadziliście Państwo z marksistami, przede wszystkim z kręgu „Kuźnicy” i „Odrodzenia”. Czy cenzura była już zbyt ostra, czy też po prostu wszystko zostało powiedziane?

– Cenzura była, oczywiście, coraz ostrzejsza, ale polemika urwała się na dobre dopiero po zlikwidowaniu w 1950 roku „Kuźnicy” i „Odrodzenia”, które zostały zastąpione przez „Nową Kulturę”. To był chyba punkt zwrotny. Zresztą sytuacja ogólna nie bardzo sprzyjała wówczas poważnej dyskusji ideologicznej. Po wyborach nie było już na nią miejsca.

– A jak wyglądały w tym okresie Państwa stosunki ze środowiskami marksistowskimi, co to byli za ludzie?

– No, cóż, „Kuźnica” i „Odrodzenie” wychodziły w Łodzi, ksiądz Piwowarczyk, Kisiel, Jasienica prowadzili z nimi polemikę, ale osobistych kontaktów dużo nie było, bo nie podróżowaliśmy wiele. Mieliśmy natomiast jakieś kontakty z pisarzami tamtego kręgu, na przykład z Przybosiem, Kruczkowskim, Andrzejewskim, których znaliśmy jeszcze sprzed wojny, ale byli to raczej ludzie z peryferii marksizmu. Miewaliśmy natomiast kontakty z marksistami krakowskimi, z którymi – z inicjatywy bodaj Władysława Bieńkowskiego – odbyliśmy nawet zasadniczą debatę ideową. Marksistów reprezentował wówczas Bolesław Drobner, związany dawniej z lewicą PPS, a później ze Związkiem Patriotów Polskich i PZPR-em, Bieńkowski, Tadeusz Breza, a z naszej strony występowali głównie: ksiądz Piwowarczyk, Stomma, Gołubiew, chyba także Zawieyski. To był dosyć głośny wieczór dyskusyjny. Breza, który nigdy nie był członkiem partii, ale występował po tamtej stronie, powiedział wtedy pod adresem Bieńkowskiego: „dłużej pisarza niż dygnitarza”, co okazało się o tyle zabawne, że później Breza został dygnitarzem i umarł jako dygnitarz w dyplomacji, a Bieńkowski całkowicie wyszedł z aparatu władzy, przeszedł na pozycje niemal przeciwne i stał się pisarzem politycznym. W

każdym razie dyskusja była gorąca i dość szczegółowa, aż w pewnym momencie ktoś zauważył, że ksiądz Piwowarczyk lepiej zna marksizm niż Bolesław Drobner. Nieco później odbyło się w Warszawie podobne spotkanie z inicjatywy religioznawców marksistowskich z kręgu Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli. Głównym organizatorem był, zdaje się, Tadeusz Jaroszewski, a poza nim byli tam wówczas: Tadeusz Kotarbiński, Maria Ossowska, Jan Strzelecki, Leszek Kołakowski. Bywały później jeszcze takie inicjatywy, ale i one się skończyły w miarę tężenia ogólnej atmosfery. Co ciekawe, prawie wszyscy nasi ówcześni polemici bardzo się później do nas zbliżyli – jeżeli nie w sensie konfesyjnym, to przynajmniej politycznie, a w każdym razie odeszli z obozu rządzącego. Zresztą byli to bardzo różni ludzie. Byli literaci, którzy później zniechęcili się do marksizmu, jak Jerzy Andrzejewski, Paweł Hertz, Mieczysław Jastrun, Jan Kott, Seweryn Pollak, Adam Ważyk, Kazimierz Brandys. To byli ludzie działający z głębokich pobudek ideowych. Był Bolesław Drobner, reprezentujący liberalny odłam marksizmu, zresztą już wówczas człowiek stary, więc posiadający inną mentalność. Byli też tacy ludzie, jak Tadeusz Jaroszewski, liberalizujący konformista, niemalże człowiek aparatu. Była w końcu Maria Ossowska, która właściwie reprezentowała sama siebie i swoje szlachetne przekonania postępowo-lewicowe, dalekie jednak od socjalizmu realnego, którego zresztą jeszcze wtedy tak się nie nazywało. Jak pan widzi, nie da się naszych ówczesnych polemistów wrzucić do jednego worka, a patrząc z dzisiejszej perspektywy, trudno ich nawet ustawić obok siebie.

– Mam wrażenie, nie wiem czy Pan się ze mną zgodzi, że dla stosunków państwo-Kościół przełomowy był koniec roku 1952 – okres drugich po wojnie wyborów i uchwalenia konstytucji, ale także wysiedlenia biskupów świeckich, rewizji i aresztowań w Kurii Krakowskiej, internowania arcybiskupa Baziaka, narastających trudności w funkcjonowaniu Kościoła. Czy, gdy wydarzenia zaczęły biec tak szybko, zdawaliście Państwo sobie sprawę, że zbliża się moment graniczny, kończy się okres, w którym mógł istnieć „Tygodnik” redagowany wedle dotychczasowej formuły?

– Oczywiście, zdawaliśmy sobie sprawę z narastającego zagrożenia, bo coraz silniejszy był nacisk cenzury, i to zwłaszcza w postaci różnych żądań dotyczących tego, co powinniśmy byli napisać. Domagano się od nas zajęcia stanowiska wobec sprawy Kurii Krakowskiej, albo procesu biskupa Kaczmarka. Nie mogliśmy na ogół spełniać tych żądań.

– Jak wyglądała wówczas Pańska wizja przyszłości, jak wyobrażał Pan sobie dalszy rozwój sytuacji?

– Nic sobie nie wyobrażałem. Uważałem, że w sytuacji, jaka jest, należy próbować robić, co się da. Co do przyszłości – byłem nastawiony raczej pesymistycznie. Nie wierzyłem, żeby szło ku „siedemnastej republice”, jednocześnie spodziewałem się raczej coraz silniejszego nacisku totalizmu i odruchów oporu ze strony społeczeństwa, ale, oczywiście, wyniku nie byłem w stanie, i nawet nie próbowałem, przewidywać.

– A więc raczej liczył się Pan z tym, że w dającej się przewidzieć przyszłości ten system będzie się umacniał?

– Raczej tak. Po prostu staraliśmy się robić, co do nas należy, dopóki to było możliwe.

– A co potem?

– Tegośmy nie wiedzieli.

– Czy mieliście Państwo świadomość, że wisi nad Wami kryminał? Czy ten temat pojawiał się w waszych rozmowach?

– Tak, oczywiście, mieliśmy wizję naszej przyszłości w kryminale, zwłaszcza pod wpływem doświadczeń „Tygodnika Warszawskiego”. Zresztą, zdaje się, że w 1953 roku, kiedy „Tygodnik Powszechny” zamykano, było do tego bardzo blisko.

– Pytam o te perspektywy dlatego, że mam wrażenie, iż w ostatnim okresie przed rozwiązaniem „Tygodnika” wykonaliście Państwo kilka posunięć o charakterze wyraźnie taktycz-

nym. Myślę tu o uczestnictwie Pani Starowieyskiej-Morstinowej w paxowskim ruchu intelektualistów, a zwłaszcza o oświadczeniach redakcyjnych, jakie ukazały się w związku ze sprawą Kurii Krakowskiej, gdzie padło potwierdzenie oficjalnych zarzutów współpracy z „wrogimi dla interesów polskich ośrodkami wywiadu amerykańskiego”, które władze wysuwały wobec księdza Lelito i kilku innych osób związanych z Kurią. Czy mieliście Państwo nadzieję, że za tę cenę uda się ocalić przyszłość „Tygodnika”?

– Próbowaliśmy... Nie przyjmowaliśmy twardej postawy opozycyjnej, nie mówiliśmy, że nie oddamy ani paznokcia, choćbyśmy się mieli rozbić. Uważaliśmy, że należy iść na pewne koncesje, oczywiście, w granicach przyzwoitości. Byliśmy gotowi na rozsądny i uczciwy kompromis, chociaż, oczywiście, bardzo trudno jest *a priori* wyznaczać granice tego kompromisu, z góry ustalić, kiedy należy powiedzieć *non possumus*. Pytał pan przedtem o nasze kontakty z władzami, a ja odpowiedziałem, że ich nie było. Otóż one były, ale miały dość specyficzny charakter. Mianowicie władze próbowały wpływać na nas via PAX, który różnymi sposobami starał się wciągnąć nas w orbitę swoich politycznych działań. To był okres, kiedy mniej więcej dziesięć procent księży znajdowało się pod wpływami PAX-u. Część z nich to byli tak zwani „księża patrioci”, idący razem z Piaseckim i aktywnie go wspomagający. Większość zaś, ustępując pod naciskami, po prostu brała udział w różnych imprezach. I my też, raz czy drugi – chociaż niechętnie, z niesmakiem – ale byliśmy na takich paxowskich zjazdach w sprawie pokoju czy Ziem Zachodnich. Robiliśmy takie małe kroki. Potem cofaliśmy się. A wracając do tych oświadczeń – po prostu próbowaliśmy w jakiś sposób przedłużyć istnienie pisma, póki kompromisy były jeszcze dla nas strawne.

– Chciałbym, żebyśmy zatrzymali się przy sprawie PAX-u, bo wydaje mi się ona niezwykle ciekawa przez swoją typowość dla postępującej i pogłębiającej się od czterdziestu lat polaryzacji społeczeństwa. Dla mnie, który nie mam za sobą osobistego doświadczenia tamtych lat, niezrozumiałe jest na przykład to, że w ostatnich numerach „Tygodnika” z 1953 roku najwięcej bodaj drukującym autorem był Dobraczyński, nie będący wprawdzie członkiem PAX-u, ale bardzo blisko z tym środowiskiem związany. Czy była to próba łagodzenia zadrażeń z PAX-em i władzami, czy też po prostu same paxowskie inklinacje Dobraczyńskiego nie były jeszcze wówczas przeszkodą w drukowaniu jego tekstów przez „Tygodnik”?

– Wie pan, Dobraczyński do końca podkreślający, że nie jest członkiem PAX-u, stał się dla Piaseckiego i dla władz cenniejszy niż gdyby tym członkiem był. Do 1953 roku funkcjonował jednak przede wszystkim jako pisarz katolicki, a nie jako działacz. Mieliśmy z nim jakieś stosunki chyba sprzed wojny albo z czasów okupacji i nie traktowaliśmy drukowania jego tekstów jako argumentu przetargowego. Nasze kontakty z PAX-em to były raczej rozmowy z Piaseckim. Zналиśmy tych ludzi, przez jakiś czas niektórzy z nas pisywali nawet w ich prasie, a Wojciech Kętrzyński pisywał u nas przez pierwsze dwa czy trzy lata. Potem to się skończyło, ale kontakty towarzyskie utrzymywaliśmy do 1953 roku. Ja sam nieraz byłem u Piaseckiego na jakichś dyskusjach, w których nie dogadywaliśmy się, ale próbowaliśmy rozmawiać. Znajdowaliśmy się w dość odległych obozach, ale staraliśmy się podtrzymać dialog.

– Chciałbym wrócić do wątku, który *en passant* poruszył Pan przed chwilą, a mianowicie do pytania o granice dopuszczalnych ustępstw. Czy Państwo jakoś ją sobie wówczas wyobrażaliście?

– Nie, tego nie można sobie z góry wyobrazić, to się okazuje w konkretnej sytuacji. Gdyby wymagano od nas powiedzenia czegoś, co byłoby po prostu kłamstwem, musielibyśmy powiedzieć „nie”. Natomiast powiedzenie czegoś, co jest częściową prawdą albo co jest prawdą, ale nie całą, mogliśmy rozważać. W takiej sytuacji musieliśmy się zastanawiać, czy można to powiedzieć, jak odbierze to społeczeństwo... Możliwe, że popełniliśmy jakieś pomyłki...

– Nie chciałbym, żeby Pan odniósł wrażenie, że staram się tropić Państwa pomyłki. Stawiam te pytania dlatego, żeby skorzystać z nauki, jaka płynie z doświadczeń jedyne w Pol-

sce pisma, które przez czterdzieści lat zachowało wiarygodność i poważanie.

– Ale tej granicy nie da się z góry ustalić i my, wychodząc z tego założenia, nie próbowaliśmy takiej konstrukcji stworzyć. Zresztą także dzisiaj nie potrafiłbym powiedzieć, jaka jest granica i kiedy należało by powiedzieć *non possumus*.

– Wydaje się, że przede wszystkim jesteśmy od niej znacznie dalej. Państwo staliście wówczas pod ścianą...

– Tak, nie ma dziś tego bezpośredniego zagrożenia, ale jednak pewnych wyborów się dokonuje. My, na przykład, przez lata należeliśmy do Frontu Jedności Narodu, ja sam byłem członkiem Ogólnopolskiego Komitetu. Specjalnie nam to nie smakowało, ale uważaliśmy, że to jest możliwe. Natomiast do PRON-u nie weszliśmy, i nie mogliśmy wejść, bo to nie było możliwe. Istotne jest, jak taką decyzję przyjąłoby społeczeństwo, wobec którego – decydując się na funkcjonowanie publiczne – podejmujemy pewne zobowiązanie. Nasz udział we Froncie Jedności Narodu mógł się nie podobać ludziom o poglądach skrajnych, ale na ogół społeczeństwo przyjmowało to jako rzecz naturalną. Natomiast z PRON-em już by tak nie było. Teraz pan widzi, jak zmieniają się kryteria w zależności od ogólnej sytuacji.

– Chciałbym jeszcze podrażnić ten temat, wracając do 1953 roku. Otóż, mam wrażenie, że konflikt, który spowodował starcie z władzami, zakończone zamknięciem pisma, był w gruncie rzeczy konfliktem zastępczym. Być może, nie mając Państwa doświadczeń, myślę w sposób ahistoryczny, ale wydaje mi się, że sprawa Stalina nie była najważniejszym powodem likwidacji pisma, że po prostu obie strony były znużone tą sytuacją i w gruncie rzeczy nie miały już specjalnie ochoty szukać kompromisu. W moim odczuciu kilka ciepłych słów pod adresem zmarłego Stalina nie byłoby chyba odebrane dużo gorzej od, wydrukowanego kilka tygodni wcześniej, oświadczenia w sprawie Kurii Krakowskiej. Z drugiej strony, także dla władz sprawa ta szybko przestała mieć tak zasadnicze znaczenie, a wysuwanie kolejnych roszczeń zdawałoby się świadczyć o szukaniu pretekstu do zamknięcia pisma.

– Tak i nie, bo jednak sytuacja była dosyć jaskrawa. Skoro po śmierci Stalina cała prasa zamieściła peany na jego cześć, a jeden „Tygodnik Powszechny” by tego nie zrobił, to w jednoznaczny sposób wyrazilibyśmy nasz stosunek do wszystkiego, co się dookoła działo. Poza tym dla nas napisanie pozytywnego komentarza na temat Stalina nie było możliwe ze względów zasadniczych. Doskonale wiedzieliśmy o jego roli nie tylko w Polsce, ale także w Związku Radzieckim, pamiętaliśmy o terrorze, procesach politycznych, łagrach. Żadna pochwała Stalina, jego dzieł, osiągnięć, po prostu nie przeszłaby nam przez gardło. To bardzo ostro zarysowało sytuację. Oczywiście, w tych rozmowach, które toczyły się przed zamknięciem „Tygodnika”, chodziło już potem nie tylko o Stalina, bo ta sprawa przebrzmiała, ale to jednak był punkt zapalny, który spowodował ostateczny kryzys. Przypuszczam, że gdyby nie Stalin, to w 1953 roku i tak by doszło do likwidacji „Tygodnika”, bo przecież i Prymas był wówczas internowany, i cały Kościół został bardzo brutalnie przywołany do porządku, ale zapewne zyskalibyśmy jeszcze z pół roku. Władze nie szukały pretekstu, żeby odebrać nam pismo, chociaż to wynikało w jakiś sposób z mechaniki ówczesnych procesów. Stalin był jednak prawdziwym źródłem konfliktu, choć gdyby nie on znalazłoby się zapewne coś innego.

– Może jednak – posłużę się tu tezą Pana Stommy – Państwo byliście już zmęczeni nieustannie wymuszaniem kompromisami...

– Byliśmy tą sytuacją zmęczeni, ale do końca chcieliśmy ratować pismo. Nigdy nie zrezygnowaliśmy z prób szukania rozsądnego kompromisu.

– Jak takie szukanie kompromisu się odbywało? Spór o Stalina nie był przecież pierwszym, jaki powstał między „Tygodnikiem” a ówczesnymi władzami. Jak Państwo załatwialiście te sprawy?

– Te spory rozstrzygały się w naszych rozmowach z cenzurą i, oczywiście, z Urzędem do Spraw Wyznań. Kiedy pojawiały się jakieś wątpliwości natury politycznej, rozmawialiśmy z

Urzędem, bo cenzura często okazywała się niekompetentna. Jeździliśmy do Warszawy i zgłaszaliśmy się do nich albo oni wzywali nas na rozmowę, kiedy chcieli przekazać nam pretensje czy też żądania władz. W takich sprawach, jak na przykład, oświadczenie dotyczące procesu Kurii Krakowskiej, cenzura stawiała nam żądania – często bardzo konkretne – dotyczące tego, co powinno być napisane. Zazwyczaj ich sformułowania były dla nas nie do przyjęcia, więc proponowaliśmy inne. Cenzura je odrzucała, więc my znów szukaliśmy nowych rozwiązań, aż w końcu powstawało coś, co zaspokajało ich oczekiwania i było dla nas do przełknięcia. Ponieważ taki przetarg musiał trwać, bywało, iż pismo spóźniało się, powstawały przerwy, zdarzało się, że numery się nie ukazywały.

– A jak podejmowaliście Państwo decyzje w sprawach wymagających elastyczności i pryncypialności zarazem? Czy nie wywoływały one kontrowersji wewnątrz zespołu?

– Decydowaliśmy kolegialnie. W tym najtrudniejszym okresie księdza Piwowarczyka nie było już w Krakowie, ale pracował sztab redakcyjny: ja sam, pani Morstinowa, Stomma, Gołubiew, Woźniakowski.

– To byli liderzy redakcji?

– Tak.

– Jak zareagowaliście Państwo na wiadomość o śmierci Stalina? Jak przypomina Pan sobie genezę konfliktu, który wówczas powstał?

– No cóż, przyznam się, że nie za bardzo pamiętam, jak to dokładnie wyglądało. Zresztą między relacjami moich kolegów, przyjaciół, które znajdują się w pańskiej książce, są już pewne różnice. Każdy z nas inaczej te chwile pamięta. Ja przypominam sobie tyle, że kiedy Stalin umarł, numer „Tygodnika” był ocenzurowany i znajdował się w drukarni, więc ukazał się już po jego śmierci, ale bez żadnej wzmianki na ten temat. Następny numer posłaliśmy do cenzury także nie wspominając o Stalinie i odrzucono go, twierdząc, że o Stalinie musi być, bo inaczej nie przystąpią do cenzurowania. Zaproponowaliśmy wtedy, że możemy zamieścić *curriculum vitae* Stalina. To też było za mało, bo wymagano zajęcia stanowiska. Odpowiedzieliśmy, że stanowiska nie zajmujemy, ale możemy wydrukować oficjalny komunikat partii czy też rządu – może nawet z portretem, ale tego już nie pamiętam – jako dokument. To też nie wystarczyło. Konieczny był komentarz, którego w żadnym razie nie chcieliśmy napisać. Wtedy przyjechał do Krakowa towarzysz Siemek z Warszawy, który od razu zaczął od pogrózek. Nie rozmawiał ze mną, tylko z niektórymi moimi kolegami i administracją, próbując zastraszyć i podburzyć przeciwko redakcji, pracujące tam panie. Urzędnikom mówił, że na skutek naszego uporu stracą pracę, moim zaś kolegom przedstawił żądanie usunięcia z redakcji mnie i Stommy. Część administracji wpadła w panikę, natomiast moi koledzy zachowywali się bardzo spokojnie i nie poszliśmy na żadne ustępstwa wobec pana Siemka. W końcu doszło do spotkania z Franciszkiem Mazurem. W jednym z nich brałem udział, ale też wiele z tego nie pamiętam. Przypominam sobie tylko tyle, że była to długa, wielogodzinna rozmowa, w trakcie której telefonowała żona Mazura, przypominając, że kolacja na stole, i że powinien już wrócić do domu. Potem były jeszcze jakieś rozmowy między Mazurem i Gołubiewem, ale tego już dokładnie nie pamiętam.

– Czy zdawaliście sobie Państwo sprawę z tego, że może to już być ostatni kryzys „Tygodnika”?

– Tak, ale oczywiście nie wiedzieliśmy, jaki będzie rezultat naszych rozmów, do końca wierzyliśmy, że może jakoś się uda i do końca próbowaliśmy ratować pismo.

– Jak wówczas wyobrażał Pan sobie swoją przyszłość? Czy miał Pan jakąś wizję tego, co będzie Pan robił po likwidacji „Tygodnika”?

– Nie, nie miałem żadnej takiej wizji, ani żadnych zastępczych planów. Nie można planować przyszłości wtedy, kiedy toczą się rozmowy, od których wszystko zależy. Nie wiedziałem czy „Tygodnik” będzie wychodził, czy będę go redagował, czy też będę siedział w krymina-

le... Zresztą, była to sytuacja psychologicznie tak absorbująca, że nie było mowy, żeby myśleć o tym, co będzie potem.

– Chciałbym, żebyśmy wrócili jeszcze do procesu podejmowania przez Państwa decyzji w odpowiedzi na kolejne żądania władz. Zaczęło się przecież od tekstu w sprawie Stalina, ale później jego miejsce zajęły inne żądania: usunięcie Pana i Stanisława Stommy, wydrukowanie oświadczenia potępiającego biskupa Kaczmarka, odcięcie się od księdza Prymasa, przekazanie redakcji naczelnej Antoniemu Gołubiewowi. Jak powstawało Państwa stanowisko wobec tych „propozycji”?

– Oczywiście, rozmawialiśmy o tych sprawach także w redakcji, ale, jak pan już wie, bardzo ważną rolę odegrał salon pani Zofii Starowieyskiej-Morstinowej, w którym schodziliśmy się wówczas prawie codziennie. Cały zespół zbierał się u niej popołudniami i toczyliśmy tam niekończące się dyskusje. Kiedy władze zażądały usunięcia Stommy i mnie, od razu postawiliśmy się do dyspozycji kolegów. Uważali oni jednak, że takiego żądania nie należy przyjąć. W każdym razie zawsze wspólnie wypracowywaliśmy stanowisko i, o ile pamiętam, nie było między nami dużych różnic, chociaż, oczywiście, rozważaliśmy różne warianty. Nie zdarzało się natomiast, żeby powstawały między nami różnice, które musiałyby rozstrzygnąć większość. Byliśmy już bardzo zżyci i solidarni.

– Z relacji Pańskich kolegów wynika, że głównym negocjatorem zespołu został wówczas Antoni Gołubiew – nie polityk, nie działacz, raczej pisarz niż redaktor. Jak do tego doszło?

– Gołubiew nie był może politykiem, ale miał ogromne poczucie odpowiedzialności, był moralistą i posiadał w redakcji duży autorytet. Z chwilą, gdy Stomma i ja zostaliśmy wypchnięci na bok, wyłączeni z pertraktacji, Gołubiew w sposób naturalny stał się przywódcą zespołu. Zresztą któż inny mógł pełnić tę rolę? Pani Morstinowa nie, bo kobieta, i bardzo już zaawansowana w latach. Kto jeszcze.. .

– Kisiel?

– Kisiel był zawsze trochę outsiderem. Miał w „Tygodniku” swoje podwórko, ale nie był tak zaangażowany w sprawy redakcji, nie brał udziału w redagowaniu pisma, bo go to nawet nie interesowało. Jacek Woźniakowski był z kolei znacznie od nas młodszy i nie mógł zostać liderem.

– A Tyrmand, Herbert...

– Tyrmand był przyjacielem, był współpracownikiem, ale nigdy nie był członkiem redakcji. Pracował w administracji „Tygodnika” i zresztą mieszkał w Warszawie. Herbert był literatem, poetą w pewnym sensie apolitycznym, zresztą był człowiekiem młodym i nowym, więc funkcjonował trochę na zewnątrz zespołu. Podobnie Zygmunt Kubiak – to już były peryferie redakcji. Ludzie związani z nami, bliscy przyjaciele, ale nie „decydenci”.

– Jak do sytuacji „Tygodnika” odnosił się Prymas Wyszyński? Arcybiskup Baziak przebywał już wtedy na zesłaniu, w Krakowie rezydował wikariusz kapitulny, biskup Jop – sufragan sandomierski; nie było ordynariusza, więc niejako naturalnym opiekunem archidiecezji krakowskiej stawał się ksiądz Prymas.

– Tak, ale respektował autonomię Krakowa i w żadnym razie nie podważał kompetencji biskupa Jopa. Mieliśmy z Prymasem dobre stosunki. Kontaktowaliśmy się z nim często; ja sam znałem Wyszyńskiego jeszcze sprzed wojny, bo działał w „Odrodzeniu”, w którym ja też byłem. Wprawdzie nie spotykałem go tam często, ale od tamtych czasów mówił do mnie po imieniu. Na tle spraw kościelnych pewne napięcia między Prymasem a naszym środowiskiem powstały dopiero w okresie Soboru i odnowy Kościoła. Bywały wcześniej okresy, kiedy uważał, że zbyt „kolaborujemy” z reżimem, bywały też takie, kiedy zarzucał nam nadmierną opozycyjność. Jednak w okresie kryzysu „Tygodnika” Wyszyński solidarnie popierał nasze stanowisko. Rozumiał, iż nie możemy iść na dalsze ustępstwa.

– A czy przypomina Pan sobie może, jak doszło do przeprowadzenia owego nieopubliko-

wanego wywiadu z księdzem Prymasem, który został przez Pana przygotowany z myślą o – ostatecznie niewydrukowanym – numerze wielkanocnym 1953 roku? Czy to była Państwa inicjatywa, czy też ksiądz Prymas sam zaproponował udzielenie tego rodzaju wsparcia moralnego?

– Wydaje mi się, że to była raczej nasza inicjatywa, którą ksiądz Prymas chętnie podjął. Píše o tym Andrzej Micewski w swojej książce o Kardynale Wyszyńskim. Z jego – opartej o dokumenty – relacji wynika, że to nawet Komisja Główna Episkopatu zaaprobowwała projekt udzielenia „Tygodnikowi” tego wywiadu przez księdza Prymasa.

– Żeby Państwa wesprzeć?

– Tak, na pewno traktował to jako pewien sukces dla nas.

– A czy Sekretariat Episkopatu próbował w jakiś sposób udzielić Państwu wsparcia, podnosząc sprawę „Tygodnika” w kontaktach z władzami?

– Przypuszczam, że tak, ale nic konkretnego na ten temat nie wiem.

– Pytam dlatego, że ciekawe jest, czy kryzys „Tygodnika” traktowany był wówczas jako sprawa Kościoła, czy też jako sprawa redakcji. Z relacji Państwa wynika, że byliście raczej pozostawieni sami sobie.

– Nie, tak nie było. Była to sprawa Kościoła, ale jedna ze spraw. Atak był przecież frontalny i Kościół musiał bronić bardzo wielu instytucji.

– Czy poza księdzem Prymasem kontaktowaliście się Państwo z kimś jeszcze w Episkopacie? Czy ktoś jeszcze zaangażowany był w kryzys „Tygodnika”?

– Rozmawialiśmy z Sekretarzem Episkopatu – biskupem Choromańskim – i, oczywiście, z biskupem Jopem, ale jednak przede wszystkim z księdzem Prymasem. Do Wyszyńskiego mieliśmy bardzo łatwy dostęp. Nie musieliśmy prosić o audiencję, tylko przychodziliśmy na Miodową, ewentualnie czekaliśmy trochę, i zawsze byliśmy przyjmowani, więc informowaliśmy go o sytuacji przy okazji kolejnych wyjazdów do Warszawy na rozmowy z władzami.

– Kryzys „Tygodnika” był, oczywiście, kryzysem pewnej koncepcji współistnienia katolicyzmu i marksizmu, oznaczał zniszczenie ostatniej szansy twórczego realizowania się wielu osób – także spoza zespołu – ale stanowił także zagrożenie materialnych podstaw egzystencji pracowników redakcji. Chciałbym zapytać, jak wyglądała wówczas Pańska sytuacja – o ile wiem – był Pan żonaty i miał Pan trzy córki.

– Wydaje mi się, że kiedy los pisma został już przesądzony otrzymaliśmy pensje za kilka miesięcy z góry, żebyśmy mieli z czego żyć, dopóki nie znajdziemy innej pracy. Po wtóre, przez księdza Bardeckiego zaczęliśmy wkrótce otrzymywać różne subwencje, pochodzące od księdza Wojtyły, księdza Machaya, w pewnym stopniu chyba też od Kurii. Wszyscy zaczęliśmy także szukać jakichś zajęć. Ja byłem może w najtrudniejszej sytuacji, bo w żaden sposób nie mogłem dostać pracy, nawet bardzo prostej. Pamiętam, że na przykład w krakowskim oddziale Ossolineum wakowała posada redaktora technicznego. Zgłosiłem się tam i oni w zasadzie gotowi byli mnie przyjąć, ale twierdzili, że konieczna jest zgoda wyższych władz. Pojechałem wtedy do Warszawy i poszedłem do Stefana Żółkiewskiego – ówczesnego kierownika Wydziału Kultury KC – którego znałem z terenu Związku Literatów i z okresu, kiedy był redaktorem „Kuźnicy”. Odniósł się do mnie dosyć życzliwie i obiecał, że sprawę zbada, ale jakiś czas później dał mi znać, że niestety, stanowisko władz jest negatywne. Nie dostałem więc żadnej pracy. Natomiast, za pośrednictwem przyjaciół, otrzymałem z Polskiego Wydawnictwa Muzycznego tłumaczenie, pisanego po francusku, pamiętnika Michała Ogińskiego. Ukazało się to, oczywiście, bez mojego nazwiska i kto inny figurował na liście płac. Później Ars Christiana, związana z ChSS-em, zaproponowała mi opracowanie bibliografii powojennych wydawnictw katolickich. Wahałem się, ale przyjąłem tę pracę i też jakieś pieniądze mi to przyniosło. Wykonywałem również inne prace zlecane, ale największe znaczenie miały chyba subwencje z kół kościelnych, które organizował ksiądz Bardecki. W każdym razie głodniśmy

nie byli, chociaż żyliśmy skromnie.

– Tyrmand pisze w swoim „Dzienniku”, że „Turowicz szlifuje bruki”. To sugeruje pewną beznadziejność ówczesnej Pańskiej sytuacji.

– Tyrmand pisze też o jakichś poważniejszych propozycjach, jakie miałem otrzymać od PAX-u czy ChSS-u i o moich wahaniach w związku z tym. Tak jednak nie było, bo nie widziałem żadnej możliwości związania się z tymi środowiskami, chociaż rzeczywiście innych możliwości nie miałem.

– A czy jakieś własne, twórcze działania próbował Pan wówczas podejmować?

– Nie, jednak nie pisałem. Dużo czytałem, a poza tym ciągle utrzymywaliśmy ze sobą bliskie stosunki. Spotykaliśmy się u Pani Morstinowej albo u Gołubiewa raz na tydzień albo dwa razy w miesiącu i dyskutowaliśmy o sytuacji, a od czasu do czasu redagowaliśmy memoriały domagające się wznowienia „Tygodnika”.

– Czy po rozwiązaniu redakcji PAX próbował z Panem pertraktować, zachęcać do współpracy z nowym „Tygodnikiem”; czy próbowali Pana kaptować?

– Nie, do paxowskiego „Tygodnika” na pewno nie. Natomiast w ogóle z PAX-em miewaliśmy kontakty. Zwłaszcza w ostatnim okresie przed Październikiem odbyliśmy jedną czy drugą rozmowę z Piaseckim, który namawiał nas do wznowienia „prawdziwego” „Tygodnika” pod jego egidą.

– Czy sądzi Pan, że nie namawiano Pana do współpracy dlatego, iż miał Pan opinię człowieka nieprzejednanego?

– W każdym razie na pewno byłem uznawany za „czarną owcę” naszego zespołu.

– Skąd taka szczególna niechęć władz właśnie do Pana i Stommy, który wydaje się być człowiekiem o zupełnie szczególnych zdolnościach koncyliacyjnych?

– Zapewne stąd, że we dwóch podpisywaliśmy kilka szczególnie ważnych tekstów programowych, więc zostaliśmy uznani za politycznych liderów „Tygodnika”, za tych, którzy doprowadzili do ostatecznego kryzysu.

– A jak przebiegały podziały polityczne wewnątrz redakcji? Czy w ogóle były między Państwem tego typu różnice?

– Podziałów politycznych właściwie między nami nie było, choć były poważne rozbieżności między całym właściwie zespołem a Józefem Marią Świącickim – człowiekiem już wówczas starszym, reprezentującym, można powiedzieć, dość „integrystyczną” postawę, co często wywoływało spory i polemiki, także wokół różnych kompromisów, jakie zawieraliśmy z władzami. W każdym razie po wznowieniu „Tygodnika” Świącicki nie chciał już do pisma wrócić i nawet dosyć krytycznie się do nas odnosił.

– Myślałem raczej o stosunkach między Państwem a księdzem Piwowarczykiem. Jego spór z Kisielem o liberalizm był, oczywiście, sprawą drugorzędną, bo w warunkach polskich musiał przybrać formę dysputy czysto akademickiej, natomiast nieobecność księdza Piwowarczyka w zespole reaktywowanego w 1956 roku „Tygodnika” wymaga chyba wyjaśnienia. Czy nie miała ona podłoża politycznego?

– Nie, ksiądz Piwowarczyk miał zaufanie do naszej uczciwości i był zawsze wobec redakcji bardzo lojalny. Czasami kłóciliśmy się, jak to w redakcji, ale te spory nie stwarzały stałych napięć. Nawet kiedy zostałem już redaktorem naczelnym „Tygodnika”, ksiądz Piwowarczyk miał nieraz decydujący wpływ na różne sprawy. Jego odejście w 1951 roku nie wynikało w żadnym razie z napięć wewnątrz zespołu, lecz związane było ze sprawą Adama Doboszyńskiego – działacza endecji, który po wojnie nielegalnie powrócił do kraju, i z którym ksiądz Piwowarczyk kilkakrotnie spotykał się przed jego aresztowaniem. Po jakimś czasie dowiedziało się o tym UB, które zaczęło go nękać wezwaniami na przesłuchania. Wyglądało to na tyle groźnie, że w końcu ksiądz Piwowarczyk – zapewne zresztą za radą Sapięhy – postanowił usunąć się z Krakowa. Wyjechał wtedy na wieś do swego przyjaciela, który był proboszczem

w Zebrzydowicach. Kiedy później „Tygodnik” został wznowiony i ksiądz Piwowarczyk znów zamieszkał w Krakowie, zgłosiłem się do niego, proponując, aby wrócił do redakcji, ale miał wówczas dość sceptyczny stosunek do nowej sytuacji i wolał trzymać się na uboczu. Nie był może pewien, czy nasza linia jest słuszna, ale ponieważ uważał nas za ludzi uczciwych i kierujących się pobudkami ideowymi, nigdy się od pisma nie odciął. Zasiłał nas zresztą później swoimi tekstami, z których ostatni ukazał się na pół rok przed jego śmiercią w 1959 roku. Do końca utrzymywaliśmy też bliski kontakt. Nieraz chodziłem do niego, radziłem się, jak postąpić. Nigdy nie doszło między nami do ostrzejszych zatargów, ani tym bardziej do zerwania.

– Wróćmy jeszcze do okresu, kiedy „Tygodnika” nie było. Jak w roku 1954 albo 1955 wyobrażał Pan sobie swoją przyszłość? Czy w dalszym ciągu nie robił Pan żadnych planów? Czy nie miał Pan żadnych marzeń?

– Może to jest kwestia temperamentu, ale nawet w najtrudniejszym okresie miałem nadzieję że „Tygodnik” się odrodzi, że prędzej czy później go odzyskamy. Tymczasem starałem się jakoś zarobić trochę pieniędzy, żeby zapewnić rodzinie byt materialny, a po wtóre – korzystałem z tego czasu dla pracy intelektualnej, przede wszystkim dużo czytając, bo na pisanie nie bardzo były warunki, kiedy z dnia na dzień szukało się jakichś nowych zajęć. To jednak nie był okres szlifowania bruków, o którym pisał Tyrmand. Nie miałem natomiast takich możliwości pracy jak większość moich kolegów, bo nie miałem żadnego zawodu poza dziennikarstwem.

– Czy nadzieje na wznowienia „Tygodnika” były po prostu wynikiem Pańskiego ogólnego optymizmu, czy też wynikały z obserwacji tego, co się działo w Polsce?

– Nie, one nie wynikały z żadnych konkretnych obserwacji tylko po prostu z przekonania, że sytuacja polityczna zawsze po jakimś czasie się zmienia, że w polityce żadne trendy nie trwają wiecznie. Po okresach zwiększonego nacisku przychodzi liberalizacja, która znów ustępuje miejsca przykręcaniu śruby. Złe czasy musiały więc w końcu ustąpić nieco lepszym. Można to nazwać ostrożnym optymizmem.

– A czy próbowaliście Państwo dyskutować między sobą o przyszłości, czy też staraliście się tego tematu nie poruszać?

– Rozmawialiśmy na temat aktualnej sytuacji i wydarzeń, jakie miały miejsce, ale nie przypominam sobie, żebyśmy rozmawiali o przyszłości. Nie byłoby w naszym stylu tworzenie prognoz czy programów. Mamy założenia ideowe, ale nigdy nie mieliśmy konkretnego, sformułowanego programu przyszłościowego. Realizujemy nasze założenia na tyle, na ile jest to możliwe w nieustannie zmieniających się warunkach, które zupełnie od nas nie zależą. To wystarcza. Dziś zresztą też zupełnie nie wyobrażam sobie przyszłości. Mieliśmy po stanie wojennym okres ciężki, teraz jest trochę lepiej, otwierają się jakieś perspektywy, ale jak to daleko pójdzie i jak długo potrwa – tym nie warto sobie nawet zaprzętać głowy. Jesteśmy dość zaabsorbowani tym, co dzieje się w tej chwili.

– Kiedy się Pan zorientował, że coś się w sytuacji politycznej zmienia?

– Pierwsze sygnały dotarły ze zjazdu KPZR, zaraz potem dotarł do nas głośny referat Chruszczowa. Nieco później ukazał się „Poemat dla dorosłych” Ważyka. To już były bardzo konkretne sygnały zapowiadające zmiany w kierunku.

– W 1956 roku, jeszcze przed Październikiem, zaczęliście Państwo pisywać w prasie. Czy przerwanie kilkuletniej absencji (tylko Pani Morstinowa współpracowała wcześniej z „Przekrojem”) oznaczało pogodzenie się Państwa z nieistnieniem „Tygodnika”, czy też było po prostu próbą użycia bocznych drzwi, przez które sprawa pisma mogła dostać się na arenę publiczną?

– Była to po prostu próba powrotu na scenę publiczną. Na fali narastającej odwilży nasi znajomi czy nawet przyjaciele z prasy rządowej, którzy uważali, że odebranie nam „Tygodnika” i przekazanie go PAX-owi było niesprawiedliwością, zwrócili się do nas z propozycjami

nawiązania współpracy „dopóki nie odzyskamy własnego pisma”. Nieraz korzystaliśmy z tych ofert, bo uważaliśmy, że jest to krok do reaktywowania „Tygodnika”. I tak rzeczywiście się stało, bo w „Życiu Warszawy”, w którym ja sam ogłosiłem wcześniej jakiś artykuł, ukazała się nasza, podpisana przez dwadzieścia kilka osób, popierająca Gomułkę deklaracja, która zasadniczo wpłynęła na oddanie nam pisma.

– Ta deklaracja była pierwszym aktem kształtującego się szerszego frontu inteligencji katolickiej. Środowisko „Tygodnika” – mimo licznych odwiedzin w salonie Pani Morstinowej, mimo nawet pewnej famy, jaka wokół Państwa narosła – było jednak stosunkowo nieliczne i w zasadzie ograniczone do Krakowa. Deklarację natomiast podpisało już przeszło dwudziestu intelektualistów, w znacznej części spoza Krakowa. Było to środowisko, które miało niebawem powołać KIK-i i ruch „znakowy”. Jak ono powstało?

– Tych wszystkich ludzi, którzy podpisali wspólną deklarację, znaliśmy już wcześniej i większość z nich współpracowała z „Tygodnikiem” zanim nam go odebrano. Nie była to więc żadna koalicja *ad hoc*, nie dokonywaliśmy jakiegoś spektakularnego rozszerzenia frontu. Ponieważ chodziło o akt polityczny, mający na celu nie tylko odzyskanie „Tygodnika”, ale również odcięcie się od Piaseckiego, który opowiedział się przeciwko linii Gomułki, więc zaangażowaliśmy w tę sprawę także grupę naszych starych przyjaciół z Warszawy i KUL-u.

– Po raz pierwszy pojawili się wówczas wśród Państwa frondyści z PAX-u: Tadeusz Mazowiecki i Janusz Zabłocki. Jak doszło do zbliżenia z nimi?

– To nie było tak, żeby oni prosto z PAX-u przyszli do nas z rozwiniętymi sztandarami. Wiedzieliśmy wcześniej, że odeszli od Piaseckiego; też byli w trudnej sytuacji, przez jakiś czas nie mogli dostać pracy. Mieliśmy do nich zaufanie jako do ludzi kierującymi się pobudkami ideowymi, ale nie pamiętam dokładnie, jak doszło do tej wspólnej deklaracji. Zresztą to już był okres odwilży, kiedy w całej Polsce powstawały najróżniejsze kluby dyskusyjne, więc i wśród nas pojawiła się koncepcja powołania takich klubów o charakterze katolickim. Zbieraliśmy do tego ludzi.

– Czy inicjatywa oświadczenia wyszła od Państwa, czy raczej od środowiska warszawskiego?

– Myślę, że to była wspólna inicjatywa. Tworzyliśmy środowisko zaangażowane może nie politycznie, ale na pewno obywatelsko. Kiedy tylko powstał ferment przedpaździernikowy, zaczęliśmy jeździć do Warszawy. U księdza Jana Zieji, a później w mieszkaniu pani Anieli Urbanowicz spotykaliśmy się z Jerzym Zawieyskim, Andrzejem Święcickim i jeszcze innymi osobami. Efektem tych spotkań było, między innymi, spontaniczne powstanie OKPIK-u, czyli Ogólnopolskiego Klubu Postępowej Inteligencji Katolickiej, który później przekształcił się w warszawski KIK. Podobnie było w innych ośrodkach, w których też ludzie zaczęli się wówczas bardzo intensywnie spotykać, dyskutować na tematy publiczne i szukać jakichś organizacyjnych form dla tych spotkań.

– Czy wyobrażaliście sobie Państwo, że ten proces liberalizacji ma charakter trwały, czy też raczej spodziewaliście się rychłego przykrycia śruby?

– Oczywiście, w pierwszym okresie mieliśmy dosyć optymistyczną wizję przyszłości. Po tem te nadzieje zaczęły topnieć.

– Pytam dlatego, że w oświadczeniu, które ukazało się w „Życiu Warszawy”, napisaliście Państwo, iż „wszystkie postępowe i żywe siły katolickie witają z zapałem wielki przełom dokonany w naszym życiu i mają szczerą wolę, aby wspólnym wysiłkiem i trudem współdziałać w dziele budowy w Polsce prawdziwej sprawiedliwości społecznej, opartej na wolności, prawdzie i uczciwości”. To sugeruje optymizm zupełnie niezwykły.

– Oczywiście, w chwili, kiedy Gomułka objął władzę, optymizm był bardzo silny. Całe społeczeństwo było wówczas bardzo optymistyczne.

– Dla mojego pokolenia interesujące jest to, że Gomułka który w latach czterdziestych stał

już przecież na czele partii i kierował nią w okresie, gdy zdobywała władzę w Polsce, został jednak w 1956 roku obdarzony zaufaniem całego właściwie społeczeństwa. Jakby więzienie nie oczyściło go z odpowiedzialności za to, co robił wcześniej. Czy ta jego przeszłość nie podważała wiary godności październikowych deklaracji? Czy nie musiała wywoływać pewnego sceptycyzmu?

– W pierwszej chwili na pewno nie. Gomułka uchodził za komunistę ideowego, stosunkowo uczciwego i dość niezależnego – nawet w stosunku do Kremla. W najgorszych czasach siedział w więzieniu, a gdy przysła odwilż, objął władzę – to wszystko rodziło przekonanie, że mamy do czynienia z wielką zmianą. Gomułka mówił to wprost. Euforia była ogromna. Gomułka był niemal uwielbiany, nawet przez ludzi bezpartyjnych i myślących niezależnie. Budził ogromne nadzieje. Zresztą wiedziało się, że i dawniej był człowiekiem w pewnym stopniu niezależnym, poniekąd opierającym się Rosjanom. W ramach jakiegoś realizmu był to przewrót zupełny. Nikt rozsądny nie liczył przecież, że przyjedzie Anders na białym koniu.

– Jak wyglądało Państwa spotkanie z Gomułką, poprzedzające wznowienie „Tygodnika”?

– Szczegółowo tego nie pamiętam. Siedzieliśmy przy okrągłym stole i dyskutowaliśmy o sytuacji w kraju, trochę polemizowaliśmy. Trwało to z półtorej godziny, a na koniec Gomułka przyznał, że odebranie nam „Tygodnika” było niesprawiedliwością i obiecał go zwrócić. To wszystko.

Rozmowa z Władysławem Bińkowskim

Próbowałem wytłumaczyć moim partyjnym towarzyszom to, co uświadomiłem już sobie w latach czterdziestych – że religia to jest taki krzew, który im bardziej jest przycinany, tym bardziej rośnie.

– Kiedy mówi się o stosunkach państwo-Kościół w pierwszym dziesięcioleciu PRL, po stronie władzy, obok kilku innych, pojawia się także Pańskie nazwisko, i to pojawia się w dość frapujących okolicznościach. Najpierw – jeszcze w latach czterdziestych – inicjował Pan wielką dyskusję światopoglądową między katolikami a marksistami, albo może raczej między marksistowskimi środowiskami krakowskiej „Kuźnicy” a katolickim środowiskiem, także krakowskiego, „Tygodnika Powszechnego”. Później, w roku 1956 zawiózł Pan Prymasowi wiadomość o uwolnieniu, a także zaaranżował Pan spotkanie grupy „Tygodnika Powszechnego” z Gomułką. Zaczniemy może od roku 1948. Skąd wziął się pomysł tamtej dyskusji i jak doszło do zorganizowania jej przez Pana?

– Na początek, jeżeli pan pozwoli, jedno zastrzeżenie wstępne. Nie należę do ludzi, którzy mają pamięć do szczegółów. Szczegóły ulatują z pamięci. Moje główne zainteresowania dotyczą raczej teorii i po prostu moja pamięć nie przechowuje wielu zdarzeń – nawet takich, w których uczestniczyłem. Proszę więc szczegółów ode mnie nie oczekiwać. Tyle tytułem wstępu. A teraz *ad rem*. Otóż w grupie bliskiej Gomułce byłem chyba jedynym człowiekiem, który przywiązywał dużą wagę do uregulowania stosunków między powstającym państwem i Kościołem. Uważałem, że jest to dla nas jedno z naczelných, kapitalnych zagadnień. Obawiałem się po prostu, że moi bracia partyjni mają na rolę Kościoła poglądy raczej nihilistyczne, to znaczy – po prostu nie uznają w ogóle czegoś takiego jak chrześcijański światopogląd, czy postawy katolickie. Zawsze więc podkreślałem wobec moich towarzyszy, że jest tu między nami duża różnica, bo ja byłem liberałem. Moim ideałem był raczej system pluralistycznej demokracji. Miałem nadzieję, że po odpowiedniej adaptacji uda się w Polsce coś z liberalizmu ocalić.

– Muszę, niestety, przerwać Panu w tym miejscu, bo to, co Pan powiedział, wymaga pewnego wyjaśnienia. Otóż powołuje się Pan na swoje liberalne poglądy, opowiadając o działalności w partii, której doktryna, ani tym bardziej program, nie miały nic wspólnego z jakkolwiek rozumianym liberalizmem. Czy zechciałby Pan wyjaśnić tę sprzeczność?

– Ależ tu nie ma sprzeczności. Ja niewątpliwie dążyłem do rewolucyjnego przewrotu i uważałem, że innymi drogami żadnych radykalnych zmian społecznych w Polsce się nie przeprowadzi. Uważałem za słuszny program uwłaszczenia wielkiego kapitału, ale po przewrocie ustrojowym można przecież bardzo różnie organizować społeczeństwo. Otóż ja na tym drugim etapie wybierałem właśnie państwo liberalne, demokratyczne. Czy były szanse na taki obrót spraw? Małe, ale można było żywić nadzieję, że po wojnie model sowiecki będzie musiał ulec przemianie, bo do europejskiej tradycji kulturowej on po prostu nie pasuje. Zresztą, jak wiadomo, Stalin stosował taktykę, która dawała pewne podstawy do nadziei, że nasz model będzie nieco inny. Oczywiście, teraz wiadomo, że był to z jego strony manewr czysto taktyczny, wynikający z chęci uniknięcia wewnętrznych wstrząsów, które mogły być niebezpieczne, zwłaszcza dopóki na Łabie stały jeszcze naprzeciw siebie dwie wielkie armie. Tak czy inaczej, człowiek wyznający poglądy liberalne jest zawsze skazany na jakąś nadzieję i zawsze musi się czymś ludzić. Żaden z obecnie funkcjonujących systemów – także kapitalistyczny system zachodni – nie jest przecież w stanie spełnić ideałów, które mnie przyświecały, ideałów całkowitej liberalnej demokracji.

– A może są to po prostu ideały utopijne? Ale ten temat, prawdę mówiąc, wydaje mi się dla

tej rozmowy dość niebezpieczny, bo jest to po prostu *perpetuum mobile*. Nie chciałbym, żeby nasza rozmowa pobiegła w takim kierunku. Wróćmy może do lat czterdziestych i ówczesnych kwestii „wyznaniowych”. Pan wtedy, jak mi się wydaje, pełnił rolę kogoś w rodzaju pośrednika między nową władzą a katolickimi środowiskami intelektualnymi i z racji tej funkcji organizował Pan dyskusję między katolikami a marksistami. Wracam do mojego pierwszego pytania. Jak doszło do zorganizowania tej dyskusji i jak to się stało, że Panu ta rola przypadła?

– Przede wszystkim nie była to żadna oficjalna rola. Miałem wtedy inne obowiązki.

– Był Pan wiceministrem oświaty.

– Tak, i zajmowałem się odbudową szkolnictwa wyższego. Nie było przecież osobnego ministerstwa. Była to funkcja natury już kulturowej, a mnie szczególnie zależało na tym, żeby nie wpędzano katolicyzmu i Kościoła w podziemie. Uważałem to za zasadniczą klęskę. Kiedy potem, w 1956 roku, wróciłem do ministerstwa oświaty, wygłosiłem dla aktywu partyjnego setki pogadank na temat stosunku państwa do Kościoła, marksizmu do katolicyzmu i tak dalej. Próbowałem wytłumaczyć moim partyjnym towarzyszom to, co uświadomiłem sobie już w latach czterdziestych – że religia to jest taki krzew, który im bardziej jest przycinany, tym bujniej rośnie.

W każdym razie w latach czterdziestych moje obowiązki związane z utrzymywaniem kontaktów ze środowiskami intelektualnymi często prowadziły mnie do Krakowa, który był wówczas zdecydowanie najsilniejszym ośrodkiem naukowym, a leży po drodze do Tatr, co dla mnie, jako starego taternika, też nie jest bez znaczenia. Kraków był mi zawsze po drodze. Zresztą w naszych władzach politycznych patronowałem zawsze wszelkim inicjatywom sprzyjającym kontaktom i zbliżeniu tych dwu faktycznie współistniejących teologii – katolicyzmu i marksizmu. Natomiast, jak konkretnie doszło do tamtej dyskusji, kto wystąpił z inicjatywą zorganizowania jej, tego już nie pamiętam. Narodziła się chyba po prostu w toku naszych kontaktów i rozmów.

– Niezupełnie. Ci, którzy brali w niej udział ze strony katolickiej, pamiętają, że to Pan przyniósł ten pomysł i nawet nalegał Pan na podjęcie takiej dyskusji.

– Na pewno tak było.

– A jak na to zareagowali Pańscy koledzy we władzach partii? Poza takimi względnie otwartymi ludźmi, jak Pan, czy Gomułka, byli tam przecież ci, którzy już niebawem podejmować mieli decyzję o zamknięciu „Tygodnika Warszawskiego”, aresztowaniu biskupa Kaczmarka, zamknięciu „Tygodnika Powszechnego”, aresztowaniu Prymasa i tak dalej.

– W klimacie pierwszych lat nie wzbudzało to zgorszenia, chociaż może ci, którym pilno było do ustanowienia prawdziwej dyktatury proletariatu, dialog z katolicyzmem uważali za pewne sprzeniewierzenie się ideałom marksizmu-leninizmu. Ale oni w ogóle traktowali ten okres jako zło konieczne, którego jedynym usprawiedliwieniem było przyzwoleństwo Stalina.

– Czy chciał Pan przez to powiedzieć, że stosunki między państwem a Kościołem były kontrolowane przez Stalina?

– W tamtym okresie raczej nie. Zresztą Stalin okazywał wtedy dla polskiej odrębności wiele zrozumienia. Jak pan wie, w I Armii wprowadzono wszystkie obyczaje religijne – msze polowe, kapelanów, katolicką rotę przysięgi. To wszystko działo się pod okiem Stalina i przy jego dużym poparciu. Podobno Stalin nawet specjalnie zwracał polskim komunistom uwagę na potrzebę takich atrybutów katolickich. Jak wiadomo, po zakończeniu wojny Bierut brał jeszcze udział w procesjach Bożego Ciała. W każdym razie nie można przypuszczać, żeby to było robione wbrew stanowisku Sowietów.

– Tak, to jest zjawisko do dziś fascynujące i, prawdę mówiąc, niemal niewyobrażalne Bierut – stary komunista, który już wkrótce miał się stać symbolem najczarniejszych lat państwa polskiego i najzjadlejszej w dziejach Polski krucjaty chrześcijańskiej – usłużnie podtrzymujący, dźwigający wielką monstrancję Prymasa. Demonstracja przyjaźni wody z ogniem. Czy

wtedy rzeczywiście liczyliście na to, że Kościół podporządkuje się nowej władzy i stanie się jej narzędziem, czy też ów podtrzymujący Prymasa Bierut miał świadomość, że za kilka lat podejmie decyzję o aresztowaniu go?

– Zapomina pan, że komuniści są ludźmi zdyscyplinowanymi. Jak wiadomo, ówczesni komuniści, w każdym razie komunistyczna góra przeszła przez szkołę Kominternu, a to była twarda szkoła – zwłaszcza pod względem dyscypliny partyjnej. Komuniści zawsze będą robili to co im góra każe. Jak by wówczas kazano iść wszystkim do spowiedzi, to by poszli. Może co najwyżej oparłaby się garstka najtwardszych.

– Dla mnie istotne jest pytanie, czy była to taktyka świadomie obliczona na wprowadzenie w błąd opinii publicznej, czy może jednak próba godzenia ognia z wodą, wiara w to, że można je pogodzić?

– Tego sami komuniści nie wiedzieli. Nie było wiadomo w jakim kierunku będzie się to rozwijało. Nie można było odrzucić i takiej ewentualności, że współistnienie z Kościołem utrwali się jako pewien trend rozwojowy, jako pewien nowy typ państwa komunistycznego.

– Sojusz gwiazdy z krzyżem?

– Tak to sobie można było wyobrazić, chociaż, oczywiście, większość komunistów była wówczas zaczajona i wyczekiwała tej chwili, kiedy nareszcie będzie można wprowadzić prawdziwą dyktaturę proletariatu. Zdawałem sobie sprawę, że ta sytuacja wynika w dużej mierze z flirtu z Zachodem, a ten flirt, oczywiście, nie mógł trwać wiecznie.

– Czy przypomina Pan sobie podział zadań wśród ówczesnego kierownictwa? Wyobrażam sobie, że dla wielu szczerych komunistów tego typu sytuacja musiała być dość denerwująca, jeżeli nie poniżająca.

– Nie, nie powiedziałbym tego. Uważano tę sytuację za historyczną za swego rodzaju historyczną konieczność. Taki był do niej stosunek większości. A poza tym raczej ten temat w dyskusjach pomijano.

– Ale jednak do pewnego momentu Bierut podtrzymywał Prymasa, a potem przestał. Musiały więc być jakieś dyskusje. W którymś momencie musiała zapaść decyzja, że tym razem prezydent komunistycznego państwa nie weźmie udziału w procesji Bożego Ciała.

– Ta zmiana była związana ze stosunkami między Sowietami i Zachodem, a one zaczęły się psuć w 1947 roku. Ochłodzenie w stosunkach z Zachodem oznaczało zaś strumień zimnej wody skierowany na tych, którzy mieli nadzieję, że stosunki między państwem i Kościołem uda się ułożyć w duchu pewnej współpracy. W drugiej połowie 1947 roku widać już było, że nasze nadzieje są nierealne.

– A czy nie było przypadkiem tak, że władza, mająca dość słabe oparcie w społeczeństwie, władza *de facto* przyniesiona na rosyjskich bagnietach, chciała między sobą a opozycyjnie nastawionym społeczeństwem ulokować jeszcze jedną „poduszkę” czynnie neutralnego, upolitycznionego Kościoła? Czy nie do tego zmierzały takie inicjatywy, jak owe, organizowane przez Pana, dyskusje albo próba utworzenia kościelnej partii politycznej, szczęśliwie zablokowana przez Mikołajczyka? Czy przypadkiem ochłodzenie w stosunkach z Kościołem nie nastąpiło wtedy, kiedy okazało się, że uzyskanie jego politycznej dyspozycyjności – albo chociażby czynnej neutralności – jest jednak niemożliwe?

– Wspomniał pan o koncepcji utworzenia partii katolickiej. Takie koncepcje od początku leżyły się wśród działaczy prawicowych i katolickich, ale dla partii ten problem był z góry przesądzony. Możliwość stworzenia całkowicie dyspozycyjnej partii katolickiej, na wzór ludowców czy demokratów, była nikła, i doskonale zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Takie pomysły rzeczywiście krążyły co jakiś czas po Warszawie, ale z klimatu wynikało, się są one całkowicie nierealne.

– A czy owe, organizowane przez Pana, dyskusje nie zmierzały przypadkiem do upolitycznienia Kościoła, wciągnięcia go w orbitę dokonującego się w Polsce komunistycznego prze-

wrotu?

– Raczej było na odwrót. Była to próba skupienia kościoła na problemach ideowo-moralnych i sprowokowania na tej płaszczyźnie wymiany zdań między marksistami a katolikami. Katolicka lewica w sensie, powiedzmy, francuskim była w Polsce bardzo słaba, a Kościół politycznie wiązał się z endecją i z tendencjami prawicowymi. Uważałem, że taka wymiana zdań, stworzenie płaszczyzny dyskusji między marksistami a katolikami może się przyczynić do stworzenia w Polsce społeczno-lewicowej myśli katolickiej. Wydawało mi się, że takie dyskusje mogą być pożyteczne nie dlatego, że zbliżą Kościół do komunizmu – co byłoby absurdem – ale dlatego, że ożywią i wzmocnią bardziej postępową myśl katolicką, nastawioną na problematykę reform, sprawiedliwości społecznej i tak dalej.

– A więc chodziło już nie tylko o wpływ na taktykę polityczną Kościoła, ale wręcz o wciągnięcie go na lewicowo-marksistowską orbitę ideową. Jeżeli dobrze Pana zrozumiałem, chcieliście zmienić polityczną treść polskiego katolicyzmu, faworyzując ugrupowania „postępowe” i eliminując „zachowawcze”. Czy wierzył Pan w realność takiej manipulacji?

– Bardzo zły moralnie wyciągnął pan z tego, co powiedziałem. Czy pan myśli, że postępowi katolicy są potrzebni komunistom? Komuniści bardziej się boją socjalistów niż Kościoła. Kościół ma większe wpływy i dlatego trzeba się z nim liczyć, ale z punktu widzenia ideologicznego niebezpieczne są dla komunistów tylko ideologie postępowe, które mogą stanowić jakąś konkurencję. Nie chodziło więc o żadną manipulację. Partii nie byłoby wcale łatwiej manipulować Kościołem postępowym. Myślę, że byłoby nawet trudniej.

– Nie myślałem o takiej wulgarnej manipulacji, bo ona, oczywiście, nie mogła się powieść. Miałem na myśli raczej wykorzystanie władzy dla faworyzowania jednych katolików i odsuwania innych. Jednymi zajmował się Pan, a innymi bezpieka.

– Nie! Bardzo źle pan wyciąga morały. Widzi pan, jako racjonalista mogę patrzeć na religię trochę trzeźwiej, może lepiej widzę jej funkcję społeczną, mogę zrozumieć ją może nawet nieco głębiej niż wierzący. Wy patrzycie na religię w kategoriach metafizycznych, a mnie interesują kategorie socjologiczne. Patrząc na religię z punktu widzenia funkcjonowania systemów społecznych, oceniam ją jako jeden z fundamentalnych czynników procesów zachodzących w społeczeństwie, jako ten czynnik, który odgrywa rolę przede wszystkim stabilizującą i cementującą. Dlatego istotne było dla nas, żeby katolicyzm przetrwał, i żeby nie był już tak endecki jak przed wojną. Owszem, chciałem oddziaływać na kształt katolicyzmu, ale tylko w takim sensie – w żadnym innym!

– Wróćmy zatem do krakowskich dyskusji. Powiedział Pan, że w pewnym momencie sytuacja międzynarodowa przestała im sprzyjać. To jest, oczywiście, czynnik w Polsce niezwykle istotny, ale wyobrażam sobie, że mimo wszystko nie ma on bezpośredniego wpływu na sprawy tego typu. Zależałoby mi na uchwyceniu tego momentu, który w Pańskim odczuciu zdecydował o zerwaniu tych kontaktów.

– Te kontakty nie miały charakteru zinstytucjonalizowanego. Ja ze dwa razy brałem udział w tych spotkaniach; już bez mnie odbyło się chyba jedno. Potem jakoś te sprawy znikły z mojego pola widzenia. A klimat się zmieniał także w stosunkach między przywódcami państwowymi a kierownictwem Kościoła. Natomiast, jak te zmiany dokładnie przebiegały, nie wiem. Już się tym wówczas nie interesowałem.

– Bo przestał Pan być wiceministrem oświaty?

– Tak, w 1947 roku zostałem oddelegowany do wzmocnienia propagandy wyborczej; po wyborach przez rok byłem „wolnym strzelcem” i pisałem podręcznik dla szkół: „Nauka o Polsce współczesnej”. Potem, w pierwszym półroczu 1948 roku, zrobili mnie na kilka miesięcy członkiem sekretariatu KC do spraw oświaty, kultury i propagandy; potem znów przez jakiś czas byłem bezrobotny, i wreszcie w 1949 roku wylądowałem w Bibliotece Narodowej.

– Na stanowisku dyrektora?

– Tak.

– Tę zaszczytną i cichą funkcję pełnił Pan do listopada 1956 roku. Tymczasem w Polsce działały się różne ważne rzeczy, z którymi nie miał Pan chyba bezpośrednio do czynienia. W 1951 roku aresztowano Gomułkę i powszechnie spodziewano się jego procesu. Niespełna dwa lata później został aresztowany Prymas Wyszyński, odbywały się pokazowe procesy oficerów, biskupów, polityków. W listopadzie 1954 roku Gomułkę wypuszczono i, zapewne, spotkał się Pan z nim wówczas po kilkuletniej przerwie. Jaki był jego program? Jakie było jego stanowisko wobec tego, co między 1948 a 1954 rokiem stało się w stosunkach państwo-Kościół?

– Odpowiem panu bardzo syntetycznie. Gomułka był człowiekiem „sierioznym”. Miał poważny stosunek do życia i świata, więc lekcję pierwszej połowy lat pięćdziesiątych wykorzystał dla zbudowania dość jasnej i precyzyjnej oceny poszczególnych elementów systemu stalinowskiego. Umieścił ją później w sławnym referacie na VIII plenum. Dla mnie wówczas było oczywiste, że wszystko zmierza do zasadniczej zmiany metody rządzenia. Jak wiadomo, w Polsce te zmiany były głębsze niż w innych krajach. Poza tym w Polsce zaczęły się one znacznie wcześniej. W Związku Radzieckim momentem przełomowym, który wszystkimi wstrząsnął, był tajny referat Chruszczowa z XX zjazdu KPZR.

– Ale wstrząsnął on nielicznymi, bo usłyszeli go tylko delegaci, a tekst nie był nigdzie rozpowszechniany.

– Nigdzie poza Polską. Dlatego ten nowy nurt objął tam tylko aparat partyjny. W Polsce działało się jednak jeszcze coś innego. Referat Chruszczowa został w Polsce ogłoszony o dwa lata wcześniej. A zrobił to Światło. Funkcja, jaką dla polskiego aparatu władzy miały rewelacje Światły, była dokładnie taka sama, jak funkcja referatu Chruszczowa wobec aparatu władzy w Związku Radzieckim. Zaczął się okres, w którym ta władza zaskoczona, przestraszona, zdeorientowana, straciła grunt pod nogami i cofała się. Może dlatego w Polsce nie doszło do takich napięć jak na Węgrzech. Tam władza nie była przygotowana na jakiegokolwiek zmiany i musiało dojść do tarcia. W Polsce rok 1956 zaczął się wcześniej. Władza pod naciskiem ustępowała. To, co cenzura zdejmowała w marcu, w maju można było już drukować, a w lipcu stawało się czymś powszechnie wiadomym i oczywistym. Przez dwa lata władza systematycznie oddawała teren. Co wtedy myślał Gomułka? Myślał to, co zaowocowało w jego referacie. A referat skierowany był głównie przeciw aparatowi. To aparatowi dotyczyły jego słowa o małych stalinkach. Natomiast, co myślał o sprawach Kościoła? Wie pan, ja wtedy widywałem się z nim niezbyt często, ale nie przypominam sobie, żebyśmy dyskutowali na temat stosunków między państwem a Kościołem. Było jasne, że aresztowanie Wyszyńskiego uznał za polityczny błąd wielkiej wagi i że pierwszym zadaniem nowych władz będzie normalizacja stosunków z Kościołem, ale nie sądzę, żeby jakieś szczegóły z tym związane mogły być wtedy przedmiotem zainteresowania Gomułki. Nie to się wtedy wysuwało na czoło.

– A jednak przez Zawieyskiego docierały do środowisk katolickich jakieś, nadawane przez pana, sygnały, wiążące duże nadzieje z możliwością dojścia Gomułki do władzy.

– Oczywiście, że tak. Ja byłem przekonany, że Gomułka, choćby wbrew aparatowi, musi wrócić do władzy, bo robotnicy będą tu bardzo zdecydowani i innego wyjścia dla Polski po prostu nie ma. Wiedziałem też, że taka zmiana musi się wiązać ze zmianą frontu wobec Kościoła i zapewne stąd wynikały te optymistyczne sygnały, które mogły ode mnie płynąć. Nie mogę natomiast powiedzieć nic konkretniejszego, bo żadne szczegóły nie utrwaliły mi się w pamięci.

– Zajmijmy się więc Październikiem. Pierwszy sygnał na temat otwierających się poważnych możliwości dotarł od Pana do Krakowa już nazajutrz po wybraniu Gomułki I sekretarzem. Kiedy Pan doszedł do wniosku, że grupa „Tygodnika” rzeczywiście ma poważne szanse, żeby wrócić na scenę polityczną?

– Szczegółów nie pamiętam, ale to było logiczne. Widziałem się z Gomułką na kilka dni

przed plenum i wtedy rozmawialiśmy o tym, jaki jest stosunek aktywu centralnego wobec ewentualnego zwrotu politycznego. Ta dyskusja nie była zbyt optymistyczna, bo, wedle mojej oceny, w ówczesnym składzie KC zwolenników Gomułki było tyłu, że aby ich policzyć, starczyłoby palców obu rąk. To, jak panu mówiłem, byli ludzie wychowani w klimacie komunistycznej dyscypliny i Gomułka zalatywał im „odchyleniem nacjonalistycznym”, „prawicowym”, nie wiem jeszcze jakim. A poza tym doskonale znali jego despotyczny charakter. To też nie było bez znaczenia, że jego metody kierowania należały raczej do dosyć przykrych. Jako szef był zawsze trudny i niezbyt przyjemny dla podwładnych. Zastanawiał się więc, czy aparat będzie w stanie go przełknąć.

– A ułożenie stosunków ze społeczeństwem, nawiązanie dialogu z Kościołem?

– Tak jak panu powiedziałem, uwięzienie Prymasa Gomułka uważał za wielki polityczny błąd, który bardzo wpłynął na ogólną sytuację w kraju. Mówił, że trzeba to natychmiast naprawić, że nowe kierownictwo będzie musiało natychmiast dokonać takich posunięć, które rozładują sytuację i umożliwią Kościołowi moralne poparcie reform. Taki właśnie był sens naszej delegacji.

– No, właśnie – kiedy Gomułka został wybrany, znów wezwał Pana na rozmowę i wtedy, zdaje się, powierzył Panu misję w stosunkach z Kościołem...

– Nie. Mowa była przede wszystkim o tym, co będę robił. Prawie na pewno było już wiadomo, że obejmę oświatę. Potem dopiero pojawiła się sprawa Prymasa. Był tylko problem jego stosunku do władz. Gomułka obawiał się, czy na postawie Wyszyńskiego nie zaciągną jakieś resentymenty, czy te trzy lata spędzone w odosobnieniu nie spotęgowały niechęci Prymasa wobec systemu. To był wówczas całkiem realny problem, bo wrogość mogła, oczywiście, bardzo niekorzystnie zaciążyć na całym dalszym przebiegu wydarzeń. Sens naszej delegacji był właśnie taki, że mieliśmy się zorientować, jakie stanowisko zajmie Prymas wobec tego, co stało się w Polsce.

– A co by było, gdyby okazało się, że Prymas jest zdecydowanie niechętny wobec tej władzy, że jego niechęć rozciąga się także na nowe kierownictwo?

– O żadnych szczegółach mowy nie było. Kiedy się ostatecznie dowiedziałem, że mam jechać, zapytałem Gomułkę, po co tam jadę i co mam mówić. Jedyne polecenie, jakie wtedy otrzymałem, dotyczyło dokładnego zorientowania się w aktualnym stanowisku Prymasa.

– I tylko po to Gomułka, w tak trudnej sytuacji, wysłał na dwa dni dwóch swoich najbardziej zaufanych współpracowników – pana i Kliszkę?

– Tak. Nie pojechaliśmy na pertraktacje. Pojechaliśmy oświadczyć Prymasowi, że w Polsce zmieniła się władza i zmienił się kierunek polityki, że ta nowa władza ustosunkowuje się bardzo negatywnie do samego faktu uwięzienia prymasa i zwraca mu wolność. Że władza, która stoi obecnie wobec trudnych zadań i bardzo skomplikowanej sytuacji kraju, oczekuje od Kościoła pozytywnego przyjęcia nowego programu. To mieliśmy zakomunikować. Wbrew temu, co pisze Micewski, nie prowadziliśmy żadnych pertraktacji – bo to, oczywiście, nie było miejsce na pertraktacje. Nie mieliśmy do tego żadnych pełnomocnictw.

– A jaki był stosunek Gomułki do katolicyzmu?

– Bardzo trudno na to pytanie odpowiedzieć. Z jednej strony, doskonale zdawał sobie sprawę, i bardzo liczył się z tym, że ten naród jest katolicki, i że trzeba jakoś wyjść katolicyzmowi naprzeciw, że trzeba jego istnienie uznać. Z drugiej strony, bał się katolicyzmu i Kościoła, i na pewno traktował go jako głównego konkurenta w walce o to, co potocznie nazywa się „rządem dusz”.

– A jaki był jego stosunek do katolików. Czy należał do typu racjonalistów, którzy skłonni są nad kwestiami światopoglądowymi przechodzić do porządku dziennego i traktują wierzących jak równorzędnych partnerów w dyskusjach na temat świata przyrodzonego, czy też raczej uważał wiarę za swoiste upośledzenie, wykluczające równorzędne traktowanie wierzących?

go?

– Trudno mówić o Gomułce jako o racjonalistcie. To jednak był człowiek, który wyszedł ze szkoły komunistycznej i w tę komunistyczną wiarę uwierzył. Niepodważalne były dla niego marksistowskie dogmaty o materializmie, walce klas i tak dalej. Od innych komunistów różniło go jednak to, że miał instynktowne wyczucie społeczeństwa – jego postaw, oczekiwań, czasem także nastrojów. Bardzo go to różniło od reszty ekipy rządzącej i dyktowało potrzebę szukania, łagodniejszej taktyki, zostawiającej pewien margines dla wiary, praktyk religijnych, całej obrzędowości katolickiej. Rozumiał tę potrzebę i liczył się z koniecznością istnienia Kościoła katolickiego w komunistycznym państwie. Tylko, że aby to współistnienie było realne, Kościół musiałby mieścić się w ramach tego państwa, musiałby się podporządkowywać, musiałby stracić swój rozmach apologetyczny, zrezygnować z propagandy wiary, musiałby się spetryfikować. Wtedy nie byłby przeszkodą dla ekspansji wiary katolickiej. Gomułka, jak wszyscy komuniści, żył przekonaniem racjonalistów oświecenia, że ludzie w końcu zmadrzeją i przestaną wierzyć. Wiarę religijną uważał za niedostatek świadomości. Był jednak na tyle pragmatyczny, że dążył do ułożenia poprawnych stosunków z Kościołem – oczywiście, pod warunkiem, że zrezygnuje on z ekspansji i zmniejszy swoją agresywność, zwłaszcza w sferze polityki i kultury. Dlatego po rozmowach z Wyszyńskim miał pretensję, że Kościół nie dotrzymuje zobowiązań, bo za bardzo chce się rozprzestrzeniać, agitować i tak dalej. To były przyczyny tych nieporozumień, jakie wkrótce zmały popaździernikową sielankę.

– A sądzi Pan, że można było tych nieporozumień uniknąć.

– Myślę, że nie, bo katolicyzm do roli prawosławia się nie nadawał. O ile rosyjskie prawosławie mogłoby stanowić dla Związku Radzieckiego ogromne wsparcie, przynajmniej w zakresie jego tradycyjnej roli podpory władzy, o tyle katolicyzm do tej roli zupełnie się nie nadawał. Kościół katolicki jest przede wszystkim instytucją powszechną, ponadnarodową i ponadpaństwową, jego głowa i decydujący ośrodek kierowniczy znajduje się poza zasięgiem władz państwowych. Dla komunistycznego państwa totalnego taka sytuacja jest na dłuższą metę nie do zaakceptowania i konflikty muszą powstawać.

– A jakie było stanowisko Kliszki wobec Kościoła?

– Nie mam nic do powiedzenia na ten temat.

– Znaliście się Panowie chyba dość dobrze?

– Tak, ale on był raczej ciaśniejszy od Gomułki.

– Był to, zdaje się, partyjny spec od ideologii...

– Raczej czujny strażnik niż ideolog.

– Arcykapłan?

– Raczej strażnik tajnego skarbcza. Na kapłana się nie nadawał. Był echem Gomułki, ale echem, które potrafiło się czasem przeciwstawić. Kłócili się, kiedy Gomułka objawiał większą skłonność do pragmatyzmu.

– Jaki był między Panem a Kliszką podział ról, kiedy jechaliście do Komańczy?

– Nie było żadnego podziału ról. Nasza misja była bardzo nieokreślona. To była raczej wizyta. Mieliśmy odbyć rozmowę, nawiązać kontakt i przeprowadzić sondaż. Gdybyśmy jechali na pertraktację, to pewnie podzielilibyśmy role, ale ponieważ miała to być tylko rozmowa, przez całą drogę w ogóle nie mówiliśmy o tym. Było bardzo dużo innych spraw, które nas pochłaniały.

– Ale jednak jakoś to się stało, że Prymas w swoich zapiskach opisał Pana jako człowieka otwartego i sympatycznego, a Kliszkę jako doktrynera o mentalności prawniczo-urzędowej, który we wszystkim widzi problemy.

– A czy pan kiedyś widział Kliszkę?

– Z dystansu.

– A widzi pan. Każdy odniesie takie wrażenie, bo Kliszko jest sztywny i nie ma specjal-

nich walorów towarzyskich.

– Czy któryś z Panów miał tę rozmowę prowadzić?

– Nie, nie było żadnych takich ustaleń, chociaż w hierarchii partyjnej Kliszko był, oczywiście, ważniejszy.

– Wtedy nie. Obaj byliście ludźmi z zewnątrz. Na ósmym plenum tylko Loga-Sowiński wszedł z Gomułką do Biura Politycznego.

– Ale to zawsze było wiadomo. Kliszko był ode mnie bardziej partyjny. Ja zawsze rezerwowałem sobie pozycję „wolnego strzelca” i bardzo o nią dbałem, a on był ważnym kółkiem u góry partyjnego aparatu.

– Dlaczego tak późno Panowie tam pojechaliście? Gomułka został wybrany I sekretarzem 21 października, a Panowie przyjechaliście do Komańczy dopiero 26-go. Czy aż pięciu dni było potrzeba, żeby przedsięwziąć tę podróż, czy też istniały jakieś inne przeszkody w uwolnieniu Prymasa.

– Przede wszystkim musiało się skończyć plenum. Potem musiało się zebrać Biuro Polityczne i musiały zapaść formalne decyzje. Gomułka musiał jakoś ustabilizować swoją pozycję w tej władzy. W ciągu ostatnich trzech miesięcy z renegata stał się przecież przywódcą partii – to była bardzo daleka droga i myślę, że musiał przede wszystkim umocnić się na pospiesznie zdobytych pozycjach. Musiał z tym Biurem Politycznym przedyskutować kierunek polityki.

– I dopiero po posiedzeniu Biura Politycznego został Pan powiadomiony o wyjeździe do Prymasa?

– Tak, to już na pewno było po posiedzeniu Biura. Przedtem nie było mowy o Prymasie.

– Natychmiast po wybraniu Gomułki przekazał Pan przez Zawieyskiego do Krakowa informację o tym, że „Tygodnik” ruszy, i że delegacja redakcji powinna przyjechać do Warszawy. Czy ta informacja była wynikiem rozmowy z Gomułką?

– Chyba nie. Nie przypominam sobie, żebyśmy rozmawiali z Gomułką na ten temat, ale to było oczywiste. Ponieważ stanowisko wobec polityki poprzednich władz było negatywne, więc, rzecz prosta, trzeba było restytuować wszystko to, co one zniszczyły.

– Dlaczego akurat „Tygodnik Powszechny”, a nie na przykład „Tygodnik Warszawski”?

– Bo „Tygodnik Powszechny” był uważany za najbardziej reprezentatywny dla środowisk inteligencji katolickiej w Polsce.

– A czy nie dlatego, że był ze względów ideowych łatwiejszy do strawienia od „Tygodnika Warszawskiego”? Czy nie dlatego, że „Tygodnik Powszechny” reprezentował postępowy francuski katolicyzm, zaś „Tygodnik Warszawski” klasyczną chadecję, w dodatku z domieszką endecji? Część redakcji „Tygodnika Warszawskiego” umarła przecież w stalinowskich więzieniach tym bardziej więc ci, którzy przeżyli, powinni uzyskać jakąś satysfakcję.

– Sprawa „Tygodnika Warszawskiego” nigdy nie była przedmiotem żadnej dyskusji. Nikt nie uważał go za organ mogący odpowiadać intencjom sfer katolickich w Polsce.

– A Kościół też się o „Tygodnik Warszawski” nie upominał?

– Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek była na ten temat mowa.

– Wróćmy więc do sprawy Prymasa. Jak przebiegała ta misja, którą przyszło Panu spełnić wraz z Kliszką?

– Wyjechaliśmy z Warszawy rano. Wieczorem zatrzymaliśmy się w Sanoku, w pokoju gościnnym tamtejszego komitetu, bo przecież nie mogliśmy zjechać do Prymasa w nocy. Rano ruszyliśmy w dalszą drogę do Komańczy. Z samej podróży pamiętam tylko jedną, dość zabawną scenkę. Mianowicie, kiedy dojeżdżaliśmy już na miejsce, tuż przed klasztorem zostaliśmy zatrzymani przez stado krów, które przez raczej mało ruchliwą dróżkę usiłowała przegonić młoda zakonnica w podkasanym habicie i z długim batem w ręce. Muszę przyznać, że bardzo nas ten sielski obrazek poruszył i chyba jakoś specjalnie nastroił na tę rozmowę. Na miejscu byliśmy gdzieś przed dziesiątą. Klasztor w Komańczy wyglądał jak duża przedwo-

jenna letnia willa. W jego architekturze nie było nic specyficznie sakralnego, nic, co mogłoby nasuwać myśl, że jest to klasztor. Zameldowaliśmy się w furcie, powiedzieliśmy, że przyjechaliśmy do Prymasa z misją od Władysława Gomułki. Kazano nam poczekać w rozmównicy. Prymas przyszedł po kilku minutach.

– Jak Panów przyjął? Czy witał was jak wybawicieli, czy raczej jak eksponentów reżimu?

– Przyjął nas tak, jak się przyjmuje nieoczekiwanych gości. Był uprzejmy, grzeczny i dość powściągliwy. Robił na mnie wrażenie człowieka, który wiąże duże nadzieje z tym, co się w Polsce stało i co ma się stać. Prymas mówił o sprawach Kościoła, o krzywdach, jakich Kościół doznał, o fałszywych oskarżeniach, aresztowaniach. My stwierdziliśmy, że rozumiemy żal Prymasa, podzielamy jego ocenę tego, co w stosunkach państwo-Kościół wydarzyło się w ostatnich latach i mamy nadzieję, że kierownictwu uda się wszystkie te krzywdy, w miarę możliwości, naprawić. Mam wrażenie, że Prymas był moralnie całkowicie przygotowany na naszą wizytę. Sprawiał wrażenie człowieka bardzo dobrze poinformowanego i żywo odbierającego to, co działo się w Polsce w ciągu ostatnich miesięcy.

– Jak długo trwała ta rozmowa?

– Nie pamiętam, ale chyba ze dwie godziny. Potem obaj z Kliszką pojechaliśmy do Sano-ka, żeby zatelefonować do Gomułki i przekazać mu nasze wrażenia z tej rozmowy. Gomułkę interesowało głównie, w jakim nastroju jest Prymas. Nie pytał nas o szczegóły rozmowy. To wtedy nie było ważne. Liczyło się tylko to, czy jest do nas życzliwie usposobiony. Powiedzieliśmy, że usposobiony jest zdecydowanie pozytywnie. Gomułkę bardzo to ucieszyło.

– Po rozmowie z Gomułką jeszcze raz pojechaliście Panowie do Komańczy. Po co?

– Wróciliśmy na obiad, na który zostaliśmy zaproszeni. Powiedzieliśmy Prymasowi o rozmowie z Gomułką, który spodziewał się, że Kardynał rychło wróci podjąć swoje obowiązki.

– Może dopiero wtedy powiedzieliście Panowie Prymasowi, że jest wolny? Może w pierwszej rozmowie tylko sondowaliście jego stanowisko, potem przekazaliście je Gomułce i dopiero w czasie rozmowy telefonicznej zapadła decyzja o uwolnieniu? A może Gomułka nie musiał sam przyjąć warunków stawianych przez Prymasa, musiał naradzić się z Biurem Politycznym? Może dlatego Prymas został jeszcze jeden dzień w Komańczy, a Panowie wróciliście do Warszawy?

– Nie. Decyzja o uwolnieniu zapadła zanim jeszcze wyjechaliśmy z Warszawy i od razu na początku spotkania zakomunikowaliśmy ją Prymasowi.

– Przyzna Pan, że wygląda to dość dziwnie. 26 października rano odwiedziliście Panowie Prymasa i powiedzieliście mu, że jest wolny. Po południu wyjechaliście do Warszawy, a Prymas został w Komańczy. 27-go Kliszko przyjechał tam jeszcze raz, i dopiero 28-go Prymas wyruszył do Warszawy. Podejrzewam, że jednak Prymas musiał postawić jakieś warunki.

– Nic podobnego nie było!

– Po co więc ten drugi wyjazd Kliszki?

– Nie wiem, ale mogło chodzić o nadanie uwolnieniu bardziej formalnego charakteru. Mnie tam już wtedy nie było. Miałem zresztą na głowie za dużo swoich spraw, żeby interesować się dalszym ciągiem tej historii. To nie była sprawa z mojego resortu. Może oni po prostu pojechali, żeby zaprosić Prymasa do samochodu i przywieźć go do Warszawy. Gomułka ciągle podkreślał, że pożądany jest jak najszybszy powrót Prymasa na Miodową. Chodziło przecież o uspokojenie bardzo wówczas niebezpiecznych nastrojów. Ale tu się już moja rola skończyła, i boję się, że nic więcej nie będę panu potrafił powiedzieć.

– Dobrze, zostawmy sprawę Prymasa i zajmijmy się „Tygodnikiem Powszechnym”...

– Proszę pana, moje zadanie było jedno – spowodować, żeby centralna władza uznała prawo „Tygodnika” do wznowienia i, ewentualnie, przekazywać przez przyjaciół wiadomości do środowiska „Tygodnika”.

– A jak doszło do zaaranżowania przez Pana spotkania „Tygodnika Powszechnego” z Go-

mułką?

– Zawsze uważałem, że Gomułka powinien osobiście zaangażować się w wyjaśnianie stosunków między Kościołem a władzą. Zresztą on sam bardzo lubił angażować się w te sprawy, bo wierzył w swoją siłę przekonywania, a chciał zmobilizować także katolików do czynnego poparcia jego linii politycznej. Wiadomo już było, że zbliżają się wybory i Gomułka bardzo się ich bał. Wobec liberalnych nastrojów i rozbudzenia apetytów mogło dojść do niespodzianek przy głosowaniu, a Moskwa czujnym okiem patrzyła, co się w Polsce dzieje. Stąd wzięło się zresztą późniejsze wezwanie do głosowania bez skreśleń, które w dość oczywisty sposób klóciło się z ogólną linią polityczną nowego kierownictwa. Uzasadnienie tego typu posunięcia musiało jednak być bardzo poważne, skoro, jak wiadomo, nawet Prymas to wezwanie poparł.

– A czy przypomina pan sobie proces powstawania decyzji, że „Tygodnik” nie tylko będzie znów mógł się ukazywać, ale także otrzyma kilka miejsc w Sejmie, a nawet fotel w Radzie Państwa?

– Nie, nie pamiętam szczegółów, ale przecież to wszystko jest logiczne.

– Nie, bo ta decyzja burzyła ustalony od lat obraz Sejmu jako ciała całkowicie dyspozycyjnego i praktycznie rzecz biorąc, fasadowego.

– Tak, ale zmiana tego stanu rzeczy leżała w logice Października. Dla uzyskania wiarygodności konieczne było wprowadzenie do Sejmu ludzi reprezentujących Kościół. A jeżeli już wprowadziło się taką grupę i chciało się, żeby miała jakiś autorytet, to oczywiste było, że musi ona mieć swojego przedstawiciela w Radzie Państwa. To, wszystko były konsekwencje tej koncepcji ułożenia stosunków ze społeczeństwem i z Kościołem, która zarysowała się po Październiku.

– Czy żadne inne grupy katolickie nie wchodziły wówczas w grę?

– A jakie?

– Choćby mieszkający znów w Polsce Cat-Mackiewicz, albo żyjący jeszcze przedwojenni chadecy, jak na przykład Konstanty Turowski...

– Mackiewicz dopiero co wrócił i nikogo nie reprezentował. Mogła się liczyć tylko grupa „Tygodnika”, reprezentowana przez Zawieyskiego.

– Czego partia oczekiwała od wprowadzonych do Sejmu katolików? Czego się Panowie po nich spodziewaliście? Wchodzili tam przecież jako ciało obce.

– Tak, ale po politycznym zwrocie tej miary, co Październik 1956 roku, nigdy nie wiadomo jak się sprawy potoczą. W takich sytuacjach budzą się zawsze nadzieje i złudzenia. Na pewno Gomułka chciał i mógł zaoferować przedstawicielom katolickim w Sejmie większy margines swobody niż było to możliwe w poprzednich okresach. Oczywiście, w systemie komunistycznym rozwiązanie problemów z Kościołem na dłuższy dystans jest bardzo trudne. Trudno tu mówić o długofalowej polityce. Polska, jak pan wie, nie leży w Australii.

– Tak, wiem.

